

„CIEKAWE POWIEŚCI“ LVI

J. I. Kraszewski

STAROSTA WARSZAWSKI

Tom III

□ WYDAWNICTWO GEBETHNER I WOLFFA □

Bezpłatny dodatek „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO“

02344

02344

STAROSTA WARSZAWSKI.

CIEKAWEPOWIEŚCI

MIESIĘCZNIK, POŚWIĘCONY NAJWYBITNIEJSZYM
POWIEŚCIOM I ROMANSOM POLSKIM I OBCYM.

Nr. 8 ☐ Sierpień 1914

Starosta warszawski. Tom III.

Redaktor: ☐ Wydawcy:
ARTUR OPPMAN (Or-Ot). GEBETHNER I WOLFF.

02344

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

STAROSTA WARSZAWSKI

OBRAZY HISTORYCZNE Z XVIII WIEKU

Tom III



WARSZAWA, NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — GEBETHNER I SP. 1914

I.

Zaledwie w początku roku 1763 doszły do Warszawy wieści o zawartym pokoju w Hubertsburgu, o opuszczających Saksonię wojskach pruskich, gdy znudzony długim pobytem w Warszawie August III począł się wyrwać do Drezna. Pokój ten i powrót do stolicy okupiony był drogo. Straty Saksonii, o których zwrocie ani mówić sobie nie dawał Fryderyk pruski, liczono na trzyście milionów talarów, ludzi przeszło siedemdziesiąt tysięcy wyciągnięto z niej do wojska. Królowa wojnę tę przypłaciła życiem.

W lutym nastąpiły układy, a w marcu już król-by się był wyrwał do ukochanego Drezna, gdyby to było możliwe. Ocieężały i przybity losem własnym i dzieci, odzyskiwał na chwilę żywości trochę, myśląc, że się znajdzie znów w spokojnej stolicy nad Elbą, gdzie wszystko tak mu było posłuszne i tak się składało wygodnie.

Brühl zaledwie mógł go już utrzymać w Warszawie, przedstawiając, jakie po sobie ruiny zostawiała wojna. Wreszcie i pora samych wiosennych roztopów nie sprzyjała podróży, należało czekać, aż śniegi znikną i oschną

gościńce. Brühl starał się o to, aby teatr obrócony na magazyn, zamek uszkodzony, porabowane i na kordegardy[†] pozajmowane pałace, na przyjęcie pana cokolwiek się odświeżyły, aby było go czem tam przyjąć i zabawić, czem mu długą wynagrodzić tęsknotę.

Jaśk najmniej troszczono się o sprawę Rzeczypospolitej, w której walka, od sejmu poczęta, wzmagala się i coraz groźniejsze przybierała rozmiary. Brühl zostawiał tu syna, i przyjaciół i krewnych, na Litwie Radziwiłła, na Rusi Potockiego z całą jego rodziną, w Warszawie Sołtyka i Mniszcha. Brühla i dwóch ostatnich zwano żartobliwie Trójką dworską. Trójca i jej rozpromienienie chwilowo siłę miały i przewagę. Z nią był stary hetman Branicki i wielu innych. Familia więc na pozór odepchnięta była i zwyciężona, ale nie wyrzekła się nadziei tego odwetu, który każdy dzień, upokorzenie przeciągający, czynił straszniejszym. Wprawdzie wodzowie sami woleliby może byli już jakieś układy i porozumienie, o które potajemnie na dworze czyniono starania, lecz Brühl, karmiąc nadziejami, był w nienawiści nieublaganym.

Ze wszystkich politycznych działaczy, ministrowi podległych, syn może w intrygach najmniej był czynnym, bo wcale do nich niezdatnym. Wynagrodził go ojciec generalstwem artylerji, które mu ustąpił, cześnikostwo przenosząc na brata, i pan Alojzy, czując się w swoim żywiole, bo działa, prochy i kule bardzo go zajmowały, innym zostawiał polityczne kabały, któremi się brzydził. Z Młocin trzeba się było teraz przenieść do Warszawy.

Pałace Brühlowski i Saski oba stały pustkami, mógł więc generał artylerji, którego dwór powiększono znacz-

nie i uczyniono bardzo świetnym, wybrać sobie rezydencyę, jaka mu się podobała. Wolał Warszawę w istocie, aby cekhauzu być bliżej.

Zdala patrzący na jego życie dziwili się temu pierworodnemu i spadkobiercy ministra, który po nim nie wziął najmniejszego usposobienia do zabiegów i intryg dworskich, i życie swe zapelniał w najoryginalniejszy sposób.

Znano go najprzód z wielkiej gorliwości około podniesienia artylerji, która w chwili objęcia jej przez niego prawie imienia tego nie była warta. Około dział i po prochowniach spędzał długie godziny, gromadził około siebie oficerów, krzątał się, aby ślad zostawić swej komendy w mnóstwie ulepszeń. Gdy mu potem czasu stało, wracał czytać Moliera, pisać komedye dla teatru amatorskiego, rysować plany lub grać kwartety.

Gdy rozmowa zwracała się na rozogniające naówczas kwestye promocyi, znaczenia, dygnitarstw, zabiegów stronnictw i t. p., hrabia zaczynał ziewać, zamyślał się i najczęściej, wysłuchawszy, co doń mówiono, znajdował się w tem przykrem położeniu, iż nie wiedział o co chodziło. Myślał był gdzieindziej.

W domu płynęło życie tym trybem, jak naówczas w wielu pańskich stadłach i gospodarstwach. Hrabina żyła i rządziła się swoim dworem, swym humorem: hrabia, z wielkiem dla niej zawsze poszanowaniem i grzecznością, zostawiał jej swobodę zupełną, ale ją też dla siebie warował. Czasem spotykali się przy gościach, a gości w Młocinach, w Saskim i Brühlowskim pałacu bywało wielu, szczególnie cudzoziemców i artystów. Pani i pan mieli kółko swych przyjaciół i dwór osobny, który

się łączył chętnie, choć może nie był zupełnie z jednych żywiołów złożony.

Wojewodzianka kijowska nie dała się nigdy wciągnąć w ten świat europejski, świetny, wesoly, do którego Brühl należał. Pozostała tą, jaką z Krystynopola wyjechała, nieśmiałą, milezącą, smutną, pobożną, trwożliwą, potrosze zabobonną niewiastą, której serce zamknięte obawiało się odemknąć. Poczciwa Dumont była może jedyną jej przyjaciółką, dla której nie miała tajemnic; a nie można zaprzeczyć, iż Francuzka sprawiała interesa pani generałowej z gorliwością i poświęceniem nadzwyczajnem. Szczególniej ów platoniczny romans z Godziembą miała na sercu.

Gdy w czasie sejmu 1762 r. zasłyszała o niebezpieczeństwie, zagrażającym panu Tadeuszowi, którego stary Pińczuk chciał koniecznie z córką poswatać, Dumont nie miała chwili spoczynku, usiłując zapobiedz oddaleniu się Godziemby. Wpadła najprzód na niego samego, starając się go przekonać, iż się zgubi, żeniąc z wieśniaczką, i na wsi zardzewieje w niwecz. Godziemba, któregośmy mało tu widzieli, był to w swoim rodzaju osobliwy człowiek, nie mówił wiele i trudno go było, jak naówczas powiadano, spenetrować. Francuzka, usiłując go przyswoić i usta mu otworzyć, a ośmielić, wiele z nim biedy zażyła. Nie uciekał od niej, ale się z niczem nie zwierzał, i trudno go było skłonić do tego, do czego raz wstręt okazał. W pierwszej nawet chwili Dumont nie zrozumiała, czy do tego ożenienia miał czy nie skłonność, mówił o niem obojętnie, ale bez wstrętu. Dopiero nierychło się odezwał, że na cudzej łasce i na fartuszkach żoninym żyćby sobie nie życzył. Jednakże do starego Godziemby jeździł i nie odpychał ich wcale. Ale się to przewlekło.

Pani cześnikowa, gdy o tem zasłyszała, że się Godziemba od dworu oddalić może, choć od niej zawsze zdala stał, mocno to uczuła, do tego stopnia, iż sama Dumont zaczepiła w tym przedmiocie, z czego Francuzka niesłychanie była szczęśliwa. Chwyciła się tedy niezmiernie gorąco tej sprawy, aby Godziembę, bądźcobądź, utrzymać. Aliści, drugiego czy trzeciego dnia zmieniło się usposobienie.

Brühlowa z jakąś gorączką i oczyma zaczerwienionemi, przywoławszy Dumont do siebie, odezwała się, ścisnąc ją i całując:

— Moja droga Dumont, ja w tem widzę rękę Opatrzności. Sam Pan Bóg chce, aby to grzeszne przywiązanie ustało; sam On nastęrcza sposobność oddalenia człowieka, na którego ja patrzeć nie powinnam...

Cześnikowa była bardzo pobożna, Dumont także, ale miała to przekonanie, iż w sprawach serdecznych Pan Bóg jest niezmiernie wyrozumiały, i — od czegoż spowiednicy? Ofuknęła więc mocno swoją wychowanicę za przesadzone skrupuły.

— Moja droga hrabino — rzekła — przecież kochać i patrzeć w żadnym razie grzechem nie jest.

— Ale obowiązkiem — odparła Brühlowa — miłość taką wyrwać z serca. Widoczna ręka Opatrzności, która mnie chce ustrzedz od... upadku...

— Od jakiego upadku? — przerwała Dumont — ja już nie wiem, czy na całym świecie było kiedy dwoje istot szczerze się kochających, któreby tak prosto, jak wy, chodziły. Ażeby sobie dobrowolnie jedyną pociechę w życiu odebrać, to się nie godzi...

— Ja to czuję w mojem sumieniu — dodała cześnikowa — że powinnam owszem dolożyć starania, aby

się on ożenił, oddalił, zyskał przez to rodzinę, przyszłość, a gdybym przez egoizm do tego przeszkody stawiała, byłabym niegodziwą kobietą.

Brühlowa, mówiąc to, płakała, i bardzo szybko i zrećźnie lzy ocierała, które wejrzeń Dumont nie uszły.

— Wszystko to nader jest heroiczne — przerwała, wybuchając — ale niema, za pozwoleniem, sensu. Hrabia się bałamuci i kocha w Solłohubowej, nie masz pani obowiązków względem niego.

— Ale ja mam względem siebie — odparła hrabina. — Moja Dumont, lepiej, żeby się oddalił, niech się oddali...

— Lepiej owszem, żeby się ośmielił, przybliżył i żebyście byli choć raz w życiu szczęśliwi! — wybuchnęła ośmielona Francuzka; ale w tej chwili cześnikowa usta jej zatknęła i wpadła w rodzaj spazmów, z których Francuzka przestraszona ratować ją musiała.

Rozmowa ta przeciągnęła się długo, a z niej Dumont wyniosła tylko to przekonanie, że miłość, która na pozór zdawała się jej wielce ostygłą, żywszą była, niż kiedykolwiek.

Dumont uczuła się powołaną do uszczęśliwienia swej wychowawcy, uważając jej skrupuły za niedorzeczność i dzieciństwo. Tymczasem trudno było nawet dowiedzieć się, jak stała sprawa ze starym Godziemba. Francuzka użyła fortelu dla wyszpiewowania. Pan Tadeusz staruszkę mamkę swoją, do której był bardzo przywiązany, utrzymywał we dworku na Bielanych. Wiedzieli o tem wszyscy. Chadzał do niej wieczorami, siadywał godzinami i starał się jej życie uczynić znośnem. Sawaniha tęskniła do Rusi swej, ale, mając dziecko przy sobie, powoli się z nowem życiem oswajała. Francuzka, która nauczyła się

przez długi pobyt w kraju i języka panów i tego, jak go zwała chłopskiego, postanowiła zapoznać się ze staruszką, aby przez nią starać się działać na Godziembę. Z Młocin do dworku na Bielanych nie było daleko, spacerem łatwo się tam przeszło. Francuzka, dowiedziawszy się o dworku, zaszła doń wody się napić i wdala w gawędę z Sawanihą. Bardzo zrećźnie umiała o Godziembie napomknąć i, chwając go bez miary, zyskała serce staruszki. Drugi i trzeci raz ją odwiedzając, naprowadziła rozmowę na projekt ożenienia, o którym Sawaniha już wiedziała, a była za nim całą duszą. Wiele kosztowało Francuzkę przekonać ją, że nie miała słuszności, że się tak ożenić, było to zaprządz się do niewoli, i że Godziembę (to osłoniła tajemnicą) mogły daleko świetniejsze czekać losy.

Cale te zabiegi poczeiwej intrygantki, która roman-su platonicznego nie mogła nigdy zrozumieć, rozbiły się nagle o wcale niespodziany wypadek. Ospy jeszcze naówczas nie szczepiono (jedna z pań Mniszchowych miała ją później pierwsza wprowadzić), panowała ona w Warszawie, dostała jej panna Agnieszka Godziembianka. Staruszek nikogo nie znał, doktora nie wiedział gdzie szukać, szło mu o jedyne dziecko, przyleciał do pana Tadeusza, który, urlop wzięwszy łatwo, poświęcił mu się cały na usługi.

Francuzka, dowiedziawszy się o tem, niemal w rozpacz i straszliwy gniew wpadła. Najprzód mógł sam Godziemba dostać strasznej choroby i być zdefigurowanym, potem mógł jej, uchowaj Boże, przynieść jeszcze do dworu. Stara Dumont obawiała się o resztki swych wdzięków.

Cześnikowa z heroizmem znosiła wszystko. Było w jej charakterze kochać się w męczeństwie, znajdować

w niem rozkosz, dziękować Bogu za krzyże, szukać dobrych a coraz nowych powodów do modlitw, łez, postów i martwienia siebie. Modliła się więc od rana do wieczora, oblewała łzami i zasypiała z rezygnacją. Stań się wola Twoja.

Tymczasem panna Agnieszka, która po wiejsku ani umiała, ani chciała się szanować, zaziębiła się biedna i siły a zdrowie nie uratowały jej. Umarła biedna.

Rodzice oboje o mało nie poszaleli z żalu. A że Tadeusz cały czas był przy nich, że im i chorej służył jak własne dziecko, przywiązanie do zmarłej zleli na niego. W ich myśli był on jakby wdowcem po tej, którą mu za żonę przeznaczali.

Starzy go inaczej nie nazywali, tylko dzieckiem. Nie mówili mu nie o przyszłości, ale go trzymali przy sobie łzami swemi i pocziwą miłością dla niego. Gdy przeboleli nieco, poczęli się nazad w Pińskie do domu wybierać. Godziemba wieczorem przyszedł do Tadeusza, ręce mu obie na ramionach położył, rozplakał się jak bóbr biedaczysko i począł prosić:

— Moje dziecko, mój Tadziu, odprowadź ty nas do domu, łzej nam będzie. Jejmość ciebie kocha, jak syna.

W pół godziny potem stara Godziembina ścisłała go, płacząc i prosząc:

— Odprowadź nas na Zahorodzie. Widzisz, że cię Jegomość kocha, jak własne dziecko.

Starzy byli tak osieroceni, zboleli, że litość brała. Tadeusz się zadumał, pocałował w rękę staruszkę i prosił o parę dni czasu. Dano mu choćby tydzień. Okurzywszy się, obmywszy, poszedł nazajutrz do Brühla, który, dawno go nie widząc, tęsknił do niego.

Zasłyszał coś świeżo mianowany generał o wypad-

ku Godziemby, i niemal rad był nieszczęściu, które dawało nadzieję, że Tadeusza przy sobie utrzyma. Był to jego sekretarz domowy, poufny, człowiek, bez którego obejść mu się było trudno. Miał oprócz tego jeden jeszcze przymiot, który go czynił Brühlowi drogim. Pan Alojzy, wielki wielbiciel Moliera, pisał komedye niemieckie, tłómaczono je po francusku i po polsku i grywano na improvizowanych teatrzykach domowych. Brakło często amatorów, Godziemba miał talent niepospolity, grał młodych paniczów wyśmienicie.

Ukazanie się Tadeusza uradowało generała.

— Co się z tobą działo? dzieje? narzeczona ci, słysz, umarła? — zapytał żywo.

— Nie była moją narzeczoną — rzekł Godziemba — nie myślałem się wcale żenić, ale ludzie pocziwi, rodzice, co stracili dziecię jedyne, są w rozpacz, musiałem się nimi zająć. Są mi krewni, a co większa, są sami w świecie i bardzo biedni.

— Cóż na to poradzimy? — zapytał Brühl.

— Żądają po mnie, abym ich odprowadził do domu.

— Bardzo dobrze, ale, zlituj się, wracaj! rachowałem i rachuję na ciebie. Sprawy mojego generalstwa dają mi tyle do roboty, że się bez twojej pomocy nie obejść. Tyś prawa ręka moja.

Sklonił się Godziemba.

Francuzka, mimo wiedzy generałowej, zręcznie bardzo miała czas też poddać Brühlowi myśl, że i żona jego często potrzebuje sekretarza i lektora. Lektorowie byli naówczas po dworach prawie konieczni. Dumont narzekała na oczy. Wmówiła więc Brühlowi, żeby Godziembie parę godzin w dniu polecił czytać i listy urzędowe

niejako, do których pisania była zmuszona pani Brühlowa, ekspedyować. Generał więc dodał:

— A i żonie mojej jako lektor i sekretarz mógłbyś być użytecznym, więc cię nie puszcze.

Posłyszawszy to, zmieszał się mocno pan Tadeusz, lecz jakoś Brühl tego nie postrzegł. Godziemba, wychowany, jak wojewodziańska, na dworze bardzo pobożnym i surowych obyczajów, był równie religijnym, jak ona. Nieszczęśliwa miłość ta dręczyła go niewypowiedzianie, czynił sobie za nią wyrzuty sumienia. Usłyszawszy o zbliżeniu się do hrabiny Brühlowej, chociaż się uczuł szczęśliwym z tego, był razem mocno zaniepokojonym. Wystawiało go to na nowe męczarnie i niebezpieczeństwa. Radby się był przez poszanowanie tej, którą kochał, oddalił zupełnie, a serce — serce go tu przykuwało.

Zmilkzał.

— Jedź waćpan — rzekł Brühl — ale wracaj, i wracaj, zmiłuj się, co rychlej, bo, jeszcze ci raz powiadam, nie obejść się bez was. Bądź pewnym, że ocenić potrafię pracę.

Po widzeniu się z Brühlem, gdy się chciał wymknąć z Młocin Godziemba, Francuzka, która na niego czatowała, chustkę oblaną lawendą trzymając przy ustach i nosie, gwałtem go wciągnęła do swojego pokoju.

Pilno jej było zapowiedzieć mu, że ona to zrobiła, iż się będzie mógł zbliżyć do generalowej.

Godziemba przyjął to raczej przestraszony, niż szczęśliwy. Dumont się w głowie pomieścić nie mogło, że ci kochankowie tak utrapienie byli poczciwi. Im się o tem bardziej przekonywała, tem mocniej ją koczyło naprowadzić ich na dobrą drogę.

Wesolo i gadatliwie przyjęła Godziembę, a chcąc

go związać koniecznie, skłamała, mówiąc, że pani generalowa kazała mu się z sobą widzieć koniecznie. Nie dając czasu do rozmyślu, oblała go wodą pachnącą dla bezpieczeństwa i kazała iść za sobą.

Śmiało wkroczyła z nim do gabinetu generalowej, która na widok wchodzącego o mało nie zemdląła ze strachu. Podniosła się jednak z uśmiechem bolesnym na ustach. Francuzka bardzo żywo zagaiła sprawę, iż woła jest pana generała, aby JmPon Godziemba służył jej za lektora i sekretarza. To powiedziawszy, zakręciła się Dumont i, niby czegoś zapomniawszy, wyszła.

Pierwszy niemal raz w życiu znaleźli się tak sam na sam.

Generalowa zmuszoną była oprzeć się na stoliku, aby nie upaść; Godziemba drżał, jak liść — słów zabrakło obojgu. Aż pan Tadeusz się nakoniec ośmielił i począł za tę łaskę pani dziękować. Splątał się, zmieszał, nie wiedział co mówić i, sam nie pojmując jak, znalazł się u podanej sobie ręki białuchnej, wychudzonej, drżącej, którą gorącemi całował usta.

Generalowa zakryła sobie oczy.

— Wracaj więc pan — rzekła — proszę, będę na pana oczekiwala... i modliła się na jego intencję.

Nowe nastąpiło ręki pocałowanie.

Dumont schylona patrzyła przez dziurkę od klucza.

Godziemba zaczął opowiadać o swych krewnych; o potrzebie ich odprowadzenia, o litości, jaką miał nad nimi. Kilku słowy przerwała generalowa bardzo i coraz bardziej pomieszana. Nareszcie dała na drogę przyszedłmu sekretarzowi różaniec, aby się na nim modlił, i jeszcze raz rękę do pocałowania. Godziemba tak oszalał, że przyklęknął. Generalowa zasłoniła sobie oczy. Skończyło się

na tem, że mu nad głowę zrobiła krzyżyk, prosząc, aby się szanował. Godziemba kierował się ku drzwiom, błędząc jak pijany, gdy Francuzka weszła napowrót.

Zobaczywszy niemal osłabłą wychowanicę, musiała już zostać przy niej. Wprawdzie trochę się więcej spodziewała po tem spotkaniu, lecz nie była też z niego niezadowolona. Krok jakiś naprzód był uczyniony.

Nie wiedziała pocziwa Dumont, że kawaler poszedł z różańcem do kościoła i klęczał tam, płacząc łzami gorącymi pół godziny, i że generalowa za słabość, jaką okazała, naznaczyła sobie post i pacierze.

Niemniej jednak na szyję się rzuciła Francuzce i darowała jej tego dnia piękny łańcuch złoty. Dumont była uszczęśliwiona ze swego trafnego postępowania.

Pan Tadeusz pojechał do Pińska z Godziembami, z mocnem postanowieniem powrócenia do Warszawy co najrychlej. Różaniec włożył na rękę i na chwilę się z nim nie rozstawał. Smutna twarz generalowej nie schodziła mu z oczu. Podróż na Zahorodzie była długa i męcząca, stary w drodze kilka razy chorował, łamały się osie, konie kulały, wlekli się powoli.

Naostatek przybyli tam, gdzie Godziembom każdy kątek ich dziecko drogie przypominał. Cała służba się zbiegła z płaczem witać tych starych sierot dwoje. Scena była rozczulająca, a pan Tadeusz, choć obcy, od lez się wstrzymać nie mógł. Matka niemal więcej okazała rezygnacyi i męstwa od starego, który się zanosil od płaczu, szlochał i powtarzał: — Niema dziecka mojego!

Jakże tu było porzucić biednych zaraz, choć powracać musiał pilno? Dano mu najlepszą izbę gościinną, pieoszono jak syna, ludzie go nazywali swoim paniczem i rozpadali się, służąc mu. Konie, strzelby, psy, niewody,

łodzie, wszystko było dlań na usługi. Stary, nie mówiąc nic, oprowadzał go po gospodarstwie, pokazywał, opowiadał, jakby mu wszystko chciał zdać jutro. I on i staruszka starali się z najpiękniejszej strony okazać przybyłemu ten kraj, otoczony błotami, oblany wodami, jak wyspa, żyzny, cichy, spokojny, od świata oddzielony, w którym nie nie brakło, czego, jak powiadano, dusza zapragnęła. Zdawali się chcieć tego, aby się Tadeusz na Zahorodzie rozkochał.

O wyjeździe nie mogło być mowy. Następných dni zjechało się sąsiedztwo, dwóch Skirmunttów, jeden Twardowski i Kwaśniewski, stary druh Godziemby. Wszyscy się popłakali, wszystkim gospodarz prezentował gościa, jako dziecko swoje. Wiedziano też, iż się miał zenić z Jagusią; a nikt nie wątpił, iż mu stary odda, co ma po sobie. On sam unikał mówienia o tem, zdał to snadź na Kwaśniewskiego, który był człek poważny i rozumny, a niegdy regent kancelaryi grodzkiej w Pińsku. Kwaśniewski, snadź z naprawy Godziemby, wziął młodego na stronę i począł mu wystawiać przyjemności żywota wiejskiego.

— Wiem ja to — mówił regent — iż trzymając się klamki pańskiej daleko zająć można, że to życie dworskie smakuje, ale, mości panie, nie warto ono się mierzyć z żywotem szlachcica na wsi. Tam się wielkości kupują upokorzeniem i niewolą, ja tu pan i nikogo, oprócz Pana Boga, nad sobą nie znam, tu ja król. Drugim mogę uczynić dobrego wiele, a sam być szczęśliwym.

— Nie przeczę temu — odparł Tadeusz — że na starość wieś szlachcicowi przystała; ale za młodu czy rycersko czy dworsko, czy przy sądach, trzeba się przecierać i uczyć.

— Aby niedługo — rzekł Kwaśniewski — bo się można zetrzeć w niwecz. Dlatego ja, choć mi na regentostwie do kieszeni płynęło, choćbym był mógł znaczniejszej się fortuny dorobić, wolalem na jednej wsi sięść, żonę wziąć i Pana Boga chwalić, dzieci wychowując dla Niego. Takbyś i acindziej powinien uczynić: dworską służbę cisnąć do kata, a tu sobie osiąść.

— Aleć ja — rzekł Godziemba — nie mam ani z czem, ani na czem.

Spojrzał nań Kwaśniewski, uśmiechając się.

— Jakbyś to acindziej tego nie spenetrował i nie widział, że mu starzy wszystko chcą oddać, byle przy nim siedzieć mogli. Poczciwą żonę i hożą, a i bez kołtuna — toć tu nie wszyscy z kołtunami chodzą, znajdziemy jęgomości na poczekaniu.

Pan Tadeusz, oczy spuściwszy, milczał.

— Takiej łaski ani się czuję godnym — rzekł — ani bym ją mógł przyjąć. Co lekko przyszło, to się nie ceni; pracować muszę sam. Przytem mam jeszcze obowiązki u generała.

— E! porzuciłby to do kroćset! — szepnął Kwaśniewski — co za obowiązki! Szlachcic może sobie szukać gdzie mu lepiej. Chyba tam acindziej serduszek do jakiej dworki ciągnie, a z tego życzyłbym się zwolnić, bo to amory warszawskie nie zdrowe; kobiety popsute, szczególnie w tem nie znajdziesz, chyba łysinę i suchoty.

Z długiej rozmowy nie jednak regent nie wyniósł nad to, iż musiał koniecznie pan Tadeusz do Warszawy powracać.

Trzeciego dnia potem starzy oboje, uroczyście wezwawszy pana Tadeusza, oświadczyli mu, iż cały majątek na niego dymittują; ażeby mu do ożenku nie za-

wadzali, sami się nawet ze dworu do blizkiej oficyny wynieść chcieli. Popłakali się wszyscy. Tadeusz im do nóg padł, dziękując, ale stało na tem, że chciał na ich łaskę zasłużyć, że musiał do Warszawy wracać, do nich zaś miał dojeżdżać, mieszkać czasami.

Nie śmieli mu gwałtu zadawać, ale stary sprowadził, nie zwlekając, regenta i akt donacyjny razem z żoną, dożywocie sobie zapewniając (przy czem obstał młody), sporządził. Jejmość, choć się jej serce krajało na córki wspomnienie, obrachowała snadź, że możeby młodego dziewczyna, za serce chwyciwszy, wstrzymała. Sekretnie więc najprzód w odwiedzinę zaproszono pana Twardowskiego z córkami... A było ich dwie, pięknej urody i wychowania. Potem do Twardowskich Tadeusza zawieźli, gdzie ich przyjmowano bardzo gościnnie. Starszej panienco imię było (nowomodne) Elwira, mówiła po francusku i grała na klawikordzie. Lecz tak wysoko się ze swą edukacją, rodem i posagiem nosiła, iż śmielszy od Tadeusza byłby się jej nastraszył. Panicz się jej pono podobał, był dla niej bardzo grzecznym, lecz gdy go potem Godziemba stary badał, przyznał mu się, że, gdyby kiedy żenić się miał, szukałby skromniejszej niewiasty. Przyznali starzy oboje, iż miał słuszość. Panna była piękna, ale na wsi już tęskniła i nudziła się nią, do wielkiego świata wzdychając.

Po tej próbie pokój dano. Gdy wyjazd się stał nieuchronnym, wymogli na Tadeuszu, żeby brykę na re-sorach nową i cztery młode konie ze stada wziął jedno-mastne; sama jejmość, czem dom miał, wyładowała na podróż sepeciki. Jak syna go wyprawili, płacząc a żegnając, poczeiwi starzy. W ganku Godziemba porwał go

w ramiona, przytulił siwą głowę do jego twarzy i przyrywanym łzami głosem rzekł:

— Pamiętaj, żeś tu rodziców zostawił, którzy po tobie tęsknią, a niech cię aniołowie stróżowie i święci Pańscy prowadzą i odprowadzają.

Smutny pan Tadeusz pojechał do Warszawy, jakby istotnie dom własny, ojca i matkę zostawiał za sobą.

II.

W kwietniu 1763 roku opuścił król August III Warszawę i ostatniego tego miesiąca stanął w opustoszo­nem Dreźnie. Dnia 1 maja po wszystkich kościołach stolicy, przy bieu z dział i dzwonach, odśpiewano *Te Deum*, a dnia 3 t. m. przywiezione napowrót z Königssteinu celniejsze obrazy swej galeryi, te najdroższe klejnoty, Sykstyne swą, Tycyana Grosz Cezara, Magdalene Correggia, Noc sławną oglądał znów rozmiłowany król oczyma za­zawionemi.

W teatrze były pustki jeszcze, czuć w nim było stęchłą przysmak pruskich magazynów, dekoracye spłowiały, artyści się rozbiegli, muzykę zbierać musiano. Król tęskno, smutnie, nieśmiało pytał codzień Brühla, kiedy usłyszy znowu słowicze głosy swoich śpiewaczek. Trzy całe długie miesiące czekać było potrzeba na tę chwilę upragnioną, aż dnia 3-go sierpnia, w dzień imienin króla i uroczystości ustanowienia orderu Orła, otwały się drzwi długo zamknięte, król wszedł do łoży znowu, zagrano mu Hassego Siroë. Odtąd powtarzała się ona, aż dopóki nie przygotowano Talestris, regina delle Amazoni.

Była to opera, którą serce ojcowskie mogło się radować, bo jej libretto i muzykę zarazem utworzyła utalentowana wielce synowa króla, a aktorami była królewska rodzina. Talestris samą grała Marya Antonina.

Po Talestris miała na urodziny sześćdziesiąte siódme króla daną być opera *Leucippo*, gdy znudzony życiem, znękaný bezczynnością, król August III nagle, u stołu, na dwa dni przed tym dniem, dnia 5-go października rozstał się ze światem, z Saksonią, z Brühlem, z galeryą swą i operą.

Łatwo było przewidzieć, że śmierć króla zakończy to panowanie Brühla, którego kresu wszyscy tak niecierpliwie oczekiwali. Minister czuł już swój upadek i po śmierci pana zachorował. Kurfirst następca odjął mu natychmiast wszystkie jego dostojenstwa i urzędy.

General artyleryi zaraz po śmierci króla przybył do Dreznia i pozostał przy ojcu razem z braćmi. Rzeczpospolita tymczasem przeszła niemal cała pod władzę i kierunek Familii, która słabością króla i Brühla siłą nabrała. Wojska obce kraj zalewały. Stronnictwo Radziwiłłów i Potockich, silne szablami, nie miało głowy, co by je umiała prowadzić. Przysposabiała się już konfederacya, zamierzająca z tronu zrzucić Augusta III, gdy Opatrzność oczy mu zamknęła. W chwili jego zgonu stronnictwo dworskie, mimo hetmana Branickiego, potęgi Radziwiłła, zbiorowych sił trzydziestu Potockich z wojewodą kijowskim na czele, mimo Sołtyka, mimo wszystkich swych adherentów, widomie słabsze było, niż obóz przeciwny. Już to samo czyniło je takim, że między dowódcami kilku liczyło pretendentów do korony, dość silnych, by jej po­żądać, za słabych, aby ją otrzymać.

W chwili, gdy wieść o śmierci króla nadeszła do

kraju, sprawa trybunału wileńskiego, którym owaładnął Radziwiłł, trzymała wojsko nadworne wojewody na stopie wojny i wszystkie siły Familii przeciwko niemu zgromadzone. Lękano się wybuchu, zaledwie powstrzymanego staraniem Branickiego i Mokronowskiego. Rozdrażnienie partyi walczących z sobą o lepszą, rozbiecie na obozy nieprzejednane, kazało się obawiać w czasie bezkrólewia największych klęsk, najstraszniejszego zamieszania, na które i obcy obojętnie patrzeć nie mogli.

Młody Brühl, którego położenie w kraju przyswojonym mogło być nadzwyczaj trudne, przebył u łoża ojca chwile przesilenia. Minister, odprawiony przez kurfirsta, otoczony dziećmi, na lepszy świat przygotowany przez protestanckiego duchownego (bo się to działo w Saksonii), zmarł, spełniwszy za zdrowie swych przyjaciół kieliszek starego węgierskiego wina.

Rodzinie jego pozostawał spadek ogromny, ale razem z nim ciężary niezmierne, odpowiedzialność moralna za długie rządów lata, odsłonięcie niezliczonych tajemnic dotąd zakrytych, otwarcie tysiąca ust, które na zamknięcie trumny oczekiwały.

W Saksonii zasekwestrowano Brühlom majątek cały po ojcu; w Rzeczypospolitej wrócono do zarzutu nieszlachectwa i zabierano się obu braciom urzędy, starostwa, dygnitarstwa, dowództwa odbierać. Szczęściem, przez poszanowanie dla pamięci zmarłego króla, sekwestr wprzódce zniesiono w Saksonii, choć w Polsce uzyskana siła nowa przez Familię odzierała generała z tytułów i posiadłości.

W październiku zmarł król na początku, w końcu jego Brühl zamknął oczy, wszystkie klęski sypały się razem, ale stałego umysłu pana generała nie zachwiać

nie mogło. Tam, gdzie mu największe zdawało się grozić niebezpieczeństwo, postanowił wrócić dobrowolnie, aby mu stawić czoło. On i brat jego cześnik w listopadzie wybrali się do Warszawy, gdzie sama jedna, otoczona niechętnymi, ale spokojna i niemal obojętna, modliła się i szyla ornaty hrabina Brühlowa.

Dom jej stałby był może pustkami, gdyby nie wielki napływ do stolicy wszystkich Potockich, którzy wspólnie z panem wojewodą kijowskim niezmiennie byli czynni. Przewaga Familii, która po kraju jednała sobie stronników, siłę czerpiąc poza granicami jego, zmuszała Radziwiłłów, hetmana i Potockich do pilnego czuwania nad sobą. Dom więc pani generałowej stał się, mimo jej woli i chęci, miejscem schadzek i narad, które się tu nieustannie odbywały. Z Krystynopola szły listy, posłańcy, polecenia, nie dające odpoczynku. Z posłuszeństwem dziecięcia generałowa zlecenia spełniała, choć do wszystkich tych spraw serce jej nie przywiązywało wagi.

W tem jednym może zgadzali się z sobą małżonkowie, iż dla obojga ambicya była obcą. Generał artylerji miał tę jedną, iż chciał być użytecznym człowiekiem, cenił środki, jakie mu los ku temu dał w ręce, ale, gdyby ten sam los z życia publicznego go wytrącił, skazał na spoczynek domowy i zabawianie się ciche książkami, sztuką, w kółku ludzi wybranych, nie a nie nie czułby się nieszczęśliwszym.

Pod tym względem młody Brühl więcej miał charakteru ojca chrzestnego, Augusta III, aniżeli rodzzonego. Płakał on po nim, bo stary Brühl dobrym był dla swych dzieci i czuwał nad zapewnieniem ich losu, lecz czuł się teraz swobodniejszym, nie będąc zmuszonym stawiać się ofiarą rachub i intryg, których korzyści nie rozumiał.

Łacno mu było przewidzieć, iż w Rzeczypospolitej z trudnością się potrafi utrzymać na swem stanowisku; nie obchodziło go to wiele, patrzył z rezygnacją, okiem spokojnem na przyszłość.

W Warszawie, w pałacu Saskim, do którego na zimę przeniosła rezydencję pani generalowa, część gwardyi jeszcze zajmowała stanowisko i strażę, służba króla pozostała jak dawniej, Brühl miał pozwolenie zostać pod opieką obu. Na dni kilka przed przybyciem jego nadbiegł kuryer z Dreżna, oznajmujący o generale i bracie jego. Nowinę tę hrabina przyjęła ze zwykłym sobie chłodem i rezygnacją. Jej tu tak jakoś było dobrze, spokojnie samej jednej, pomiędzy kościołem, nabożeństwem a u przejmą służbą pana sekretarza Godziemby i przyjacielską troskliwością starej Dumont, iż przybycie męża chyba zatrwóżyć mogło, aby tego szczęśliwego nie zakłóciło spokoju.

Francuzka, pomimo całej swej gorliwości w zbliżaniu tych serc kochających, które pragnęła połączyć, nie potrafiła jednak ani o krok dalej posunąć tego stosunku dziwnego, który już dla niej stawał się niezrozumiały.

— *C'est du grec pour moi!* — mawiała do do brej swej przyjaciółki, dla której nie miała tajemnic, do pani St. Aubin, właścicielki magazynu mód na Krakowskiem Przedmieściu, u której przebywać lubiła. — Że się oni kochają, to niema najmniejszej wątpliwości, że ten człowiek życie-by za nią dał, to pewna, jak Bóg na niebie, że ona tyle ma szczęścia, póki na niego patrzy i słucha go, ani wątpić, a mimo to... zbliżyć ich niema podobieństwa. Nic im w świecie nie przeszkadza, oprócz tego, co ona cnotą nazywa, a on poszanowaniem. A modlą się, powiadam ci! Ile razy przypadkiem dotknie się hrabina

ręki sekretarza, że to snadź na niej czyni impresję, zaraz pości, a on ani dnia nie opuści, żeby Pana Boga nie nudził, lamentując. Takiej miłości anim sobie wyobrażała, anim mogła przypuścić. Monstrualna! Męczą się, a żeby się to choć komu na co przydało! Brühlowi to talk obojętne... Miłość usmażona w nabożeństwie — dodawała Dumont zniechęcona wielce — piękna mi konfitura!!

W dzień przybycia generała do Warszawy, ostatnich dni listopada, dosyć liczne grono przyjaciół oczekiwało nań w apartamentach Saskiego pałacu: starsza siostra, pani Mniszechowa, piękna i poważna kobieta, której wykształcenie i wychowanie dawało wielką wyższość nad wojewodziną kijowską, oboje Sołłohubowie, naostatek ksiądz biskup krakowski Sołtyk, jeden z najmiłszych w towarzystwie ludzi, który był wiernym przyjacielem Brühla i sługą nieboszczyka króla.

W Sołtyku, mimo sukni duchownej, trudno było dopatrzeć powołania kapłańskiego. Człowiek był wielkiego świata, wychowaniec dworu, pełen talentów, lubiący sztukę, jak wszyscy saskiego dworu uczniowie, muzyk, miłośnik teatru i kwiatów, przepychu i świetności. Unysł niezmiernie żywy, wesołość i dowcip, galanterya dla dam, swoboda mowy i obejścia, więcej w nim francuskiego *abbé*, niż polskiego duchownego przypominały.

Piękna twarz i zręczna postawa, do której zdawał się przywiązywać wagę, ubiór zawsze świeży i wykwintny, wskazywały człowieka, którego charakter nie odpowiadał powołaniu, i który waleczyć sobie nie zadawał pracy nad tem, aby się innym niż był wydawać.

Oprócz niego, pani Mniszechowej i Sołłohubów, z Potockich był tu jeszcze znany ze swej ekscentryczności i zuchwałego obejścia starosta szczyrzecki, którym się

często posługiwał wojewoda kijowski, mężczyzna postaci okazałej, mówiący głośno, śmiejący się krzykliwie i poczynający sobie w towarzystwie nieco po żołniersku. Znało go z fantazyi niemal do starosty kaniowskiego zbliżających i buty, która żadnego hamulca nie знаła. W salonie starosta bywał postrachem kobiet i niepokojem mężczyzn, bo nigdy odgadnąć nie było podobna, z jaką wystąpi fantazyą, lub z jakim rumieniem wywołać mogącym wyrazem.

Zmęczone rysy twarzy, oczy nabrzękłe, rozogniona cera, kazały się domyślać życia wcale nie oszczędzanego. Strój zaniedbany dozwalał posądzać, że z garkuchni od swobodnych koleżków dostał się wprost do pałacu. Nie był to jednak człowiek zaniedbanego wychowania, i owszem, znać na nim było jak najstaranniejsze, ale rozpasaniem i jakby wzgardą form wszelkich popsute.

Pierwsze miejsce w salonie zajmował naturalnie ks. biskup krakowski, rozparty na krześle przy kanapie, obok pani generałowej przyjmującej w nim duchownego, gdy prałat zdawał się o to starać tylko, aby o tem zapomniano. Wsparty od niechcienia na rękę, Soltyk, którego koronkowych mankietów i klejnotów mogła pozazdrościć największa elegantka, miał twarz dosyć zakłopotaną i posępną. Trochę opodał siedząca hr. Mniszchowa, piękna i spokojna postać, przeglądała rysunki jakiegoś dzieła, przyniesionego z biblioteki. Sollohubowa zawsze cudnie piękna, a tego dnia więcej ożywiona niż kiedykolwiek, roztargnionem okiem spoglądała po twarzach obecnych. Za jej krzesłem stał mąż, blady, zamyślony i znużony.

Starosta szczerzecki, któremu na miejscu trudno było usiedzieć, przechadzał się po salonie, poruszając się

z fantazyą taką, z jaką rzucał słowami. Gospodyni domu mileżąca wydawała się więcej zakłopotaną, niż szczęśliwą ze swych gości, których zabawić jej było trudno. Dumont byłaby jej w tem zapewne pomocą, gdyby rozmowa się nie toczyła o sprawach Rzeczypospolitej, których ona mało była świadomą.

Przybycie hr. Brühla zapowiedziane było na wieczór nieochybnie. Spodziewano się go też co chwila, i generał z bratem przyjechał w istocie o oznaczonej godzinie, lecz musiał się przebrać, nim mógł ukazać się u żony. Rozmowa toczyła się właśnie o Dreznie i Maryi Antoninie, żonie kurfirsta, gdy Brühl z bratem wszedł na pokoje, a zarumieniona żona uznała za właściwe zbliżyć się doń kilka kroków na powitanie. Generał ucałował jej rękę z wielką uprzejmością, po cichu kilka słów przemówiwszy, a tuż do stojącej blisko zwrócił się zaraz pani Mniszchowej, która go serdecznie, jak on ją, uściśkała.

Zaczęły się powitania z biskupem, który bardzo gorąco przyjął generała, ze starostą szczerzeckim, który śmiał się i krzyczał, z panią Sollohubową, której oczy oddawna się spotkały ze wzrokiem Brühla, a twarz zdradziła uczucie, naostatek z Sollohubem, a nawet ze starą Francuzką, dygającą zdaleka.

Mimo żaloby domu i królestwa, przykrych zawodów i przejść, jakie go spotykały i których się mógł spodziewać generał, twarz jego była wypogodzona, zdawał się zupełnie spokojnym i niestrwożonym. Usiadł przy biskupie, naprzeciw pani Sollohubowej, i zaczął mówić o swej podróży.

Biskup słuchał roztargniony. Widocznem było, że przyjaciel saskiego domu pośpieszył tu na powitanie przy-

bywającego w nadziei dowiedzenia się co słyhać było w Dreźnie.

Zwolennicy saskiej dynastji łudzili się jeszcze tą nadzieją, że słaby, ułomny, niedołężny Fryderyk Chrystyan, a raczej nadzwyczaj zdolna, zręczna i zabiegliwa żona Marya Antonina, która pragnęła tronu i królewskiej korony, potrafi za poparciem mocarstw i pomocą partyi dworskiej zwyciężyć na przyszłej elekeyi. Biskup Sołtyk był jednym z tych, którzy sobie tego najmocniej życzyli. Autorka Talestris, królowej amazońek, uczennica sławnego Porpory, była bardzo łaskawą na biskupa, a ksiądz Siewierza wielkim wielbicielem nie tylko jej rozumu i talentów, ale nawet wdzięku niewieściego, który u niej piękność zastępował.

Wszyscy pragnęli natychmiast dobyć z przybyłych wiadomości, jakie przywozili z sobą. Pani Mnischowa młodszego brata wzięła do wybadania na ustęp, reszta towarzystwa czekać musiała, aż generał dozwoli się zacząć badać. Brühl do tego mało okazywał ochoty.

Dwa czy trzy razy biskup go po cichu zagadnął, i otrzymał grzeczną, wymijającą odpowiedź. Oczy Brühla szukały przedewszystkiem jednej uśmiechającej mu się zdala twarzyczki i pozoru, by się do niej mógł przybliżyć. On i Sollohubowa mówili z sobą zdala tym językiem wejrzeń, który powiada wiele, ale rodzi pragnienie, aby to usta mogły powtórzyć.

Sołtyk zrozumiał wprędce, iż do rozmowy o poważniejszych sprawach chwila jeszcze nie przyszła. Generał wstał wprędce i począł od Sollohuba samego, zapytując go o zdrowie; to mu dozwoliło przysunąć się nieco do pani i podać jej rękę raz jeszcze. Wcale się nie troszcząc o wejrzenia i świadków, zwróciła się ona ku

niemu z powitaniem, w którym radość szczerą znać było. Wtem starosta szczerzecki, zostawiony sam sobie i trochę tem dotknięty, odebrał Sollohuba i na chwilę generała samego przy żonie jego zostawił.

Miała czas szepnąć tylko:

— Nieznośne natręty! ale przyjdź-że jutro do mnie!

— Piękna kuzynko — odparł Brühl — nie potrzebowałem ani zaproszenia, ani przypomnienia. Jeślim z Dreznna tu w paszczę moich nieprzyjaciół dostać się tak pośpieszał, wierz mi pani, twe oczy więcej niż polityka, do tego się przyczyniły.

— Bardzom za to moim oczom wdzięczna! — cicho szepnęła Sollohubowa, lecz tyle tylko powiedzieć sobie mogli, bo pani Mnischowa z powagą starszej siostry wabiła go już do siebie. Cześnik jej nie starczył, Alojzemu wierzyła więcej i lepiej z nim sympatyzowała. Zmieniło się więc o tyle, że młodszy Brühl przysiadł się do Sollohubowej, a starszy do siostry.

W chwilę potem podano wieszczkę i towarzystwo przeniosło się do jadalnej sali, a u stołu już mowa tylko była o tych rzeczach, o których i przy służbie i na ulicy bodaj mówić można. Kurfirstowa, którą zwano imieniem jakie jej nadała akademja pasterzy arkadyjskich — Ermelindy, osoby dwór jej składające, nowe słońca na horyzoncie drezdeńskim wschodzące, muzyka, malarstwo, teatr, którym pod panowaniem Ermelindy świetną wróżyło przyszłość, były przedmiotem powszechnego zajęcia, i nie dziw, że starosta szczerzecki pił tylko i ziewał, słuchając.

Rzecz godna uwagi, jak niemal od Augusta Mocnego, który sam więcej przepych i świetność lubił, niż sztukę, miłość kunsztów zagnieżdżiła się na dworze i prze-

szła na wszystko, co go otaczało. Gdy Fryderyk pruski zaledwie w nagiej Magdalenie Battoniego miał upodobanie, żartując sobie ze sztuki i artystów, August III żył niemal obrazami, teatrem, muzyką, żona jego malowała pastele, pierwszy minister zostawił galeryę przepyszną, jego syn był muzykiem, malarzem, pisarzem dramatycznym, córka Mniszchowa przyjaciółką Winckelmanna, a kurfirstowa, uczennica najslawniejszego z kompozytorów ówczesnych, sama też uprawiała sztukę namiętnie.

Młody Brühl należał właśnie do tego świata, który wyrósł z miłością kunsztu, na ruinach swawoli Augusta II i jego kochanek. Było to dziecię swojego wieku, w całym tego wyrazu znaczeniu; bo w nim talenta przyjemne łączyły się z umysłem męskim i poważniejszą nauką, która przyszłość zdrowszą zwiastowała.

Mówiono więc o operze, o muzyce, o amatorskich teatrach, a jak najmniej o polityce, choć biskup i starosta szczerzecki radzi byli właśnie i z Brühla coś wyciągnąć i jemu opowiedzieć, co się tu święciło.

Dopiero po wieczery, gdy damy przeszły do salonu, ks. Soltyk szepnął, że radby pomówić na osobności z generałem. Obaj oni, starosta i Sollohub, weszli natychmiast do pobocznego gabinetu. Tu książe Siewierza nie usiadł jeszcze, gdy zagadnął Brühla:

— Cóż przywozicie? co się dzieje na dworze? są jakie nadzieje, że kurfirst... seryo się weźmie do starania o koronę?

— Kurfirst? — rzekł cicho generał — to znaczy chyba, że Ermelinda za niego zajmie się tą sprawą. Wiecie, jak mało on może i jak niewiele potrafi. W Rzeczypospolitej król bez nóg, który ani na konia sięść, ani nawet przejść o swej sile przez pokój nie może, nie po-

zyska sympatyj. Ale nasza pani, Ermelinda arkadyjska, zasypie listami wszystkie dwory, posłańcami gościńce, poruszy kancelaryę państwową, potrafi sobie przymilem i urokiem zyskać nawet przeciwników, bo pragnie korony i mieć ją musi.

— Wszystko to furda — przerwał sobie właściwym tonem gwałtownie starosta szczerzecki — nie pomogą potencie, gdy za sobą szlachty mieć nie będzie.

— Zdaje mi się — gorąco odezwał się Soltyk — że dwa panowania dynastji saskiej i jej dobrodziejstwa, rozlane na tyle rodzin i osób, już same znaczną część narodu pozyskaćby powinny. Byłoby srogą niewdzięcznością.

Brühl się uśmiechnął.

— Wasza Eminencya zapominasz — rzekł — ile w ostatnich czasach goryczy, żalów i rekryminacji przeciwko królowi powstało.

— Od tych, którzy mu najwięcej byli winni — dodał Soltyk. — Potrzeba się starać, nie opuszczać, a mam nadzieję, że jedyny kandydat obcy i kwalifikujący się pochodzeniem do tronu utrzymać się potrafi.

— Dziś już — przerwał starosta — przeciwko niemu sięją tu podejrzenia, że trzeci z rzędu Sas niemal dziedzicznym tron uczyni, a tego szlachta nie chce.

— Bo sama nie wie, czego chce — ofuknął się biskup bardzo żywo — tak jest. Tron dziedziczny bezpieczniejszym-by był, niż elekcyjny, i z nim mielibyśmy więcej ładu z czasem.

— Ale my ładu takiego nie lubimy — rozśmiał się starosta — nam on niedogodny. Patrzenie na Familię, która póty prawila o reformach, póki się nie zbliżyła elekcyi. Już dziś o nich — cyt, ani słowa!

Biskup oczyma tylko Brühlowi wskazał starostę, jako przyczynę, dla której od dalszych się rozpraw wstrzymywał, i nagle zwrócił się ku innemu przedmiotowi.

— Zamiast reform z łaski Familii — rzekł — na wojnę się zanosi. Im dalej i dłużej idziemy w bezkrólewiu, tem straszniejsze nam grożą niebezpieczeństwa. Familia ma silną podporę obcą, i wkrótce przewodzić będzie... naówczas...

— Naówczas — dodał, kłaniając się, Brühl — pierwszym użytkiem przewagi jej będzie, spodziewam się, zemsta nade mną, do której jestem zresztą zupełnie przygotowany. Wiem, co mnie czeka. Jeżeli jednak sądzą, że postrachem wygonią stąd i zmuszą do ustąpienia, mylą się srodze. Odebrać mi mogą wszystko, oprócz przywiązania, jakiego nabrałem do tego kraju, i nawyknienia do niego a nadziei, że chwilowe ich zwycięstwo nie będzie ostatniem słowem losu.

— Tak — westchnął, marszcząc się, Soltyk — nie tajmy jednak przed sobą, że my, adherenci dworu saskiego i dynastji, ciężką mieć możemy chwilę do przebycia.

Starosta szczerzecki, który stał przy stole, obiema rękami weń uderzył.

— Ale, ale! — zawolał — Wasza Księżęca Mość, księżę biskupie, zapominacie, że dalipan i Potoccy też coś znaczą w Rzeczypospolitej, i pan hetman Branicki ma powagę, i z księciem Radziwiłłem nie przelewki też.

— Policzcież się — krótko odparł Soltyk — a przekonacie pono, że Familia ma więcej, niż my wszyscy, i potężniejszego sprzymierzeńca...

Potocki głową pokiwał.

— Zobaczmy — rzekł — myśmy tu przecie na swoich śmieciach i to coś, znaczy. Zobaczmy.

Brühl spytał, kto był w Warszawie, i odebrał odpowiedź, zwiastującą hetmana z jednej, kanclerza i wojewodę ruskiego z drugiej strony. Stolica była poruszona, radzono mu ostrożność wielką.

Starosta szczerzecki dopiero teraz dobił sporą opieczętowaną paczkę papierów od wojewody kijowskiego, i zwolna ostygły rozprawy, jakby się w niewielu słowach wyczerpały.

Mimo należenia do jednego obozu, Soltyk, Brühl, Potocki i Solłohub, odzywający się mało, może zbyt różnie się zapatrywali na położenie, ażeby o niem otwarcie mówić mogli. Wkrótce więc pożegnano gospodarza.

III.

Tegoż wieczoru u Peszla było tłumno i nasi dawni znajomi znówu w osobnej izbie zamknięci siedzieli nad gąsiorkiem wina.

Podkomorzy Laskowski, pan Zagłoba, Ocieski, Kostrzewa i Babiński obsiedli stół, przyjawszy do towarzystwa dwóch szlachty powietników, panów Łukińskiego i Strabasza, odzywających się mało, ale popijających rzetelnie. Ci ichmość, którzy nie dla spraw politycznych, ale ze skłoniną jeden a z jagłami drugi, przywlekli się do stolicy, uczyli się tu polityki, dotąd im prawie obcej.

Laskowski, jak zawsze pragnący pokoju i zgody między panami chrześcijańskimi, teraz wyglądał śmielszym i pewniejszym siebie, znalazłszy się o kogo oprzeć. Pierwsza autoritas w Rzeczypospolitej, JMksiądz prymas Łubieński, był jego zdania i systemu, a że czasu bez-

królewia powaga jego była wielka, pan podkomorzy cieszył się tem, iż w prymasowskim pałacu nastąpi pacyfikacja.

Dla niego ks. Łubieński był wyrocznią i imię jego ciągle też miał na ustach. Ze zdaniem zaś otwartem tem szczerzej się mógł tu ogłaszać, iż przyjaciele jego własnego tak dalece nie mieli.

Ocieski tylko, który fantazyi Brühlów winien był i majątek i pokój domowy, jakimś osobliwym sposobem przyszedł do tego rezultatu, bardzo zresztą często się trafiającego, iż Brühlów nienawidził i znosić ich nie mógł. Kostrzewie Sasi, czy nasi byli obojętni, byle mógł z pszenicą iść do Gdańska. Babiński często dwa razy na dzień był zupełnie przeciwnego zdania i wcale się tem nie martwił. Mąż był uczuciowy i słuchał popędów. Co się tyczy Zagłoby, tego najlepsi jego przyjaciele nie rozumieli. Żartował bowiem ze wszystkiego, co się wyszydzić dało, i mało na czem i na kim pocziwiał nitkę zostawił.

Właśnie był podkomorzy Laskowski wyłożył obszernie swą ideę pojednania, posłannictwo to przyznając prymasowi i uznając je możliwem, gdy Zagłoba dopił lampki, postawił ją na stole, otarł wasy i rzekł:

— Jest przysłowie: chłop strzela, Pan Bóg kule nosi, a tyczy się to bodaj nie samych chamów, ale i innych istot dwunożnych.

— Do czegoż to przepijasz? — zapytał Laskowski.

— Nic, tak sobie, przypominam przysłowie, a lękam się, aby na prymasie się nie ziściło, chociaż mu chłopstwa nie zadaje, quod Deus avertat, jak Familia Brühlowi.

— Acan dobrodziej wiesz — huknął Ocieski —

że owo to szlachectwo swe mniemane szoldry te mnie były winne. I ślicznie się z niem wykiepowali.

— Wiem wszystko, nawet jak acanu dobrodziejowi zapłacili za jego powolność — rzekł skarbnik — w czem grzechu niema, bo beatus qui tenet...

— Ale oni mnie zgubili na czysto! — krzyknął Ocieski. — Co oni mi dali? Mizeryę, mogli daleko więcej, jak Boga kocham. I co się stało? Człek zaraz fantazyi nabral, dzieciaków przybyło, czterema końmi się jeździć zaczęło, i w domu już Tadeusza śpiewamy. Gdyby nie oni, lajdaki, byłbym się majątku dorobił.

— Masz acieńziej rację — rzekł, uśmiechając się skarbnik — niegodziwi ludzie, a acieńziej padleś ofiarą.

Ocieski spojrzał niedowierzająco na mówiącego, czy nie szydzi; lecz twarz starego Zagłoby, gdy najmocniej drwił, największą się przyoblekała powagą. Kostrzewa się rozśmiał tylko i to mu służyło za dobry pretekst do dokończenia kieliszka, który zaraz podkomorzemu przysunął, bo lubił chodzić koło szkła czysto.

Babiński łysinę pogładził.

— Niema tedy najmniejszej wątpliwości — ciągnął dalej skarbnik, iż się wszyscy pogodzą, pocałują, uściśkają, a my tę sprawę zapijemy. Ale, mój podkomorzy — dodał — objaśnij-że mnie w takim razie, kto tu nam królować będzie? Ja, wyznaję ci, ciemny jestem. Widzę dokola kandydatów do tej korony, którą, gdyby mi dawano, jabym cierniową wołał, tyłu, tyłu, że choć na węzełki ciągnąć.

— A ja jednego kandydata rozumiem — zamknął Laskowski — to najjaśniejszego kurfirsta. Prymas także będzie za nim.

— Kaleka — rzekł skarbnik — ale mniejsza o to,

żonę ma mieć fertyczną, a u nas w Rzeczypospolitej, gdy po domach podwika rządzi, czemu by i na tronie nie miała? Kto z nas, mości panowie, nie pod pantoflem?

Rozśmiali się wszyscy, a że byli podochoceni, chórem się ozwali:

— Jak Bóg miły, ma słusność!

— Zatem wiwat królowa, i młodzieży naszej będzie się z nią dobrze działo — dodał skarbnik — bo przybywający z Saksonii dworzanin ks. biskupa krakowskiego, Burba, mówił mi, iż konwersacye z młodzieżą dobrze wychowaną na osobności lubi. Jest tam kunsztmistrz fryzyer na dworze, który ją czasem fryzuje.

Laskowski przerwał oburzony.

— Ale cóż bo znowu prawisz! panie skarbniku! horrendum, stary człek, poważny.

— No, to nie fryzuje, nie fryzuje, kłamstwo jako żywo — poprawił się Zagłoba. — Tandem, gdybyśmy pod te czasy, gdy się ma ku sejmowi konwokacyjnemu, a dalej i elekcyja za pasem, przeszli sobie, dla odświeżenia pamięci, ilu mamy królików, coby królami być chcieli? Juścić to rzecz ciekawa. Waćpanowie wiecie, gdy raz na żart, wśród pola elekcyjnego Polanowskiego okrzyknięto, po dziś dzień Polanowscy się tem szczycą, więc dla potomności zliczmy sobie naszych kandydatów.

— Primo — wtrącił Ocieski — niema bliższego korony nad hetmana.

— Pewnie — odparł skarbnik — już przez to samo, że całe wojsko ma w ręku; tylko, że to nie pretoryanie, mości panie. Hetman powaga wielka, i lata słuszne, długo panować nie będzie, więc nowa elekcyjka i szlachta się rozrusza, przejedzie, zażyje świeżego powietrza, spleśniałych talarów ruszy.

— El! el! — krzyknął Ocieski — pan skarbnik drwisz, a gdy oto właśnie hetman jechał z Białegostoku do Warszawy, trzeba było, żebyście byli widzieli i słyszeli, jak go szlachta po drodze witała, przyjmowała, niemal zawczasu w nim czeczając głowę koronowaną. A wjazd jego do Warszawy? widzieliście?

— Nie — rzekł skarbnik — którydyż wjeżdżał? z przodu, czy z tyłu?

— Przez Pragę! całe miasto się wyroiło na spotkanie, okrzykiwano go jak zbawcę! I niech mi ks. prymas daruje, jeśli kto się dla zgody kwalifikuje, to on.

— A tak... trzyma z Potockimi i Radziwiłłami, to wiadomo, a przez żonę spokrewniony z Familią.

— To prawda — rzekł Laskowski.

— No i przez Mokronowskiego z żoną — rzekł skarbnik.

— Jakto? — zapytał Ocieski.

— Cóżem powiedział? tfu! — poprawił się Zagłoba, lapsus linguae, mów dalej.

Ale Ocieski urwał i zapił.

— A no, przecie i ks. kanclerz — wtrącił Babiński — to też kandydat.

— Nietylko on, gdyby na upartego chcieć, dałby się zgwałcić do korony i wojewoda ruski, tylko leniwy, więc gotów ks. Adama na swe miejsce postawić. Drużdy mówią, że i ten woli z gołą głową chodzić, niż w ciężkiej obłęczy, boć asanowie wiecie, że Chrobrego korona nic innego nad obłecz złotą była. Zatem Familia możeby już i siostrzeńcem nas zaspokoila. Pan młody, piękny, król dla kobiet tak doskonały, jak kurfirstowa byłaby dla paniczów. Mówi dziesięciu językami; włosy ma śliczne, rękę cudną, wymowę poruszającą. A że

młody, jakbyśmy my szlachta wzięli go na edukację, jedno z dwojga, albobymy z niego zrobili, co się zowie króla, alboby chyba nie był wart.

Zaczęto się śmiać. Ten ostatni kandydat wydawał się owocem żartu pana skarbnika.

Laskowski słuchał nachmurzony.

— Dałbyś bo pokój, mój Zagłobo — bo aż uszy wieǳną.

— Któż co niedokończonego porzuca? — odparł poważnie skarbnik — ani gąsiorka nie godzi się niedopitego zostawić, ani listy kandydatów. Czyż, na przykład, milczeniem godzi się pokryć takiego pana, jak ksiąǳę Ogiński, który gra na flecie, muzyki komponuje, maluje ślicznie, śpiewa jak kanarek i piękny być ma, gdyby Adonis. A toć to szczęście-by było mieć na tronie flecistę, używalibyśmy darmo, za co inni drogo płacą. Grałby dla swych poddanych gratis, a poczekawszy, i na swoich poddanych.

Wszyscy się śmiać poczęli. Zagłoba się namarszczył i był poważniejszy niż kiedy.

— Waćpanom śmiech, a to rzeczy seryo — dodał — dobrze mieć panem muzyka, z taktem będzie rządził.

— Czy już acinǳiej skończyłeś? — zapytał Laskowski, któremu ta lustracya kandydatów nie przypadała do smaku.

— Jeszcze nie — rzekł Zagłoba — nie mogę pominąć pana wojewody kijowskiego, Potockiego, o którym gadka chodzi, że mu się też zachciewa złotego stołka. Co się tego tyczy, jabym go sobie nie życzył. Słyszę, w skórę bije bez ceremonii, a jeżeli dziś prosty szlachcic używa tego środka dla uspokojenia umysłów, cóżby to było, gdyby się ubrał w płaszcz z gronostajami? My sta-

rzy, cośmy do tego nie przywykli, bylibyśmy w przykrem położeniu. Cóż dopiero, gdy człek pomyśli, że to jedna krew ze starostą kaniowskim, który do Żydów strzelał, jak do zwierzyny? Jakby go wielkim łowczym zrobił, wybilby nam wszystkich Szmulów, a szlachcie bez faktorów i arendarzy się obejść gorzej, niż bez koszuli.

Znowu się rozśmiali wszyscy, tylko Laskowski ruszał wąsami.

— U waćpana wszystko żarty — rzekł.

— A w żartach zawsze połowa prawdy — odparł skarbnik — dlatego całej nie mogąc powiedzieć, pod te czasy bezkrólewia i sądów kapturowych, wolę choć połowę.

— Ale lista wyczerpana — przerwał Laskowski — a gąsiorek napół pełny.

— Damy radę obojgu — rzekł żywo skarbnik — chociaż ażeby lista wyczerpaną być miała — nego. Jest jeszcze jeden kandydat, chociaż daleko stąd... nad Nową, a zowie się Gurowski *). Mówią, że za nim potężne głosy przemawiają.

— Cóż to jest? kto? co? — przerwano — nikt o tem nie słyszał!

— Sekret — rzekł Zagłoba. — Mówią, że tak kiziołki przewraca, iż z nim nikt iść w zapasy nie może. Tego talentu też lekce sobie ważyć nie można. Zda się.

Laskowski wstał oburzony.

— Jak mi Bóg miły! — zawołał — cierpliwości braknie. Zagłobo! serce moje, mówmy seryo. Toć nie czas do baraszkowania. Umysły ku zgodzie prowadzić,

*) Historyczne.

nakłaniać do opamiętania zwaśnionych, to dziś święty obowiązek.

— Kochany podkomorzy — wtrącił niepoprawny szyderca — to wasza misja; moja zaś, pod te ciężkie czasy, gdy każdy z nas coś ma na wątrobie, starać się choć trochę smutek przerwać i z żółci oswobodzić.

— Wszystko na prymasie — odczuwał się, już nie odpowiadając podkomorzy — tam się czy nasze zwracać powinny, tam nadzieje.

— Zatem wiwat... prorox! — zawołał Zagłoba — i koniec.

Wypił Laskowski, gdy się drzwi ostrożnie, powoli uchylili, i znana fizys o trzech podbródkach pana mostowniczego Żudry w nich się ukazała. Przypatrzył się wprzód zgromadzonemu, a nie widząc pomiędzy nimi nikogo sobie wstrętliwego, wtoczył się, witając, ręce podając, śmiejąc się, w bardzo miłym humorze. Postawiono mu lampkę, ale on sam chłopca zawołał i wino podawać kazał.

— Znowuśmy tedy wszyscy tu razem — rzekł — ale pono tym razem inaczej, niż przeszłym. Na przeszłorocznym sejmie, chociażśmy się gracko trzymali, Niemcy nas przez kij przesadzili, wzięwszy w pomoc przecherów; teraz co innego się święci i zagramy noviter reperitis, po tebkach ichmościom.

— A najlepiej, żebyśmy nie grając, nie odgrywając się, podali sobie ręce do zgody i myśleli mniej o sobie, a więcej o Rzeczypospolitej — rzekł zaraz Laskowski.

— To mi się trudno widzi — po chwili zawołał Żudra. — My będziemy mieli siłę i przewagę, nie może być, ażebyśmy jej nie użyli.

— Przeciw komu? — spytał Laskowski — Niemców niema.

— Ale potomstwo zostało — mruknął Żudra — tandem, mówmy może lepiej o czem innem.

— Masz acindziej słuszność — potwierdził skarbnik. — Jakże tam u was kopa wydaje?

— Gdzie? u nas? — spytał Żudra — na piaskach, to wiadomo, żyto omłotne, ale kop mało, a gdzie ziemia czarna, słomy dużo, ziarna mało.

— Zawsze i to dobrze, że się macie na czem wyśpać — rzekł skarbnik.

Śmiano się znowu i wina przyniesiono, a ponalewało lampki.

— Gdyby Szymanowski się tu jeszcze zjawił — rzekł Żudra — toby mi przypomniło się spotkanie przeszłoroczne w tej izbie.

— Czyście się aspanowie potem rozprawiali? bo nie wiem — mówił Laskowski — a mam was w podejrzeniu.

— A jakże — odparł Żudra — musieliśmy nazajutrz za wolą królewską trochę się pociupać. Nie stało się nic strasznego: jam Szymanowskiemu kontusz przedziurawił, on mnie czapkę, krawcy na tem zyskali.

Machnął ręką.

— Teraz, po zerwaniu sejmu, na nowem wójtostwie gospodarując, wątpię, by miał czas i ochotę do Warszawy. Zmieniły się też okoliczności... Nieboszczyka Brühla nie stało, wójtostw niema dawać komu, ani dukatów — po co do Warszawy jechać?

Zmilczeli wszyscy.

— Jeszczem się nigdy tak nie uznoił, jak na tym sejmie — mówił Żudra. — Łaska boża, iż płuca wytrzy-

mały, nogi i żołądek. Com się nakrzyczał, co nalatał, a com wypić musiał, dziś mi się bajecznem wydaje. Zerwali sejm, prawda, aleśmy się im nie dali.

— A oni wam — dodał Zagłoba powoli. — Nie można powiedzieć, przykładnie obie strony się znajdowały, obroniły swój honor, choć honor kraju dyabli wzięli.

— A kto winien? — podchwycił Żudra — nie my.

— I nie wy i nie oni — pośpieszył z odpowiedzią skarbnik — winien los, który zawsze figle płata. Ludzie biedni Bogu tylko ducha winni, a gdy im fatum, jak koniowi Żyd na jarmarku, żeby ogona zadzierał, pieprzu podsadzi, co za dziw, że brykają.

— Teraz my górą — nie odpowiadając, począł Żudra — a że tam pan hetman przyprowadzi jakie parę tysięcy, a ksiązę Radziwiłł jaki tysiąc, a choćby kijowski wojewoda drugie tyle — furda! mości panie... przemożemy.

— Tak, cudzoziemskim autoramentem — dodał Zagłoba — i to wielka zasługa i polityka doskonała, cudzemi rękami żar zagrzebiecie. Zrobi się co niedobrego, winni obcy, a stanie się co dobrego, zasługa wasza, bo któż ich zaprosił? Nie darmo stary ksiązę kanclerz za największego polityka uchodzi. Centum laudes.

Zmieszał się Żudra nieco i zamilkł, a skarbnik dalej chwalił:

— Ja w rozum Familii wierzę, jak w ewangelię. Gdyby go nie mieli, czyżby przyszli z kniaziów małych do takiej fortuny i znaczenia? I to coś znaczy. Wszystko w rękach ich rośnie.

Popatrzał mostowniczy i, jak przed chwilą Ocieski, sam nie wiedział znowu, czy Zagłoba żartował, czy chwalił w istocie. Zamilkł więc. Z nim się zadzierać i rąbać

nie było sposobu: nimby do czego przyszło, językiemby zawsze pobił.

— Mówiono mi — odezwał się Żudra, popiwszy — iż młodzi Brühlowie, którym daliśmy krzyżyk na drogę, sądząc, że nie powrócą, podobno dziś nazad do nas przyjechali. Sprowadził snadź zięcia pan wojewoda, ano mi nieboraka żal... bo mu tu goręcej być może, niż na sejmie. Tam się już z golemi widział szablami, gdzie żelaza nie zwykliśmy dobywać, może się teraz nietylko widzieć z niemi, ale i powachać ich, bo się one kapturów nie zlekna, jak się sali sejmowej nie bały. Ho! ho! Nie chciałbym być w jego skórze.

— Ani ja — dodał Zagłoba — skóra niemiecka, a szlachciec polski, jak to mu tam siedzieć być musi niewygodnie.

— Wietrzeje mu ono szlachectwo! — dodał Żudra, stukając szklanką o stół — za to ręczę, śladu go nie zostanie kędy było.

— Oprócz na tym nieszczęśliwym Ocieskim — odezwał się z politowaniem skarbnik — bo tego nieboraka ono szlachectwo zgubiło.

Żudra się obejrzał.

— A juścić! — potwierdził zagadniony — święta prawda, której się nie zaprę. Oszukali mnie Niemcy, bzdurstwem gębę zatknawszy; dlatego im to na dobre nie wyszło. Człek za życia ministra milczał — praepotentia, co robić było? a teraz, na dobry ład, godziłoby się im proces wytoczyć.

— Szczególniej o przyrost familii — dodał Zagłoba — niechby ją choć wyposażyli...

Zaczęli się uśmiechać Babiński i Kostrzewa. Ocie-

ski, już ręką wywinawszy w powietrzu, więcej się nie odzywał.

Pora też była do domu i musiano śpieszyć się z wyłączeniem gąsiora, bo w późniejszej porze, mimo straży marszałkowskich i starościńskich w ulicach, nie bardzo było bezpiecznie. Wszyscy panowie, którzy z dworami przybyli do Warszawy, ze sługami, czeladzią i wszelkiego rodzaju ciurami, naprowadzili tu rozmaitego ludu... skłonnego do burd i awantur. Listopadowe noce bywają ciemne, miasto nie było oświecone, chłopcy z latarkami dla wszystkich nie starczyli. Podkomorzy Laskowski ujął Zagłobę pod rękę, choć do niego miał żal wielki za tak lekkomyślne traktowanie spraw publicznych, i miał pono zamiar uczynić mu za to we cztery oczy wymówkę. Wyszli więc, rozplaciwszy się z winiarni, a znalazłszy szczęściem chłopaka z łójówką w latarence, kazali się na Podwale prowadzić.

Okolo zamku i w głównych ulicach ruch jeszcze był wielki, konnych zwłaszcza mnóstwo, każdy zbrojny, a ci, co po kilku jechali, w głos rozmawiali, śmiali się i nawoływali.

Szli tedy bezpiecznie, że wśród tak ożywionej części miasta nie im się nie stanie i szabel dobywać nie przyjdzie, gdy z boku okolo Panny Maryi okrutną posłyszeli wrzawę.

Wszyscy przechodnie i przejeżdżający postawili, aby się temu przysłuchać. Głosy się szeroko rozlegały.

— Rozsiekać tego niemieckiego sługę! rozsiekąć!

— Cóż to ulica nie wszystkim wolna? — wołał głos drugi.

— Czemu z drogi nie ustępujesz?

— A wy dlaczego macie tu prym trzymać?

— Znamy cię, kawalerze!

Hałasowano tak, aż i szcęk szabli dał się słyszeć i naraz umilkło — snadź się wzięli do rzeczy.

Laskowski, choć nierzad był mieszać się do spraw cudzych i wdawać w burdy uliczne, poczuł w sobie krew szlachecką, szabelka mu zaświerzbiała, sam nie wiedział, jak jej dobył, i z Zagłobą razem polecili na odsiecz.

Nim dobiegli, już się tu na dobre rozprawa zaczęła. Mężczyzna na koniu siedzący, do muru przyparty, bardzo rażno krzyżową sztuką odbijał się jak mógł trzem razem następującym nań także konnym ichmościom, którzy, oskoczywszy, naciskali. Na ten hałas powybiegali ludzie ze światłem z blizkich domów, ale się tylko przypatrywali, nie mieszając do niczego.

Młody człowiek, którego napadnięto, bronił się bardzo dzielnie, jednego już płał po uchu tak, że, zalawszy się krwią, ustąpić musiał i chustą sobie, klnąc i łajac, ranę naciskał. Dwaj drudzy tem zajadlej napadali na niego, gdy Laskowski dobiegł z impetem i krzyknął:

— A cóż to się dzieje! w kilku na jednego! a toć to rozbój na gładkiej drodze!

Ale nie posłuchano. W tej chwili broniący się dostał cięcie w rękę z jednej, w głowę z drugiej strony, zachwiał się i z konia padł na ziemię, a szkapa, wyrwawszy się, skoczyła, wierzgając. Napastnicy zaś, zobaczywszy co się dzieje, natychmiast pierzchnęli, tak, że podkomorzy miał ledwie czas ich kokardy zobaczyć i po nich poznać kolory i służbę Familii.

Wnet z Zagłobą razem i chłopcem, co im świecił, zbliżyli się do leżącego na ziemi, który z powodu

uderzenia w głowę chwilowo oghuszony i bezprzytomny leżał.

Był to piękny, silny młodzieniec, na którego twarzy malował się gniew i oburzenie. Podniesiono mu zbroczoną głowę i poczęto go do życia przywracać, nie wiedząc, co z nim począć, gdy od zamku ukazała się karetą pańska z pochodniami, którą Laskowski zatrzymał.

— Na miłość Boga, pomóżcie nam ratować, czy przenieść tego oto biedaka, którego trzech sług zielonoczerwono-białych napadło i porąbało.

Po liberyi poznał Laskowski powóz generała Brühla. Jakoż on to jechał, i wyskoczył zaraz z karety, biegnąc na miejsce. W tej chwili ranny oczy otwierał. Był to Godziemba, sekretarz generała, tem więc skwapliwiej wzięto się do ratowania go.

Oprzytomniał wkrótce, a rana w rękę była daleko niebezpieczniejsza od uderzenia w głowę.

— Co się to z waćpanem stało? — krzyknął Brühl — niezwykleś zwady szukać.

— Anim ja wywołał! spokojnie jechałem, gdy mi, poznawszy mnie zapewne, Familii słudzy drogę zaskoczyli.

— Infamisy! — rzekł Brühl.

— I gdyby nie ci panowie, byłiby mnie pewno leżącego dobili — dodał Godziemba.

— Możemy się teraz co chwila podobnych wypadków spodziewać — szepnął generał — a najwięcej na nie wystawieni będą ci, co mają nieszczęście ze mną trzymać lub mi być przyjaźni.

Zaczął potem dziękować Laskowskiemu i Zagłobie, a na prędce obandażowawszy sam rany Godziemby, do karety mu wsiąść dopomógł i odwiózł do pałacu Saskiego.

Zaledwie powóz się zatoczył do bramy i po domu rozeszła się wieść, że Godziembę rannego mocno przywieziono, pokojówka pobiegła o tem pani Dumont oznajmić, a Francuzka, mocno przejęta, nie miała nic pilniejszego nad to, aby natychmiast lecieć do hrabiny.

Szczęściem jeszcze, że ją samą jedną zastała. Z zalamanemi rękoma, bez tchu wbiegła do jej pokoju, rzucając się na kanapę. Dosyć już było tej mimiki, ażeby biedną i chorą panią generałową przerazić. Stała nad przyjaciółką, nie śmiejąc nawet pytać, co się tam stało, i drżąc wcześniej na wiadomość, którą otrzymać miała. Dumont płakała i za serce się trzymała, nierychło zdobywszy się na głos słaby, którym oznajmiła o nieszczęściu okropnem, nie mówiąc czem ono było.

Nieroztropna Francuzka zaczęła od zakłęk, aby się hrabina starała panować nad sobą, aby nie dała żalowi wziąć góry.

W ten sposób przygotowując hrabinę, której wszelkie, najstraszniejsze ewentualności przez ten czas przechodziły przez głowę, o mało jej o omdlenie nie przyprawiła. W ostatku na ucho jej powiedziała dopiero, że Godziembę silnie rannego przywiózł hrabia do domu.

— Zabity? — spytała z energią rozpaczliwą Brühlowa.

— Ale nie... ranny... w rękę i głowę...

Po chwili namysłu hrabina, nie słuchając już Dumont, otworzyła drzwi i wprost poszła do męża zapytać, co się stało. Był to krok wprawdzie dający do myślenia, ale Godziemba był jej sekretarzem od niejakiego czasu, miała prawo się nim interesować.

Błada i drżąca zapukała do gabinetu, siłąc się, aby okazać chłodną. Brühl wyszedł sam do drzwi.

Zmieszana trochę hrabina oświadczyła mu, że Dumont jej przyniósł wiadomość o Godziembie. Generał chodził jeszcze gniewny. Zdziwił się nieco tą oznaką uczucia u żony, ale nie wziął jej tego za złe.

— W istocie Godziemba ranny — rzekł — ale felczer powiada, że rany nie są niebezpieczne. Jest to oznajmienie i przestroga dla nas, abyśmy się lepiej strzegli. Dziękuję hrabinie za mojego Godziembę — dodał — chłopak to godny współczucia i szacunku. Ale proszę być spokojną, że ja nad nim czuwać będę... bo go kocham...

Odeszła ode drzwi milcząca hrabina, wróciła do siebie blada, ze łzami w oczach, i uklękła modlić się na intencję rannego.

Dumont, gdy, zbiegłszy na dół i dotarłszy sama do felczerów, przekonała się, że w istocie nie było niebezpieczeństwa, wróciła zamyślona mocno na górę.

— Kto to wie? — dumala cała zaprzątnięta tem zawsze, że się te dwie kochające istoty zbliżyć do siebie nie mogły—kto to wie? może choroba, która ją skłoniła do tego śmiałego kroku, nareszcie doda odwagi, czułości i... zbliży ich dla szczęścia, którego się tak nieboraczęta lękają! Może wypadek ten wyjść na dobre obojgu.

Dumont, to jedno mając w myśli, gotowa już była błogosławić tych, co Godziembę posiekali. Uczyniła wcześniej plan pewny, odwiedzin chorego; osnuła na tem cały romans francuski, wiedząc jak mężczyźnie do twarzy jest ręka na temblaku. Nie obrachowała tylko ani uczciwości pana Tadeusza, ani religijnych zasad hrabiny, która czytywała romanse z zajęciem, po książkach nabożnych, ale heroiną występna i nieszczęśliwa wcale być nie myślała. Dumont żałowała zawsze, że do tak niewdzięcznych i zimnych istot się przywiązała.

IV.

Rok ten i następnego część znaczna były dla generała artylerji chwilą może z całego jego życia najboleśniejszą do przebycia.

Znane są dzieje tej epoki, w której anarchia doszła do najostateczniejszego kresu; kreślić ich tu nie myślimy.

W chwili przybycia do Warszawy generał łudził się jeszcze nadzieją, że stronnictwo, mające po sobie dynastję saską, hetmana Branickiego, wojewodę Potockiego, całą rodzinę tego imienia, Sołtyka, naostatek choć słabego, ale dotąd więcej na stronę dworu przechylającego się prymasa i nieczmiernej odwagi a impetu księcia Radziwiłła, potrafi się utrzymać górą.

Rachuba ta, jak się codzień przekonywał, zawiodła go zupełnie; Radziwiłł miał wprawdzie rycerską, zamaszystą energję do korda, ale politykiem nie był wcale, a na przekor mu szli uparci Massalscy, hetman był stary i niepewien, co miał poczynić, prymas się chwiał, teść zaś, wojewoda kijowski, mimo wielkich sił, ani głowy, ani stanowczego planu do ich użycia nie okazywał. Nie działano ani zgodnie, ani w kierunku jednym, a to, co się na pozór skupiało, w istocie potajemnie szło do celów zupełnie różnych. Branicki był pretendentem do korony, był nim Potocki, był i kurfirst, forytowany jakiś czas przez prymasa.

Gdy Familia umiała się zrzec osobistych ambicyi na jednego z najmłodszych swoich członków, święcąc kanclerza, ks. Adama i Ogińskiego dla niego, w przeciwnym obozie niedowierzano sobie. Potocki nie radby był dopomódz Branickiemu, ani hetman wojewodzie.

Stronnictwa, rozdrażnione coraz bardziej z każdą chwilą, w końcu nie widząc innego ratunku, rachowały tylko na siłę i rozprawę orężną, i nigdy bliżej nie była Rzeczpospolita wojny domowej, niż czasu tego bezkrólewia. Skupiano wojska nadworne, powoływano obce. Zgoda wzajemnymi ustępstwami okupiona była niemożliwa, bo nikt ustępować nie chciał. Jeden z najmilszych wodzów partyi tak zwanej republikańskiej, ksiązę Radziwiłł wojewoda wileński, ze swojej strony wierzył tylko w szablę i siłę. Nadzwyczajnych potrzeba było środków, błagań i nalegań, aby go powstrzymać od kroków zaczepnych. Z tej też strony nie było głowy jednej, coby kierowała i skupiała, każdy szedł swoim dworem i humorem. Łączyli się jedynie wszyscy we wspólnej niechęci dla Familii.

Skutek więc łatwy był do przewidzenia, gdy raz sprawa się wytoczyła przed ultima ratio, żołnierzy i działa.

Ksiązę kanclerz, który oddawna się sposobił do tego, aby zyskać sobie posłuszeństwo i zaufanie u szlachty, znalazł znaczną jej część sobie przychylną. Na Litwie miałby większość Radziwiłł, gdyby mu jej nie wyszczerbiali Massalscy.

Ten, któremu prawo dawało powagę największą, prymas, nie wiedział komu sprzyjać, a pragnął godzić, gdy się już wszystko do wojska sposobilo.

General, siedząc prawie ciągle w Warszawie, był zrezygnowanym widzem biernym tego dramatu historycznego. Nie czuł się też w obowiązku czynnie mieszać do niego, ani miał ochoty wciskać palce między drzwi.

Nie zapomniano mu jednak tej roli, jaką odegrał na sejmie 1762 r. Stolnik litewski, którego znaczenie z ka-

żdym dniem rosło i który energię całego życia wyszafował na te dni stanowczego przesilenia, był osobistym Brühla nieprzyjacielem. W jego i Familii rękach był teraz los generała, który przewidywał, że się na nim zemścić zechcą i muszą. Unikał więc narzucania się na oczy i występowania do walki, której prowadzić nie mógł. Zdawa czasem mijali się w ulicy ks. Adam, pan stolnik i on, mierząc się tylko oczyma. W jednych z nich błyskało jeszcze zemsty pragnienie. General patrzył zimno i bez brawady, ale wcale nie ulęknięty.

Przeciwnicy Familii schodzili się do jego domu i drzwi im zamknąć nie mógł, słuchał, mało się mieszając, radząc niewiele. Czasem powoływał go pan kijowski do Krystynopola, chcąc go użyć, i wybadawszy, zrzekał się tej myśli. Brühl grał na flecie, na skrzypcach, rysował i komedye pisał, a wierny przywiązaniu do pięknej pani Sollohubowej, która z mężem w Warszawie przebywała, w cichej i pełnej poszanowania z nią rozmowie, zabawiał ją, żartując ze swego położenia, a potrosze i z tych, co go otaczali.

Wśród powszechnego roznamietnienia, on jeden zdawał się i był zupełnie panem siebie i krwi zimnej. Losy dynastji saskiej, reprezentowanej przez niedołężnego kurfirsta i trzpiotowatą Ermelinde, niewiele go obchodziły. Był w położeniu człowieka, który, nie pijąc nic, znajdował się w towarzystwie ludzi po orgji szalonej upojonych i rozgorączkowanych. Chciano go w początkach zużytkować, ale postrzeżono, iż nie przejmował się wcale rolą narzuconą, i dano mu pokój.

Kilka miesięcy pielęgnowano rannego Godziembę, który dosyć długo rękę na temblaku nosić musiał, ale obowiązki lektora przy hrabinie i pomocnika sekretarza przy

generale mógł spełniać. Pocziwa Dumont, co się tak wiele spodziewała z poruszonego litością serca, ostateczny wydała wyrok: iż to są ludzie bez uczucia i namiętności. Nie mogąc zaś wyżyć bez małej intryżki do pielęgnowania, zajęła się panią Sollohubową i hrabią, sądząc, że choć tu użyteczną być potrafi.

Tu nowa ją czekała niespodzianka; piękna Marya i hrabia kochali się jawnie, oczywiście, nie kryjąc się z tem wcale, lecz nie przechodziła ta miłość granicy zakreślonej obowiązkiem i poszanowaniem, i Francuzka nie miała tu co robić, bo tajemnic nie było żadnych.

W ostatku zrozpaczona tymi ludźmi Północy, których bryłami lodu nazywała, rzuciła się Dumont pocieszać nieszczęśliwego Sollohuba współczuciem, jakie mu okazywała. Sądziła, że może mu wynajdzie jakiś przedmiot, któryby go oderwał i rozerwał. Generałowicz mówił z nią chętnie, miał nawet do niej słabości trochę, lecz naówczas już chory, znękany, smutny, o szukaniu dystrakcyi na świecie wcale nie myślał. Dla tych, co nań patrzali zdaleka, co go widzieli dawniej młodym, pełnym życia, kwitnącym, jawne było, iż miał w sobie zaród śmierci, o którym wiedział, który czuł, ale się go nie obawiał.

Stosunek jego z żoną był dziwny. Piękna Marya, może dręcząc się tem, że kochać go nie mogła i że kochała innego, była dlań z czułością, dobrocią i wyrozumiałością siostry. Małżeństwo, nie będąc szczęśliwe, było czułe niemal. Żona czuwała nad zdrowiem jego. Brühl był dlań prawie bratem. Zazdrosne oko biednego zakochałego śledziło stosunki jego i żony, lecz nie mogło ich o nic więcej obwinić nad to, czemu oni winni nie byli.

I, rzecz dziwna, Sollohub przestał do Brühla mieć żal o to, że się w jego żonie kochał. Zdawało mu się to

niezmiernie naturalnem, dziwił się raczej wszystkimi, którzy mogli i śmieli się w niej nie kochać. Z powodu choroby Sollohub politycznie był bezczynny, a że się go nie obawiano, wchodził prawie wszędzie, słuchał i wiedział wszystko. Codziennie niemal przynosił wieść jakąś Brühlowi, wieść, która Maryę do rozpacz i gniewu pobudzała, a którą generał przyjmował z uśmiechem.

W początkach wydająca się niemożliwą, niemal śmieszoną, w końcu roku kandydatura stolnika stała się jawną i głośną. Hrabia Stanisław, którego pierwsze wystąpienie czynne, co nań zwróciło oczy, wymierzone było przeciwko Brühlowi, nie mógł zadać klamu tym krokom, którym winien był część swej rodzącej się popularności. Co chwila więc grożono generałowi pomstą, z której się on uśmiechał. Obok czynnej roli politycznej stolnik niezmiernie był zajęty pięcią piękną, która również sympatyi mu wiele okazywała. Liczba jego miłości, krótkotrwałych, ale nadzwyczaj natarciwych, wydawała się niemal bajeczną. Codziennie prawie miasto się dowiadywało o jednej świeżo zawróconej główce, której się może zdawało uśmiechała korona, a nazajutrz już mówiono o innej znowu, i te plotki przestawały nawet zajmować w końcu, tak liczba ich nie do uwierzenia rosła.

Pewnego wieczoru w październiku 1764 roku, Brühl miał u siebie kilku zaproszonych artystów, którzy kwartet wykonać mieli, i zajęty był niezmiernie zapowiedzianą przyjemnością, mając ją z kilku przyjaciółmi podzielić. Do zaproszonych należał biskup Sołtyk, sam muzyk, utrzymujący doskonałą kapelę, Sollohubowie i kilka osób pofalszego grona. Na sali czyniono przygotowania do muzyki, i artyści zbierali się powoli, gdy generałowicz, wzrzucony mocno, sam, bez żony wbiegł na salę.

Z twarzy jego łatwo poznać było można, iż coś przynosił niespodzianego i niezbyt milego. Brühl, spojrzawszy nań, odgadł to i, zbliżając się doń, podawszy mu rękę, rzekł, śmiejąc się:

— Jasiu kochany, przynosisz mi coś niedobrego, wiesz co? odlóż to na później, popsujesz nam wieczór i muzykę.

— Ale, mój Alojzy, co tam o muzyce myśleć... to się ciebie tyczy! a choćbym ja zmilezał, ktoś tu wpadnie inny, aby ci o tem oznajmić. — To mówiąc, z miną kondolencyjną za obie ręce go chwycił. — Biedny mój Brühl!

— Dlaczegoż mam w tej chwili być biedniejszym, niż przed godziną?

— Jakto? nie nie wiesz?

— Co gorsza, ja o niczem nawet wiedzieć nie chcę.

— Nieprzyjaciele twoi... dokazują...

— Doskonale, niech dokazują, ja, chwala Bogu, jestem spokojny. Nie mieszam się do niczego, a zniosę wszystko.

— Przygotuj-że się natychmiast.

— Jestem gotowiuteńki.

Domawiał tych wyrazów Brühl, gdy z wielkim hałasem przez otwarte podwoje wkroczył książę Siewierza. Zobaczywszy Solłohuba, snadź pewny, że generał już o wypadkach tego dnia jest uwiadomiony, wprost przyszedł do niego i uściśnął w milczeniu.

— Wierz mi, hrabio — rzekł — tak mnie to boli, jakbym ja sam był na twem miejscu. Niegodziwil!

Dla Brühla było to jeszcze zagadką, o której rozwiązanie nie śpieszył się domagać, patrzył na Solłohuba i uśmiechał się.

Nadeszło dwóch Potockich i wręcz także przypadli, pocieszając, ale nie mówiąc o co chodzi.

— Po nich nie można się było czego innego spodziewać! — zawołał wojewoda wołyński, któremu towarzyszył podczaszy litewski — Mój kochany hrabio, męstwa i wytrwałości!

— Raz się to skończyć musi! — dodał podczaszy.

Otoczono go kołem. Każdy inny w położeniu generała byłby się może uląkł tej zapowiedzi nieszczęścia, którego rozmiarów nie wiedział. Brühl pragnął się okazać, jak zawsze, aż do obojętności stoicznym.

— Wasza Książęca Mość — odezwał się do biskupa z uśmiechem — jako duchowny, którego powołaniem jest pocieszać nieszczęśliwych, czy nie raczysz mi narzeczcie rozwiązać tej zagadki? Słyszę zewsząd kondolencye, ale, na honor, nie wiem, co mnie dotknęło.

Wzięto niemal za fanfaronadę to oświadczenie.

— Ale jakże może być? — oburzając się, rzekł biskup. — Od rana o tem całe miasto wie.

— A ja... nie... daję na to najuroczystsze słowo moje — odezwał się Brühl.

— Nie może być! — zawołał podczaszy.

— Tak jest! — potwierdził Brühl.

Wszyscy osłupieli... milczenie panowało czas jakiś, spoglądali po sobie.

— Raczej mnie objaśnić! — powtórzył Brühl.

— Ale gdzieżes hrabia był przez ten dzień?

— W domu! Prawda, zem nie kazał nikogo przyjmować, bo pisałem... nikt nie był u mnie. Poczciwy Godziemba odprawił tam kilku z miasta.

— Zyskałeś więc, kochany hrabio — rzekł biskup — kilka godzin tytułu starosty i generała artylerji, a na-

ostatek i szlachezca polskiego. Sejm ci to wszystko odjął za jednym zamachem, nie jesteś starostą, nie jesteś generałem... i musisz się zadowolić hrabstwem państwa rzymskiego.

W chwili, gdy biskup domawiał tych słów, otworzyły się drzwi i oficer od artylerii, Dhubicki, z dwoma towarzyszami wpadł do salonu. Rozogniona twarz jego świadczyła, jakie go tu wiodło uczucie. Brühl odwrócił się ku niemu.

— Panie generale — zawołał z wyrazem żalu najgorętszym — nie mogliśmy się tu stawić wszyscy, niech mi wolno będzie z dwoma towarzyszami moimi być tłumaczem żalu całego korpusu naszego. Uczuliśmy, jaką ponosimy stratę, wiemy, że jej nam nie zastąpi, ani Warszawie starosty, ani artylerii generała.

Brühl chwycił go za rękę.

— Mój pułkownik — rzekł — tracicie towarzysza broni, który was kochał i starał się być dla was dobrym kolegą, ale przyjaciel wam zostaje. Dziękuję wam serdecznie. Zanieście ode mnie czule pożegnanie wszystkim. Któż wie? spotkamy się może jeszcze.

Była chwila mileżenia.

Zameldowano urzędników starościńskich, których, jako z ręki Brühla mianowanych, los ten sam, co jego, spotykał. Weszło to smutne grono z kondolencją tem rzeczywistszą, iż ją i nad sobą samymi mieć musieli.

Brühl z twarzą wesołą i zupełnie spokojną, pocieszać się ich starał, zaręczając im, że przeciwność tę zniesie z rezygnacją.

Nieboracy wzdychali.

A że właśnie i do salonu generałowej przyniosła

była Dumont fatalną nowinę, weszła hrabina, trwożliwie spoglądając na męża, który ku niej pośpieszył.

— Chère comtesse — rzekł — bardzo mi przykro widzieć cię zdegradowaną z generałowej na prostą hrabinę i ze starościńską na wojewodziankę, ale zniesmy ten cios, pocieszając się muzyką.

Obrócił się do gości, prosząc siadać oficerów artylerii i urzędników. Ci jednak odmówili, wymawiając się pilnymi zajęciami urzędowymi; oficerowie tylko z Dhubickim pozostali. Ksiądz biskup zbliżył się do hrabiny, powtarzając wyrazy najżywszego oburzenia i współczucia.

Wtem jak burza, wbiegła pani Solłohubowa, wprost się zbliżając do Brühla z niepohamowanym gniewem, jakim ją napełniła świeżo otrzymana wiadomość.

— Niema co mówić! — zawołała — jednają sobie przyjaciół i gotują przyjemną przyszłość.

Brühl się uśmiechnął żartobliwie.

— A! pani! — zawołał — czyżes się mogła choć na chwilę ludzić, że mi przebaczą i że, mogąc się pomścić, będą wspaniałomyślni? ja przynajmniej ani na chwilę nie przypuszczałem, żeby mnie pozostawiono na stanowisku, na którembym w dzisiejszym stanie rzeczy sam zostać nie mógł.

A ciszej dodał żartobliwie:

— Któż temu winien, jeśli nie piękne oczy pani Maryi? Stolnik na niewinnych nawet mści się za ich okrucieństwo, a ja padam ich ofiarą.

— Wiesz, hrabio — odezwała się równie znizowanym głosem Solłohubowa, podając mu rękę — bardzo cię szacuję, c'est peu dire, a jednak nawet dla ocalenia ci generalstwa i starostwa oczy moje kłamać-by,

i uśmiechać się nie potrafiły temu galantowi wszystkich piękności, który w istocie żadnej nigdy nie kochał i kochać nie umie nic, prócz siebie.

Powiedziała to żywo. Brühl przyklasnął. Wszyscy byli ciekawi dowiedzieć się, jakim ostrym dowiecipem strześliła piękna pani, ale usta jej się zamknęły, a Brühl nie wydał tajemnicy.

Towarzystwo gwarnie rozprawiało o wypadku głównym dnia tego i o gotujących się jeszcze nowych krokach Familii, która władała sejmem i stolicą i czuła dawała swą potęgę nieprzyjaciółom, gdy Brühl z pulpitu nagotowanego wziął nuty i zwrócił się do księdza biskupa:

— Niema w takich razach lepszego środka na myśli ponure, ani skuteczniejszego na ich rozbicie, nad boską muzykę. Jej tony przenoszą nas w lepsze światy i każą zapominać o wszystkim, co nam tu dolega. Mielśmy właśnie odegrać dziś kwartet znakomitego nowego kompozytora, który mi nadesłał Esterhazy. Haydn, autor tego ślicznego dzieła, jest jego kapeli dyrektorem. Nawet nasz Haase drezdeński ustąpić przed nim musi, gdy idzie o głębokie uczucie, o śpiew, wyrażający na przemiany melancholii, smutek, ból, tęsknotę.

Wprawdzie mizerny amator (tu się sklonił) grać musi pierwsze skrzypce, ale piękność kompozycji pokryje wykonania wady.

Trzej zaproszeni muzycy już stroili drugie skrzypce, alt i wiolonczelę. Brühl założył rękawy fraka i odrzucił mankiety, dobył swego Stradivariusa, ocierając go batystową chusteczką, istanął u pulpitu, na którym leżał numer pierwszy, dzieła 64, z re majeur. Goście powoli ustąpili, grupując się, ku krzesłom przy ścianach, w sali

zapanowało milczenie i po chwili zabrzmiało Allegro moderato, którego słuchano z przejęciem i w milczeniu.

Brühl, mimo że się nazwał dyletantem, prowadził wykonanie wybornie i, jako dobry kwartecista, nie starał się odgrywać pierwszej roli, ani świetnieć kosztem swoich współtowarzyszy. Z jednakową siłą i precyzją występowały wszystkie równouprawnione instrumenty, jak czterej bracia rodzeni; żeniąc zgodne głosy.

Po chwili spoczynku krótkiej, Adagio cantabile zaczęło. To było prawdziwym Haydna, jeszcze naówczas mniej znanego tryumfem. Śpiew ten szeroki, prosty, pełny uczucia, zabrzmiał, jak coś stworzonego umyślnie na pociechę serc zboliałych. Gdy ostatnie jego takty w cichem piano skonały, nie okłask, ale tylko szmer i westchnienia poświadczyły o wrażeniu.

— W tym śpiewie — rzekł żywo Sołtyk, który już zmilczeć dłużej nie umiał — w tym śpiewie czuć człowieka, któryby dla Kościola i dla Boga godzien był nucić.

Odgadł mimowolnie późniejszego twórcę najwspanialszej pieśni boleści, jaką uczucie chrześcijańskie natężyć mogło — Siedmiu Słów Zbawiciela na krzyżu.

Żywy menuet i z potężną werwą odegrany finał (Presto) zakończył, rozbijając w słuchaczach tęskne uczucia, które Cantabile aż do rozrzewnienia rozkołysało. Brühl położył nareszcie Stradivariusa i otarł pot z czoła. Zbliżał się do niego Sollohub właśnie.

— Wierżaj mi, Jasiu mój, to są jedyne, to są prawdziwe, żadną zgryzotą, przesytem nie zamacone życia rozkosze. Myślenie, sztuka, pieśni, obrazy. Wszystko inne niesmakiem się kończy i zawodem. W tych płodach człowieka tkwi, co natura ludzka najlepszego, najsza-

chetniejszego wydać może. W życiu czuć ulomność naszą, poezji i sztuce naszą isierkę boską.

Westchnął.

— Mój drogi, dalbym wszystkie generalstwa w świecie i starostwa grodowe w dodatku, gdybym mógł raz w duszy uczuć i wymarzyć taki kwartet, jak ten Haydna, taką symfonię, jaką on dla Esterhazego napisał, gdybym kiedy potrafił wymalować un Christ alla moneta, i napisać Tartuffa.

— Dodaj-że — spokojnie odezwał się Solłohub — gdybyś kochając, uczuł się kochanym, i...

— Stój! — rzekł Brühl — o miłości mówić nie pora nam obu, przebyliśmy jej rozkwity pierwsze i najżywsze. Miłość, to arka święta, która w przybytku zawsze osłonięta stać powinna. Świętokradca, kto ją ręką zuchwala, odsłania.

Solłohub westchnął, spoglądając na żonę. Siedziała ona zdala, nie bardzo się bawiąc z Francuzką, usiłując ją czemś rozerwać. Dumont szeptała jej do ucha, ona się zdawała nie słuchać i nie słyszeć.

W drugiej stronie salonu skupiło się kilka osób około podczaszego litewskiego, który, coś dobywszy z kieszeni fraka, dyskretnie przypuszczonem do oglądania pokazywał. Z kolei przysuwali się wtajemniczeni dla przypatrzenia się jakiejś kartce papieru czy pergaminu, starannie w rodzaj pugilaresu zawiniętej. Przyszedł i Brühl.

— Zaczekaj, nim pokażę — odezwał się podczaszy — najprzód to wytłómaczyć muszę. U wojewody ruskiego na dworze bawi sławny francuski miniaturzysta Violant. Znałem go dawniej, robił coś i dla mnie. Wczoraj przypomniałem go sobie z powodu portretu żony, który mieć chciałem. Poszedłem sam do niego. Na pulpicie

znalazłem — zgadnijcie co? — miniaturę pana stolnika, jedną, drugą, trzecią i to w całej postaci i w najrozmaitszych strojach. Uderzyła mnie oto ta, na której, jak widzicie, odmalowany już jest w płaszczu z gronostajami, excusez du peu, z berłem w rękę i koroną na głowie. Strój, o którym decydować nie uniem, zdaje mi się hiszpańskim, tak przynajmniej wnoszę z kryzy, pończoch i trzewików.

— Nie znajdujecie państwo, że to trochę zawczesnie? — rzekł, uśmiechając się, podczaszy.

— Nie chcąc być wziętym au dépourvu — rzekł Brühl — należy się zawsze wcześniej przysposobić.

— Tych miniatur, któremi stolnik obdarza piękne panie, swe przyjaciółki, nastarczyć Violant nie może.

Soltyk patrzył z rodzajem dumy i niechęci, która o los miniatury, trzymanej w rękach podczaszego, lękać się kazala. Widząc to, Potocki zawinął ją starannie.

— Dalem słowo honoru Francuzowi, że mu ten szacowny depozyt jutro zwrócę. Chciałem tylko pokazać to państwu, jako rzecz wielce charakterystyczną. W chwili, gdy się ważą losy Rzeczypospolitej, ten, co ster jej w ręce wziąć pragnie, siedzi do miniatur i myśli o koronacyjnym stroju.

— Trzeba przyznać — dodał wojewodzie wołyński — że jest istotnie piękny, i nie dziw, że naśladuje Narcyza.

Rozmowa potoczyła się o wszystkich młodych paniach zaszczyconych względami stolnika, na których czele stała księżna Sapieżyna wojewodziecowa, siostra kasztelanica braclawskiego, który na krok nie odstępował naówczas stolnika i dodawał mu we wszystkim odwagi.

Dano wieczerzę i Brühl z wesołą twarzą, jakby mu

się dnia tego nie przytrafiło nic nadzwyczajnego, gości zaprosił do stołu. Ten stoicyzm ex-starosty i ex-generała oddziałął wkrótce na innych, i spokojniejszym umysłem zaczęto się zapatrywać na sprawy potoczne.

Pomimo wysiłków Radziwiłła, hetmana, wojewody Potockiego, już jawnem było dla wszystkich, że sprawa została przegrana. Prymas w boleści głębokiej powtarzał narzekania na Francję, Mokronowski starał się walkę braterską i wojnę domową powstrzymać, mówiłno glucho o obrotach hetmana, o rwaniu się szalonym księcia wojewody.

Lecz dosyć było obliczyć siły, ażeby przewidzieć, po czyjej stronie będzie wygrana.

Wszystkie nadzieje Saksonii i Ermelindy spelzły ze zgonem kurfirsta, żaden z panującego domu kandydat nie zgłaszał się do cierniowej korony. Wszyscy rozprawiali bardzo żywo o zbliżającej się tuż, tuż elekcyi; jeden Brühl słuchał w milczeniu, a wieczorami grał Haydna kwartety, wcale się nie zdając troszczyć, co się stanie z koroną.

V.

U starościny M..., którą nazwiemy nadawaniem jej powszechnie imieniem Dydony (z powodu, że wkrótce po ożenieniu mąż ją opuścił dla jakichś niedających się wyjaśnić powodów), pewnego wieczoru majowego 1764 r. zgromadzone było towarzystwo liczne, ożywione i nieustannie się zmieniające. Wchodzili jedni, wychodzili pośpiesznie drudzy, szeptało po kątach, wyglądało

oknami, każdy ruch w ulicy elektryzował przytomnych i wywabiał ich do spozierania, co się na mieście działo. Miasto też było w jakimś stanie poruszenia niezwyklego, napływowego, bo i panowie mieszczenie warszawscy przypatrywali się przechodzącym i przejeżdżającym tłumom, jakby obcym im i nieznanym.

Karety, które otaczały oddziały wojskowych, z zapalonemi pochodniami trzymanemi przez stojących z tyłu lokajów, mijaly się gęsto po głównych ulicach. Mijając się, wyglądały z nich twarze uśmiechające się sobie i dające znaki, niekiedy wyleciało słowo w powietrze i schwycone biegło dalej, jak hasło. Mrok i nadchodząca noc nie powstrzymały tego życia, które się zdawało owszem powiększać co chwila.

W oknach znaczniejszych pałaców w mieście i poza bramami jego rześiste światła jaśniały. Ciemny był tylko pałac Radziwiłłowski, hetmana Branickiego i Potockich.

Największe tłumy ludu i wojska toczyły się przy Krakowskiej bramie i zamku. Tu nawet parę rozbitych namiotów i kilka nanieconych ognisk dostrzedz było można.

Z okien pięknej Dydony właśnie część tę miasta widać było.

Gospodyni, w całym blasku młodości i wdzięków rozkwitłych bujnie, stała w pośrodku, przyjmując gości i jakby się im chcąc pokazać i pochwalić sobą. W istocie warta była widzenia, a mąż, co ją tak rychło porzucił, wydawał się politowania godnym.

Powabniejsze jej istoty wystawić sobie trudno. Wszystko jej dała natura, co tylko do wyszafowania miała, nawet wdzięk, który nie zawsze towarzyszy piękności.

Twarcz przypominała ubóstwioną bachantkę idealną, całą w uśmiechach zalotnych, drgającą życiem, płonąca ogniem, radującą się światu, wyzywającą uściski. Czarne jej oczy na przemiany śmiały się i tęskniły, paliły i niepokoiły jakimś smutkiem. Rumiane usta zdały się stworzone do pocałunków, rączki białe do uścisków a ramiona utoczone, wyglądając z pod koronek, przystałyby marmurowej Dyannie.

Ubiór tak był piękny, jak ona, suknia koloru wody morskiej, mienionej różowo, koronki białe i brylanty. Obok oczu czarnych jak węgielki, włos złocisty, jasny, posypany pudrem, najdziwniejszym porywał kontrastem. W tej chwili piękniejsza była może jeszcze niż kiedykolwiek, bo jakieś uczucie tryumfu i szczęścia ją blaskiem swym oblewało. Zamysłała się wśród tego tłumu, jakby sercem i marzeniami była gdzieindziej, a gdy wychodziła z zadumy, uśmiechała się szczęśliwa, nie wiedząc komu i nie wiedząc z czego.

Cały wieniec pięknych pań ją otaczał, ale żadna z nich nie mogła walczyć z nią o pierwszeństwo. Patrzyły z zazdrością, niektóre z politowaniem skrytem, a wpatrzywszy się w nie, postrzedz było można, że to grono dobrych przyjaciółek w istocie było jakby zapaśnic falingą, która się wybierała na wojnę. Było ich kilkanaście, każda inaczej piękna, każda różnie wdzięczna, każda czem innem pociągająca. Czarne oczy jednych, niebieskie drugich, piwne i złotymi odbłyśki świecące współubiegały się o lepszą. Jednych poważny wzrost i kibić zachwycaly wyrazem siły, drugich drobnuchne kształty nęciły powietrzną lekkością.

Wzrok tych pań, którym ciskały na siebie, klócił

się wogóle z ich usty. Wargi się wszystkie śmiały, wejrzenia sztyletowały.

I słychać było po kątach rozmowy.

— Spójrz-że, proszę cię, na Dydonę, kto tak ramiona odkrywa? to się nie godzi... i jaki wzrok prowokujący, wszystkich!

— Jużci i kasztelanowa nie lepsza — odpowiadała, spytana piękna pani, przypatrując się swej ręce białej, długiej i okrytej pierścieniami—dlatego, że nosi ciasne trzewiczki na bardzo wysokich korkach, tak się popisywać z nóżką! Wiem od Prazkiego, który mi także dostarcza obuwia, że nogi tak nadzwyczaj malej nie ma.

— Albo, proszę cię, wojewodzianka? — szeptała pierwsza — matka już ją wyprowadza na scenę, ledwie ma rok szesnasty, a spójrz, jak się zaleca!

Mężczyzno było mało dnia tego. Kilku starszych weszło na chwilę, poszeptało coś i cofnęło się z pośpiechem.

W kącie salonu ukryty siedział ktoś zdający się domowym. Był to stryjasek pani, która, jako Dydona, potrzebowała w domu opieki i powagi i przyswoiła go sobie.

Stary wsparty był na łasce, przed czasem zgrzybiały, towarzystwo go męczyło, od światła się skrył w kątek, szczęki mu bezzębne zapadły, oczy się zamykały, jakby do snu zużone, ale pełnił swój obowiązek opiekuna synowicy, siedząc w kącie. Czasem, jakby przebudzony, oglądał się po salonie z przestraczem, i znowu wpadał w zadumę głęboką.

Rozmowy wcale nie szukał, zdał się jej raczej unikać; grono pięknych pań go wcale nie obchodziło, a gdy wypadkiem oczyma spotkał czyje wejrzenie, co prędzej odwracał je, aby nie wywołać zaczepki. Z posępną mi-

ny czytał każdy, kto chciał, że mu na tem stanowisku opiekuna zalotnej i młodej kobieciny nie musiało być bardzo wygodnie.

Lecz staruszek za Sasów pamiętał lepsze czasy, stracił, co miał, a nawykły był do pieszczonego życia; zaprzął się więc w usługi Dydony dla dobrego jej stołu i wygódek życia. Czuł może swój upadek i upokorzenie, i dlatego wpośród tak wesołego towarzystwa był tak niezmiernie kwaśnym. Kwas ten krył się w cieniu i nie oddziaływał na obecnych.

Drzemał tak milczący starowina, gdy obok niego zaszeleściła suknia jedwabna, której szmer usłyszawszy z przestрахem, rzucił się na krzesło, chcąc ukryć głębiej jeszcze. Oczy jego podniosły się jednak, aby zmierzyć całe niebezpieczeństwo, jakie mu groziło, i spotkały się — z uśmiechniętą twarzą pomarszczoną staruszki wyfiokowanej mimo wieku, jak zwykły bywać panie, które raz były piękne i nigdy niemi przestać być nie chcą.

Staruszka trzymała się jeszcze bardzo prosto z łaski sznurówki i rogów, ale głowa jej mimowolnie się kołysała, a oczy, niegdyś czarne, w karmazynowych teraz obwódkach niemal straszne były. Gdzie niegdyś amorki dolki paluszkami wyśląbiały, dziś głębokie fałdy mech okrywał i brodawki. Staruszka obejrzała się i siadła na przeciw stryjaszka Dydony.

— Wstydź-że się, szambelanie, drzemać, a pfe! Przysłałem cię bawić, abys z krzeselka nie spadł.

— Ja? ale któż mówi, że drzemie! Ma foi! fałsz, słowo daję.

— Na moje oczy widziałam, głowa ci parę razy na piersi spadła.

— Ale nie! — z oburzeniem zawołał szambelan — jako żywo. Co pani krajczyna wymyśla!

— No, nie gniewaj się. Powinieneś być w dobrym humorze. Twoja synowica... ha! ha! śmieje się jej przyszłość.

— Byle się później z niej nie urągała — zaszepleń prędko i niewyraźnie szambelan.

— Jutro stolnik będzie obrany.

— I cóż z tego?

— A ona zrobi z nim, co zechce — cicho dodała krajczyna.

— Jak długo? jak długo? — począł, rzucając się i niecierpliwiać, szambelan. — Dajcie pokój, pani krajczyno. Augusta pamiętamy, Augustowie mają zmienne gusta.

— Ty jeszcze kalamburujesz.

— To mi samo przyszło.

Ręką machnął i uderzył się po kolanach.

— Salon starościny dziś, to kosz kwiatów.

— Czekają na ogrodnika, który sobie z nich bukiet wybierze, powącha go i rzuci na śmiecie. Dzierlatki! dzierlatki!

Krajczyna się rozśmiała i schyliła do ucha.

— Każda z nich się spodziewa być trochę królową, spojrzycie! jak się jedzą oczyma. O! co za wyborna komedya!

Zniżyła głos.

— Rzekłbyś, harem sułtana, który złotem szytą chustkę ma rzucić!

Szambelan mówił tak prędko, że go zrozumieć było trudno, a że zęby wszystkie utracił, szepleń jeszcze

bardziej. Musiała się więc nachylić krajeżyna, gdy począł po cichu odpowiedź na jej uwagi.

— Myśmy to starzy znajomi — rzekł — przed waćpanią mogę mówić à cœur ouvert. Mnie tylko mojej żal! Mogła pójść po rozwodzie za męża, głowę jej zawrócił ten Celadon z przyszlą koroną. Sądzi, że go pokona i ustali, a ja jej cały regestr przyniosłem, tak ukochanych, jak ona, tak spodziewających się i na takie same narażonych zawody. Spójrz, moja krajeżyno, a toć to są wszystkie rywalki, co ją otaczają. Pierwsza wojewodźcowa, dalej... lic.

I palcem wskazał kobiet grono. Wtem szmer się stał u drzwi, które się żywo otwarły, a ku nim, jak fala morza, posunął się cały orszak niewieści, czarodziejską pociągnięty siłą. Oczy się wszystkich pań zwróciły w jedną stronę, widać było rączek drganie, i po ustach przeleciały uśmiechy wyzywające. Białe paluszki szybko poczęły poprawiać coś we włosach, na sukniach, co wcale naprawy nie potrzebowało.

W tej chwili dwóch panów, dwóch młodych adonisów szybkim krokiem na salon wchodziło, obaj ubrani starannie, obaj w kwiecie i sile wieku. Pierwszy z nich, ze śliczną twarzą i czarnemi oczyma, był mniejszy, zręczny, pełen zalotnego wdzięku, drugi, przechodzący go może urodą i postawą, silny, barczysty, z żołnierskim wyrazem zuchwałym na męskim obliczu.

Był to pan stolnik i kasztelan bractwa, jego przyjaciel serdeczny, obaj na krótko, na moment odrywający się od spraw nieskończonej ważności, wigilii elekcyj, dla spojrzenia na te panie, dla nabrania z ich oczu siły i odwagi na jutro. Każda z tych pań cisnęła się naprzód, aby wejrzenie stolnika pochwycić. Po czołach

jednych powlokły się chmury, drugie słonecznym oblały się blaskiem. Spojrzał! uśmiechnął się, mruknął, uszczęśliwił.

Na twarzy gospodyni domu pałała radość. Podała mu rękę, dla niej przyszedł. Była tak sobie pewna, że jej ten orszak rywalek nie trwożył. Do niej pierwszej przemówił i uśmiechnął się...

Lecz tuż z za białych jej ramion patrzyła twarz śliczna, którą kradzionem wejrzeniem witał, a dalej stało smutne czoło dziewczę z oczyma czarnemi, ku któremu posłał tajemne powitanie.

Tymczasem panie otaczały towarzysza, wieszając się na jego rękach, czepiając i rzucając mu w ucho zapytania:

— Cóż nowego?

— Nie, oprócz, żeśmy sobie pewni i że jutro jednogłośnie go wybiorą.

— A tamci? tamci?

— Są w rozsypce. Ha! co gorsza, traktują, radziby się pojednać.

— Być nie może.

— O! tak jest! tak jest...

— Cóż on na to?

— Nie potrzebujemy ani ich, ani ich zgody, jesteśmy panami.

W kątku salonu, na uboju od tych bóstw, które składały Olimp, siedziała, w ciemne okno patrząc, piękna Sołohubowa, nie przeszkadzając innym być piękniejszymi od siebie. Z Dydoną łączyło ją pokrewieństwo, była tu niemal przypadkiem, znalazła się, nie wiedząc o gościu, siedziała, bo jej to było obojętnem i uciekać się wstydziła.

Wtem, gdy tysiące oczu wyzywały stolnika, gdy wszystko biegło przeciwko niemu, uwielbiany i szczęśliwy dostrzegł opuszczoną w kątku, tak obojętną, tak zimną, że mu cały tryumf struła.

I stał się roztargnionym mocno. Mówiono doń, nie rozumiał; wyzywano, nie odpowiadał; patrzano, nie widział. Twarz w cieniu ciągnęła go ku sobie. Stolnik od gospodyni przeszedł do pani wojewodzicowej, od tej do drugiej piękności, która za nią stała, do trzeciej, do coraz dalszej, i znalazł się blisko krzesła Solłohubowej, a ta zdawała się go nie widzieć, czy widzieć nie chciał. Siadł przy niej.

Brwi Dydony ściągnęły się, jakby z nich piorun miał wypaść: „Niewdzięczny!” — szepnęła. Wojewodzicowa biła nóżką o podłogę, inne panie poodwracały twarze. Solłohubowa nie spojrzała na siedzącego, który ją powitał.

— Zawsze więc pani fiołkiem być lubisz?—spytał. Piękna Marya długo nań patrzała.

— Ponieważ dziś jeszcze — rzekła z przyciskiem — mówić mi to wolno: pan hrabia zawsze motylem?

Stolnik się uśmiechnął.

— Jak tu nim nie być! — westchnął — wśród tyłu i tak ślicznych kwiatów.

— To prawda — poczęła zwolna Solłohubowa, nie troszcząc się wcale o wejrzenia zazdrosnych pań, które na nią padały — to prawda! Żal mi szczerze hrabiego, jesteś skazanym na życie Tantala, który wiecznie będzie pragnął tego, czego pochwycić nie może.

Stolnik się schylił, uśmiechając, podniósł upadłą chusteczkę, co wzbudziło niesłychaną zazdrość, i prowadził dalej rozmowę.

— Tantala męczarnie złe, zdaje mi się, wytkomaczyła mitologia. Tantal wydaje mi się najszczęśliwszym ze śmiertelnych, bo może być co straszniejszego nad brak pragnienia. Pragnąć, to już być szczęśliwym...

— Teorya nowa i bardzo dowcipna — odparła Solłohubowa — ale zlituj-że się, panie hrabio, nad temi panniami, co mnie oczyma piorunują, idź do nich, lub — zabijaj mnie.

— Stanę w jej obronie — rzekł stolnik — bom jej wielbicielem!

— A! a! doprawdy! — rozśmiała się zimno Solłohubowa. — Cóż to za szerokie serce! Dydo, wojewodzicowa, kasztelanka, dwie księżniczki, na przemiany wszystkie wielbisz, hrabio... to prawdziwie jowiszowska miłość.

Sarkazm w tych wyrazach zawarty, cieniem przelotnym pokrył oblicze stolnika; spoważniał, zamyślił się.

— Z panią otwartym być mogę — rzekł z ciechą — pani wdziękami należysz do tego grona, ale umysłem stoisz daleko ponad niem. Żadnej z tych pięknych pań nie śmiałbym tak odkryć mojej natury ułomnej, jak przed nią. Posłuchaj mnie pani! Jam nic nie winien. Jestem czcicielem piękności. Widzę u jednej oczy, które mówią do mnie językiem jakimś boskim, możesz się im oprzeć? W drugiej zachwycają mnie usta, których uśmiech drażni, porywa, nęci. Jedna ma rękę pełną tajemniczych, czarodziejskich uroków, palce do całowania przez wieki, inna nóżkę anioła. W każdej z nich wielbię objaw piękności.

— A potem odkrywam skazę lub plamkę, i urok cały pryska — przerwała Solłohubowa. — W tem motylem życiu czciciela piękności hrabia masz chwile szczę-

żliwych omamień, dopóki się plamka nie ukaze... one roją o miłości, o węzłach wiekuistych i oblewają je łzami.

Stolnik wstał z krzesła.

— Nie będę się już tłumaczył — rzekł poważnie — powiem tylko, co pragnąłem jej oddawna powiedzieć. Bylbym najniešťszczęśliwszym, gdyby mi los i okoliczności odebrały jej szacunek. Nim pani zechcesz mnie sądzić i potępić, proszę zaczekać. Wielem się naraził jej przyjaciółom... to były konieczności położenia, ale jutro wszystko zmienić i nagrodzić może.

To mówiąc, skłonił się i śpiesznie oddalił, a czas był już, żeby to uczynił, bo straszne burze wrzały pod białemi koronkami i okrutne przekleństwa zdradzonych wyrwały się z pieszczonych ust. Bohater dnia tego zwrócił się zaraz do gospodyni domu, gdy piękna wojewodzicowa chwyciła za rękę brata kasztelanica i z namiętnością a gniewem prowadziła go w oddalony salon zakątek.

— Powiedz-że mi — zawołała cała drżąca — ja tego nie ścierpię! ja nie zniosę. Niech wybiera między mną a Dydoną, albo tą napuszoną indyczką — Solłohubową. Ale on sobie żartuje ze mnie! Ja jestem wściekła.

Kasztelanie słuchał, ręce powkładawszy w kieszenie, patrząc w sufit i nie przywiązując wielkiej wagi do gniewu siostry.

— Czyś już skończyła? — spytał. Spojrzał na nią z góry. — Siostro kochana, c'est du plus mauvais genre taka zazdrość. Daj mi być trochę zalotnym, powróci do ciebie, byleś miała rozum. Uśmiechnij się innemu. Jego motylowanie nie ma najmniejszego znaczenia. To taka natura, on się do kominiarza będzie wdzięczył.

— A moja natura jest nie cierpieć tego! — odparła wojewodzicowa — powiedz mu to!

Kasztelanie coś jej szepnął na ucho, i dostał kłapsa wachlarzem, rumieniec wystąpił jej na twarz. Brata fizyognomia uśmiechała się szydersko i cynicznie.

Zamilkli oboje.

Panie z kolei rozrywały między sobą stolnika; dla każdej miał jakieś słówko tajemne i każda z nich odeszła uszczęśliwiona czarodziejem, spoglądając z pewną dumą szyderską na rywalki.

Wtem, gdy salon śmiechami stłumionymi i najżywszą rozmową się rozlegał, stolnik i kasztelanie spojrzeli na siebie, ostatni dobył zegarka i znikli z salonu, prawie niepostrzeżeni. W progu tylko gospodyni domu podała im rękę. W salonie zrobiło się ciemno i zimno, jak gdyby słońce zagasło, piękne panie jedna po drugiej poczęły szukać krzeseł i spoczynku, każda z nich potrzebowała się odosobnić i zadumać, pieszcząc tem słowem w nadzieję bogatem, które jej rzucono.

Stara krajczyna schyliła się do zadumanego szambelana.

— O czem myślisz? — spytała.

— Dlaczego wieczery nie dają? — wybuchnął niecierpliwie spytany. — Dawno czas, a ja jestem głodny.

— Wiesz, żeś doskonały! — uśmiechała się stara — myślałam, że mi powiesz komplement, a ty...

Szambelan jakby nie słyszał.

— Macie wielką przyszłość przed sobą — dodała, zmieniając rozmowę — boć to ma swe znaczenie przecie, że w takiej chwili waszą Dydonę odwiedził.

— Pewnie! pewnie! — rzekł roztargniony stary — ale zdaje mi się, że oto do stołu dają. — I wstał.

Zamiast drzwi do jadalni, otwarły się wchodowe i nowi goście ze świeżemi nowinami ukazali się w nich. Niektórzy z nich wracali z Woli, inni z tych miejsc, gdzie się posłuszna szlachta w oczekiwaniu jutrzejszego dnia gromadziła. Każdy przynosił coś uspokajającego. Kuryery przywiozły dobre z prowincyi wieści.

Wśród zamieszania, jakie powstało tu, bo każdy biegł ciekawy do zwiastunów nowin szczęśliwych, Solłohubowa wymknęła się ze swojego kątku, wysliznęła do przedpokoju, służący narzucił na nią czarne futro i powóz oddalił się szybko, wioząc ją do Saskiego pałacu.

Była pewna, że tego dnia i tu czuwać długo będą; że znajdzie Brühlów tak żadnych wiadomości, jak byli wszyscy w tej godzinie stanowczej. Nie omyliła się. W pustej salce hrabina siedziała jeszcze z robotą, Dumont z założonemi rękami. W pół pokoju stał przywołany Godziemba i w postawie pełnej uszanowania zdawał sprawę z tego, co widział na mieście. Ręka jego już była wygojona, a czerwona blizna na twarzy wcale go nie szpeciła. Niekiedy hrabina podnosiła oczy od roboty na swego sekretarza i spuszczała je, jakby się sama tej śmiałości ulekła, nie widząc, jak niecierpliwie ramionami rzucała Francuzka.

Godziemba, na widok Solłohubowej, uklonił się i powoli ku drzwiom zmierzał, gdy ta, zwróciwszy się do niego, poprosiła go, aby o jej przybyciu dał znać hrabiemu. Nie czekano na niego długo, wszedł natychmiast z twarzą tak swobodną i uśmiechniętą, jakby wcale nie wiedział, iż jutro osobisty nieprzyjaciół i prześladowcę okrzyknięty będzie panem i władcą kraju.

— Mój drogi hrabio! — idąc naprzeciwko niemu, poczęła Solłohubowa — złe ci przynoszę nowiny. Byłam

u Dydony, miałam tam szczęście nawet widzieć i nie-
szczęście rozmawiać z kandydatem, bo mi to wiele nie-
przyjaciółek nowych przyczyniło. Niema wątpliwości, że
jutro... jednogłosny wybór nastąpi. Lękam się o was
i dla was samych i dla wojewody, który jawnie wy-
stępował przeciwko kandydaturze. Czy nie bezpieczniej,
czy nie lepiejby było, choć z ust jego słyszałam uspokaja-
jące wyrazy, cofnąć się póki czas i nie narażać na
zemstę?

— Cóż mi jeszcze uczynić mogą? — zapytał —
odebrali mi wszystko, jestem prywatnym człowiekiem,
a przestając być szlachecciem polskim, nie tracę praw, ja-
kie ma do gościnności saski poddany i hrabia państwa
rzymskiego. Dlaczego mi pani każesz uciekać?

— Dlatego, że za wojewodę mścić się na was bę-
dą, za tego Radziwiłła, który się na nich rzuca i burzy,
wreszcie za pamięć ojca.

— Bądź pani spokojna — odezwał się Brühl. —
Ja nie czuję najmniejszej trwogi, bo nie mam żadnej
ambicji. Nie stoję nikomu na drodze, a tak mi tu spo-
kojnie i dobrze...

Gdy się ta rozmowa rozpoczynała, hrabina skła-
dała swoją robotę, której część oddała Dumont; obie one
jakby naumyślnie wyszły, zostawiając Brühla sam na
sam z przybyłą, która powiodła oczyma za odchodzącymi.

— Proszę cię, hrabio — odezwała się ciszej —
już nie po raz pierwszy uważam, że żona twoja, gdy
ja przyjeżdżam, z pewną afektacją oddala się z salonu.
Czy to ma być przestroga dla mnie?

Hrabia się rozśmiał.

— Proszę tego nie brać do serca — rzekł — wróci

ona natychmiast, ale pewne praktyki religijne ma do godzin przywiązane.

Sollhubowa zamilkła.

— Chcesz mi wmówić, hrabio — dodała po pewnym przestanku — że nie widzisz niebezpieczeństwa dla siebie, lecz wyzywasz je tem upartem trwaniem na stanowisku. Mnie się zdaje...

Gdy to mówiła, Brühl zbliżył się do niej z wolna, patrząc na drzwi, któremi wyszła jego żona.

— Mnie się zdaje — podchwycił — że najprzebieglejsza i najrozumniejsza z dam... słowem pani Sollhubowa, nie chce zrozumieć swójego sługi, i przypisuje to jego uporowi i dumie, co płynie z innego uczucia. Tak jest, mógłbym spokojnie oddalić się stąd i stworzyć sobie ciche gniazdko w moim zamczku saskim lub pałacu drezdeńskim, ale tam, tam! — rzekł, zniżając głos — nie widziałbym tych oczu i nie posłyszał tej melodyjnej mowy, któremi żyję, tam usechłbym z tęsknoty...

Pani Marya spuściła oczy i zamilkła.

— Gdyby to nie był dla starej przyjaciółki grzeczny komplement, byłaby to zaiste zbyt wielka ofiara.

— Na daleko większą zdobyłbym się chętnie — mówił Brühl — bylebym widoku waszego nie stracił. Może się to mówić i przyznawać do tego nie godzi, daruj mi pani... aleś sama wywołała wyznanie, które jest fundamentem zarazem postępowania mojego...

Sollhubowa, mocno zarumieniona, milcząca, podała mu rękę tylko, którą Brühl ucałował.

— To są ludzie mściwi! — rzekła — nie wierzę słodkim ich wyrazom. Trwożę się, trwożę dla was, o was...

wolałabym widzieć w Saksonii, na ten raz, niż tutaj, choć daleko musiałabym szukać myślami przyjaciela...

Zegar wybijał w pół do dwunastej, Sollhubowa wstała z siedzenia, kładąc rękawiczki.

— A! jak późno! — zawołała — a hrabina nie powraca.

— Mówi z Dumont litanie — uśmiechając się, szepnął Brühl. — Pocziwa Francuzka śmiertelnie się nudzi i poziwa, ale jest tak nieoszacowanie dobra i posłuszną, że najgorętszy romans francuski rzuca w chwili, gdy o losie bohatera mogłaby się dowiedzieć, dla dogodzenia hrabinie...

Szelest, jaki przechadzająca się żywo i wybierająca do odjazdu umyślnie zrobiła Sollhubowa, dla wywabienia gospodyni, ściągnął ją wreszcie z nieodstępna towarzyszką.

Dwie panie pożegnały się z tą czułością powszednią, jaką nakazuje grzeczność i formy światowe. Hrabina troskliwie kazała się okryć pięknej pani, ta nie puściła jej do sieni, aby się nie zaziębiła, i w progu ucałowawszy się jeszcze, rozstały się, ściskając za ręce, do jutra.

VI.

Około godziny dziesiątej wieczorem do Peszla pod zamkiem docisnąć się nie było podobna. Dzień był jesienny, ale ciepły i piękny. Gwar pod sklepieniami obu izb panował niesłychany, chłopcy posługujący głowy traciłi. Wiwaty rozbrzmiewały hałaśliwe, wesole, powtarza-

ne i najczęściej kończące się okrutnem szkła tłuczeniem. Była obawa, że kieliszków i szklanek zabraknie.

— A pał was dyabli! to będziemy pili z gąsiorów! — zawołał szlachcic, któremu sam Peszeł pokornie ośmielił się uczynić tę uwagę.

W malej owej izdebce, która bywała przytulkiem naszych znajomych, tym razem ich nie było. Nieby nie zyskali na schronieniu się do niej, bo drzwi na oścież stały otworem i ścisk w obu był równy.

— Co przeznaczone, to nigdy nie minie — mówił wąsaty szlachcic do słuchających go z rewerencyą i przejęciem, podpitych już nieco pocziwych Mazurów. — Całemu to światu wiadomo, że sławny Włoch wróźbił jeszcze mu w kolebce przepowiedział, iż koronę nosić będzie. Matka o tem jedna wiedziała, i ziściło się... Habemus regem! Wiwat!

— Byle już nie Sas, nie szoldra, a Piast, a swój, to i dobrze i zgoda. Pacyfikacya nastąpi ogólna, podamy sobie ręce. Wiwat!

— Mówią, że ekonomczuk? Co mi tam!

— Lgą — rzekł drugi. — Poniatowscy z rodziny włoskiej Torricellich pochodzą, ród książęcy...

— Dosyć na niego spojrzeć — przerwał inny — pan całą gębą, postawa królewska, czoło i rozum do korony, a ci, co go słyszeli, odchwalić się nie mogą miodopłynnej wymowy. Chryzostomus drugi. Dziesięciu językami mówi...

Z drugiej strony krzyczano zapalczywiej jeszcze: Wiwat! a z pośrodku hałasu słychać było tylko rzuconą wątpliwość:

— Kto funduje?

Zagłuszono interpelanta. Uszczęśliwienie było powszechne.

W kąciaku na ucho ostrożniejsi a świeżo nawróceni szeptali:

— Jako żywo nie poddał się książę Radziwiłł, z wojskiem i skarbami wszedł pod opiekę Austriaka. Zobaczymy, co jeszcze będzie. Potoccy też nie wszyscy się akomodowali. Kto wie, co jeszcze nastąpić może! Mokronowski powiada: łatwiej go będzie obalić, niż było wyborowi przeszkodzić.

— Cyt! cyt! — poczęli otaczający — po co to z tem się odzywać? dziś nie pora.

Żudra stał z rękami w kieszeniach zmęczony strasznie, z plamami czerwonymi na twarzy, niebieską chustą ocierając się co chwila, ale milczał. Coś mu nie było do smaku, spluwał.

— Przecieżeście to wy na to kazanie dzwonili — szeptał mu ktoś na ucho.

— Tak jest — mruczał mostowniczy — ale, sic vos non vobis, co innego się myślało, a co innego zrobiło. Hm! hm! byli starsi i podobniejsi do tego szczytu, ale ci recesowali. Ciężar wielki! niema co nowemu panu winszować! Gdyby co dobrego w tem było, nie odrzuciłby książę kanclerz, i nie odciągnęliby księcia Adama.

Pokiwał głową i zamilkł nagle.

Wiwaty brzmiały ze wszech stron.

— A to, mosanie, rzecz niesłychana — mówił stary szlachcic — aby elekcyja, która zawsze krwawą bywała, nawet bez guza się obeszła! Co panowie na to? ani jednego veto! książę prymas objechał województwo odkrytą kolaską, i jak dojrzale owoce wota zbierał.

— Widać tak Bóg chciał, konkluduję.

Podkomorzy Laskowski siedział w kącie ze skarbnikiem, rozshuchiwali się i milczeli, spoglądając po sobie z porozumieniem. Skarbnik, o co go kto zagadnął, konfirmował słowem i głową.

— Słowa nie masz — mówił — dziś dzień zgody; gdyby mi kto powiedział, że cztery litery, przyznam i to... dla świętego spokoju.

— Ale cóż acież na to mówisz? — spytał Laskowski — tak... intymie, między nami?

— Ja, mówię, że co się stało, to musiało być; zatem... zgoda — odparł Zagłoba i ramiona podźwignął, a głowę spuścił.

— I masz acież rację, tylko na sejmikach sześciu czy siedmiu rozsiekano... bywało gorzej. Procent wcale nieznaczny, a skutek wielki: raz się kaptury skończą, a pokój nastanie. Tandem, mając dwóch takich wujów, choćby mosanie człek był lekki, rady sobie da. Boć to nie on, ale oni rządzić będą.

Skarbnik się uśmiechnął. Jakkolwiek zaręczał, że był w humorze potakiwania, ironicznie mu się usta skrzywiły.

— Bodajesz acież zdrow był! — począł. — Dopóki się władzy nie ma, człek-by się gotów dzielić, ale gdy się otrzyma, człowiek o nią zazdrośny! Tandem, nie łapmy ryb przed niewodem.

Tak rozprawiano u Peszla, po ulicach stawały kupki i uszczęśliwione wykrzykiwały: Wiwat!

Szesnaście tylko tysięcy szlachty zjechało się było na elekcyę, a było między nimi różnych wielu, większa część gospodarzy, którym pilno koreciło do domu, bo

się siejba zbliżała, wiwatowali więc, że ich z ciężkiego obowiązku nareszcie zwolniono.

Znużyło też wielu bezkrólewie, wśród którego fermentowała wojna domowa, a teraz wszystko się zdało ukończone i pacyfikacya sama się składała, bo większa część opozycyi sama dobrowolnie przejednania pragnęła.

Tegoż wieczoru dowiedziano się u Brühlów o wypadku na Woli, ale od kilku dni przewidywano go, nie uczyniło to więc nadzwyczajnego wrażenia.

Razem prawie z wiadomością o elekcyi, w pałacu zjawił się posłaniec z Krystynopola z listami od wojewodziny do córki i od wojewody do zięcia. W ostatnim pan wojewoda kijowski żądał od hrabiego Brühla, aby, jeśli to było możliwem, nie wydając się z podróżą i nie opowiadając nikomu, przybył tajemnie do Krystynopola.

Hrabia nie miał wielkiej ochoty do wycieczki, oczy bowiem zwrócone były na niego, a podróż do zaledwie przejednanego teścia mogła go podać w podejrzenie; miał jednak w obyczaju poszanowanie dla wojewody i samo żądanie ciekawość w nim obudzało. Szczęściem dnia tego wszyscy tak byli sobą i elektem zajęci, iż w pałacu Saskim nikogo nie było. Hrabia natychmiast udał się do żony i zastał ją nad listem matki, dosyć poruszoną i przejętą.

— Bardzo hrabinę przepraszam — rzekł — iż tak jestem natrętny, ale zmusza mnie do tego rozkaz wojewody, który chce, abym sekretnie przybył do Krystynopola. Radbym spełnić jego żądanie, a bez pani uczynić tego nie mogę. Wedle wszelkiego podobieństwa, wyruszę dziś jeszcze w noc, lecz nie trzeba, aby ktokolwiek-bądź o moim wyjeździe był uwiadomiony. Rozkazę lu-

dziom mówić, żem chory i że nikogo nie przyjmuję, pani zaś będziesz łaskawa.

Hrabina, która właśnie list matki trzymała w rękę, pośpieszyła dodać głosem cichym, że i wojewodzina tej podróży sobie życzy.

— Proszę więc pani — dodał Brühl — nie wydawać mojej tajemnicy, a gości moich przyjmować.

To mówiąc, pocałował ją w rękę grzeczny zawsze małżonek, spytał, czy nie będzie miała co do przesłania do Krystynopola i, otrzymawszy odpowiedź, iż za godzinę list wyśpieszy i odesła mu, wyszedł myśleć o podróży. Godziemba był we wszystkich razach podobnych jego powiernikiem i teraz więc posłał po niego.

— Mój panie Tadeuszu — rzekł do wchodzącego — dla ciebie nie mam tajemnic. Wojewoda kijowski wzywa mnie do Krystynopola. Chociaż podróż do teścia nie ma w sobie nadzwyczajnego, chce, ażeby o niej nie wiadano. Jadę więc dziś, zaraz... potajemnie... Ruch jest w Warszawie wielki, szlachta tłumami ją opuszcza, wymknę się niepostrzeżony. Ty naturalnie zostajesz tu i będziesz mówił, żem chory.

Godziemba głową potrząśł.

— Mów — rzekł, spoglądając na niego, Brühl — widzę, że ci się myśl moja nie podoba.

— Bo, chyba gdybyś hrabia był śmiertelnie chory, przystęp do niego mógłby być wzbronionym. Inaczej naprze się ktoś widzieć go i fałsz się wyda.

— Więc? — zapytał Brühl.

— Więc mogłeś hrabia wyjechać do Drezna, dokąd go sprawy majątkowe powołały.

— Tak, to może być lepiej. Idź-że o tej zmianie oznaj-

mić mojej żonie, aby parol wiedziała, a sam wracaj i pomóż mi do podróży.

Godziemba wyszedł posłuszny rozkazowi i udał się do hrabiny.

Jak zawsze, ilekroć się z nim spotykała pani Brühlowa, czerwienila się jak młodziuchna dziewczeczka, ogarniał ją strach, mieszała się, szczególnie gdy ją pan sekretarz samą zastawał. Przyjęła go strwożona i, odbiegłszy od poczętego listu, wysłuchiwała, co jej miał do powiedzenia. Hrabia polecił mu przestrzedz żonę, aby o celu podróży nie zwierzała się łatwo papłającej Francuzce.

Spełniwszy rozkaz, Godziemba, któremu wzrok hrabiny towarzyszył do progu, wybiegł, nie śmiejąc nawet spojrzeć na nią. Brühl tymczasem pilno już do drogi się sposobił... umówiwszy się z Godziembą, że wyjedzie gościńcem do Drezna, a z niego rzuciwszy pocztę, zwróci się ku Krystynopolowi.

Doskonały jeździec Brühl miał część drogi odbyć konno, a dalej wziąć konia pocztowe aż do majątności teścia, w których mu rządcy mogli dostarczyć przepręgów.

W chwili gdy Warszawa brzmiała jeszcze odgłosami elekcyi, w piękną noc majową, Brühl opuszczał pałac Saski i rozpoczynał podróż, której celu nie rozumiał.

Wiadomo mu było tylko, iż Franciszek Salezy wojewoda kijowski i Eustachy Potoccy, Michał Radziwiłł ordynat klecki, Antoni Lubomirski wojewoda lubelski, Twardowski wojewoda kaliski, już się byli wespół z hetmanem Branickim poddali wypadkom silniejszym nad nich. Zagadką więc dlań była ta podróż tajemnicza.

Śpiesząc do jej celu, Brühl dzień i noc pędził ku Krystynopolowi... Dzięki pośpiechowi, z jakim podróż odbywał, porze roku i koniom panów rządów, czwartego dnia rano dobiegł do rezydencji, która wyglądała jakoś dziwnie cicho i pociętnie... Wszystko tu znalazł na swych miejscach, ale dawna buta i duma wojska nadwornego, jego szumne miny i pewność siebie znacznie zbladły. Cicho było na obwachcie, żołnierze chodzili jak senni, około pałacu mało się ludzi kręciło.

Na wszystkich znać było przybicie jakieś i zniechanie. Starosta Zawidecki, który wyszedł na spotkanie hrabiego, unikającego oczu ciekawego dworu, oznajmił mu, że wojewoda, tylko co odprawivszy pacierze, w kancelaryi się znajduje, i wprowadził go zaraz do niej.

Potocki snadź się zięcia spodziewał i odgadł jego przybicie po ruchu od bramy, znalazł go bowiem u progu, z otwartymi rękami — ale z twarzą, na której wypadki ostatnie wypiętnowały się gniewem jakimś tłumionym i zniechanem.

Starosta, wpuściwszy Brühla, sam się cofnął natychmiast, zostali z sobą tylko we dwóch. Od kilku miesięcy nie widzieli się i od tego czasu zmieniły się wielce okoliczności. Wojewoda rozmyślił się i poddał. Niemal wstyd mu było tego i jakiś czas po wnijściu zięcia, uściskawszy go, stary królik Rusi do słowa przyjąć nie mógł.

Padł na krzesło, dłonią jedną oczy zakrył i potrzebował przetrwać w sobie odżywną boleść.

— No — cóż waćpan mówisz na to, hrabio? — odezwał się wreszcie — co mówisz? Mielizęśmy im wydać wojnę? Nie było podobieństwa. Miałem bez na-

dziei pomocy znikąd uchodzić z kraju, zostawując im na łup majątki?

Musiłem przyjąć plagę, jaką Bóg zesłał na mnie... ale — wierz mi (tu go ścisnął mocno za rękę), wierz mi, na tem nie koniec. Nigdy im tak tryumfować nad sobą nie damy! Znajdziemy środki, aby gagacika tego zrzucić z uzurpowanego tronu.

Wstał cały wzburzony wojewoda, gdy wtem małe drzwiczki skryte kancelaryi otwarły się ostrożnie, i surowa, ostrych rysów twarz wojewodziny Anny w nich się ukazała. Zobaczywszy Brühla, weszła żywo, postępując ku niemu. Hrabia, rękę jej całując, list od żony oddawał. Schowała go, nie czytając, za górę, pilno się przypatrując przybyłemu zięciowi i zmienionej przypominieniem doznanego upokorzenia męża twarzy.

— Jak się Marynia ma? — spytała.

— Zdrowa, dzięki Bogu, jak list jej dowodzi.

— Kaszle zawsze?

— Trochę, ale wiosenne powietrze.

Nie słuchając odpowiedzi, wojewodzina odwróciła się do męża, który pociętnie w okno poglądał.

— Patrz, mój hrabio — zawołała głosem, w którym się gniew przebił — patrz, co mi z mojego pana Fryderyka jego sprzymierzeńcy zrobili. W tych kilku miesiącach zestarzał mi nie do poznania! Wszyscy zdrajcy, ludzie bez charakteru — bez męstwa, bez decyzyi! Jestem kobieta, alebym nigdy tu takiej ignominii nie dopuściła na imię Potockich.

Wojewoda, który był siadł na chwilę, zerwał się znowu.

— Nie mów asindzka o ignominii, nie mów! nie mów! — począł, głos coraz podnosząc. — Jeszcze rzeczy nie

skończone — jeszcze ostatnie słowo nie dośpiewane... Niech się cieszą i radują, my spać nie będziemy. Tego ekonomczuka zrzucimy ze złoczonego stołka, albo sami żyć nie będziemy!

— A pocóście mu na nim sięś dali! — zawołała wojewodzina.

Milczenie trwało chwilę.

— Nie moja wina — odezwał się ciągle w gniewie wojewoda — stary hetman niedołęga, sybaryta, dla wygodek białostockich poświęcił wszystko. Mokronowski tchórz, choć junaka udaje. Prymas ciemiega zdał się na mnicha, nie na księcia kościoła, inni wszyscy dobrzy na języki, ale do roboty niezdatni — cóżem ja mógł jeden, a Radziwiłł drugi?

Wojewodzina poszła zwolna do kanapki, siadła na niej i głowę na rękach podparła, patrząc na Brühla, zrezygnowana słuchać żalów męża, który się własną mową rozpałał.

Wtem wojewoda wstał, mrużąc coś niewyraźnie pod koniec; począł chodzić po pokoju żywo.

— Dla jejmości — rzekł, stając nagle — ja nie mam tajemnie możemy więc mówić otwarcie... Waćpana, panie hrabio, tak dobrze odarto i z zaszczytów i z majątności, że nie masz do stracenia. Gorzej już być nie może!! Ja, choć mi niby przebaczone, nie się dobrego spodziewać nie mogę po nich. Jeśli komu, należy mi się buława, lecz kat ich bierz, jeśli inaczej do celu dojść potrafimy. Nie straciłem nadziei. Patientia! księżę wojewoda wileński schronił się na Węgry, o pardon prosić nie myśli. Zabrał z sobą dwór, skarby, rodzinę... nie darmo, musi wiedzieć na co czeka, gdy go tymczasem grabią.

Tu wojewoda zatrzymał się nieco i ku żonie spojrział, która uparcie milczała.

— Otóż i mybyśmy też wiedzieć radzi, co on myśli i zamierza? — kończył Potocki — ale ślać lada kogo na zwiady nie godzi się, aby sprawy nie popsuł.

Spojrzał na Brühla badająco.

— Co tu długo się rozwodzić? — porywezo się odezwała wojewodzina, której oczy zabłysły nagle — mów asindziej prosto, o co idzie. Oto trzeba, abys ty, panie hrabio, do Preszowa jechał, abys na oczy swe księcia Karola widział, mówił z nim i przywiózł nam od niego wiadomość.

Wojewoda wlepił oczy w Brühla, który stał, nie okazując po sobie ani zgody, ani przeciwności. Myślał właśnie o tem żądaniu, a sama podróż uśmiechała mu się. Nawykł był też możnego teścia spełniać żądania.

— Co wy na to? — zapytał wojewoda.

— Spełnię rozkaz — rzekł Brühl z ukłonem.

— To nie dosyć — dodał wojewoda — mów waćpan zdanie swe a otwarcie. Ja na księcia Karola wielce rachuję, bo żaden z nich tu takiego męstwa nie okazał jak on i takiej wspaniałości duszy.

— O męstwie księcia wojewody nie wątpię bynajmniej — rzekł Brühl — widziałem go zawsze nieustraszonym — ani o szlachetności charakteru; lękam się tylko porywezości i zapamiętałości, dla których nie zawsze mógł księżę Karol obrachować skutek przedsięwziętych kroków.

— A ja waćpanu mówię, panie hrabio — prze-rwał wojewoda — iż to, co uczynił, cofając się na Węgry, bez rozmysłu nie mogło być uczynione, ani mi kto potrafi

wmówić, ażeby matkę, brata i pięć sióstr uprowadził na tułactwo, nie mając nadziei odwetu i powrotu w tryumfie. Gdyby poddać się miał, czas było to uczynić teraz... Cesarzowa przyjmuje go z wielką dystynkcyą; spełnetrowaćby więc należało i tajne myśli dworu austriackiego, które różne być mogą — dlatego postanowiłem was wyprawić do Preszowa.

Brühl skłonił się.

— Z przyjemnością podejmę się tej podróży — rzekł — rad będę zobaczyć księcia Karola, który mi zawsze wiele okazywał życzliwości; pozwolę tylko uczynić uwagę, iż wycieczkę tę radbym odbyć incognito, jeśli być może z jak najmniejszym poczem, bez rozgłosu. W Preszowie pewnie na szpiegach nie zbywa.

Wojewodzina pogardliwie skrzywiła usta.

— Juściż — rzekła — proskrybowanemu, jak waćpan jesteś, przyjaciela odwiedzić, za grzech poczytanem być nie może.

— Ale ma słuszość — przerwał wojewoda — niech jedzie, jako chce... Tak lepiej, ludzi mu do towarzystwa dobiorę pewnych, a podróż niech urządzi, jak mu się podoba.

— Tak jednak — dodała wojewodzina — aby się godnie zięciem jegomości okazał... i aby przy Radziwille, który tam po królewsku słyszę występuje, nie zmarniał.

Brühl się rozśmiał.

— Juściż z Radziwillem się mierzyć — rzekł — ani mam ochoty, ani widzę podobieństwa.

— Jemu to zostawmy — przerwał wojewoda — aby sobie sam sposób obmyślał. Staroście Zawideckiemu dam rozkaz, aby poczet uformował z ludzi pewnych taki, jakiego sobie życzyć będziesz waszmość, i na tem

dosyć — moja tylko rada, aby i sam Sierakowski wam towarzyszył, bo i kraj, i drogi i trochę języka — *bassa* te remtete zna, i męstwa niepośledniego człowiek.

Tak w krótkich, a niewielu słowach sprawa, dla której hrabia Brühl został powołany, rozstrzygnięta była i reszta dnia spłynęła na nieskończonych utyskiwaniach nad wypadkami, które Familii i jej wybranemu dały tak niespodziane zwycięstwo.

Wieczorem dopiero, zdawna zdająca się czatować na Brühla wojewodzina, której zły humor wielce niepokoił męża, zięciowi dała znak, aby z nią szedł do jej gabinetu. Był to ten sam właśnie, w którym ze starą i młodą Terlesią i innemi faworytami i teraz jeszcze wieczorne odbywały się konferencye... Wojewodzina opatrzyła drzwi, aby ich nie podsłuchiowano, i po długich tych przygotowaniach, stękanii i zagadkowych zaczepkach, stanawszy przed Brühlem w postaci sędziego, zapytała go znienacka:

— Powiedz-że mi acinądziej, panie hrabio, czy jesteś szczęśliwy?

— Ja? — spytał — ale zdaje mi się, że nie dałem najmniejszego powodu wątpić o tem...

Wojewodzina zaczęła głową potrząsać.

— Zapewne zapewne — rzekła — ale ja o moją Marynię troskliwa, mam raporty moje... Waćpan, panie hrabio, zbyt się zajmujesz książkami i muzyką, a żoną za mało; jak to może być... ażebyście... dotąd nie mieli...? — Tu wojewodzinie trochę głosu zabrakło i cicho dodała: — A tak, żebyście nie mieli potomstwa? — Badawczo spojrziała w oczy hrabiemu. — Już na tę intencję odprawiało się nabożeństwo w Krystynopolu; ale

to darmo, bo się waćpaństwo jak należy nie kochacie, i waćpan, panie hrabio, balamut jesteś...

Brühl się zmieszał, odpowiedź była nader trudna... znał też wojewodzinę, iż nie znosiła sprzeciwieństwa i wpadała natychmiast w spazmatyczne ataki... Wzrok jej już zdawał się wróżyć wybuch jakiś...

— Ja, doprawdy — odrzekł Brühl z pokorą — nie poczuwam się do żadnej winy...

— Ale, ale! mów to komu innemu — dodała wojewodzina — mam ja moje informacje pewne...

— Wątpię, żeby żona moja uskarżać się na mnie mogła.

Wojewodzina, plasnąwszy w ręce, coraz mocniej zagniewana, załamała je.

— Cóż to waćpanu w głowie! Ona!... ona się skarżyć! Ona!... to dopieroby dostała ode mnie! Skarżyć się ani będzie śmiała, ani może. Ja wiem, że na oko nie waćpanu do wyrzucenia nie ma... Nie o to idzie. Ale waćpan się o jej miłość nie starasz, opuszczasz ją, zaniedbujesz, a z innemi romansujesz...

Jakkolwiek cierpliwy, Brühl się uczuł obrażonym.

— Ale, kochana mamo! — zawołał — to są potwary i plotki.

Wojewodzina zbliżyła się szybko do zięcia i z tryumfem szepnęła mu do ucha:

— A Sołohubowa?...

Zarumienił się Brühl.

— Jesteśmy w przyjaźni z nimi, równie ja, jak żona moja, ale w tym kuzynowskim stosunku...

— Romansowym, romansowym! — z naciskiem powtórzyła wojewodzina w boki się biorąc — ja co wiem, to wiem... to grzech i obraza boska... Różgami-bym ka-

zała dać jejmościance... jak mi Bóg miły, gdyby mi w ręce wpadła...

Brühl się obruszył.

— Nie będę bronił siebie — rzekł — ale mi matka dobrodziejka pozwoli ująć się za kobietą spotwarzoną i niewinną. Daję słowo honoru, pani — dodał silnie — iż między mną a panią Sołohubową niema innego stosunku nad taki, jaki między krewnymi i przyjaciółmi jest godziwy... Zresztą — rzekł z dumą pewną, cofając się ku drzwiom, jakby chciał odchodzić — jakkolwiek szanuję władzę rodzicielską, czego dałem niejednokrotnie dowody, jeśli słowom moim wiara nie będzie dana, nie powiem nic więcej... ale słuchać więcej nie mogę... Proszę mnie uwolnić...

Wojewodzina z góry patrzyła na zagniewanego, zrazu sądząc, że go zastraszy; widząc jednak, że się zabiera odejść, kazała mu zostać.

— Proszę nie odchodzić! ani kroku.

Brühl otarł chustką czoło i zatrzymał się.

— Hrabia mnie nie rozumiesz — rzekła — ja... jestem matką... matce wiele darować potrzeba... Marynia nie jest szczęśliwą...

— W takim razie szczęście jej już ode mnie nie zależy — odparł Brühl — i ja nic na to poradzić nie mogę...

Jak zwykle, gdy na swoim postawić nie mogła, wojewodzina rzuciła się osłabła na kanapkę, zakryła oczy i — dostała spazmów. Siadając, ręką poruszyła dzwonek gwałtownie, a na dźwięk jego przerażona wpadła panna Terlecka. Dość jej było wejrzeć na panią, aby stan odgadnąć; przytomność Brühla, który nie wiedział co począć z sobą, tłómaczyła poniekąd spazmy...

Nie podnosząc chustki z twarzy, wojewodzina zięciowi dawała znaki jakies i niedosłyszczanym głosem wołała:

— Proszę wychodzić! proszę iść!

Terlecka też wreszcie powtórzyła głośniejszą wołanie pani, i Brühl zmieszany, smutny, upokorzony niemal, nierychło odzyskawszy zwykły spokój ducha, oddalił się, wracając na pokoje...

W godzinę dopiero za nim przybyła wojewodzina uspokojona, ale podejrzliwie okiem mierząca zięcia, i zbliżywszy się doń, szepnęła:

— Proszę, żeby już o tem mowy nie było...

Podala mu rękę do pocałowania, i scena dziwna skończyła się na tem, a Brühl nazajutrz w towarzystwie starosty Zawideckiego, dragonów wojewody, sześciu dworzan i odpowiedniej liczby furgonów, konno na Węgry wyruszył, szukając księcia Radziwiłła...

VII.

Oddalenie się Brühla z Warszawy nową było dla Dumont pobudką spróbowania, azali się czułym sercom nie uda usłużyć. Uparta w swem miłosierdziu nad niemi Francuzka, po stokroć zarzekała się, iż kroku więcej nie uczyni, że ich własnemu zostawi losowi, że od wszystkiego chce umyć ręce; niestety! najmocniejsze to postanowienie rozbijało się o chęć usłużenia tym nieszczęśliwym.

Niecierpliwili ją — nie mogła jednak zdobyć się na rezygnację zupełną, na wyrzeczenie się litościwego współdziałania. Oddalenie się Brühla, jak Francuzka

sądziła, do Drezna, następczo nową sposobność. Postanowiła z Godziembą być otwartą, pewna, że jej nie zdradzi, i tym sposobem zmusić go niejako, aby się do hrabiny przybliżył. Dotąd mówiła doń aluzjami, dawała do zrozumienia, do myślenia — teraz chciała ważyć wszystko. Miała to być próba ostatnia.

Jednego wieczoru Dumont wezwała sekretarza na kawę do swojego pokoju. Godziemba często jej odmawiał, ale na ten raz kazała mu powiedzieć, że przyjść musi, gdyż koniecznie z nim mówić potrzebuje. Rad nie rad stawił się na tak wyraźny rozkaz. Francuzka same mi myślami była już rozgorączkowana. Nalała kawę, postawiła ją przed Godziembą i stanęła przed nim z mocnem postanowieniem wypapłania się całkowicie...

— Wiem — rzekła — że mam z honorowym człowiekiem do czynienia... będę więc otwartą. Idzie mi o szczęście kobiety, którą kocham nad wyraz wszelki. Nie będę obwijała w bawełnę. Hrabina waćpana kocha od dawna... Wiem z jej własnych ust, że się to jeszcze poczęło w Krystynopolu... Los waćpana zbliżył się do niej, dobrowolnie jesteś ślepy... nie umiesz i nie chcesz z tego korzystać... Jużci waćpan to rozumiesz... że pierwszy do jakiegoś zbliżenia się krok uczynić powinien. — Tu się nieco pomiarkowawszy, Dumont dodała żywo: — Nie idzie, uchwaj Boże, o zawiazanie jakichś zakazanych stosunków z osobą tak świątobliwą i pobożną... toć waćpan rozumiesz; ale gdy ich rozdzieliły losy, a zbliżyły okoliczności, toćbyś waćpan mógł dla osłodzenia jej życia... zbliżyć się poufale. Ja mogę mu zaręczyć, że to za złe wzięte nie będzie...

Spojrzała nań: Godziemba, błądy i jakby przerażony, patrzył na nią w niemem osłupieniu.

— Czyż waćpan mnie jeszcze nie rozumiesz! — dodała niecierpliwie.

— A, pani! — odezwał się Tadeusz — nie wierzę uszom moim...

— Waćpan jej chyba nie kochasz! — dokończyła Francuzka.

— Nad życie! — zawołał Godziemba — ale dla tego, że ją kocham, że ją szanuję, nigdybym nie śmiał...

Francuzka plunęła aż z gniewu.

— Cóż nie śmiał? czego nie śmiał? powiedzieć jej czułego słowa? wynurzyć uwielbienie? pocałować ją w rękę? być powiernikiem jej serca? Wszakże tu o więcej nie idzie! Ona waćpana kocha, usycha i choruje z tej miłości, a nieczułość jego nazywająca się uszanowaniem... zadaje jej męczarnie... Toć, powiadam mu: spróbuj... oświadczyć się ... zobaczysz... — Wtem przerwała nagle i zamyśliła się. — Naturalnie — rzekła, zwracając rozmowę — nie możesz waćpan pretendować, aby mu się odrazu rzuciła na szyję... Kobieta wstydliva i pobożna. Choćby zrazu była cokolwiek zimna, nie należy się tem zrażać... Trzeba pamiętać o tem, że to nie dla szczęścia waćpana, ale i dla jej uszczęśliwienia się czyni... Coś waćpan powinieś z siebie też... za tę jej cichą miłość — poświęcić... Inny na jego miejscu.

Ruszyła ramionami, a że Godziemba milczał, do-rzuciła:

— Ja zawsze powiadam, że tu na Północy zimna krew mają ludzie, jak ryby... czy też woda w ich żyłach płynie! Doprawdy!

Pan Tadeusz stał, jak piorunem rażony...

— Ale mów--że waćpan... co myślisz? co powiesz na to?

— Trudno mi uwierzyć — rzekł nakoniec Godziemba — ale jestem przekonany, że pani nie narażałabyś mnie... nie mając do tego pobudek... Jestem tak szczęśliwy, że głowę tracę. — Chwycił się za czoło i dodał z uniesieniem: — Tak, przyznam się pani, nie jeden raz, znajdując hrabinę tak łaskawą i dobrą dla siebie, ludziłem się jakimiś nadziejami... nazajutrz wstydziłem się ich... i siebie, że o tem mógł roić...

Dumont zbliżyła się doń poufalej i poczęła szeptać:

— No, nie bądź-że waćpan dzieckiem... Przy pierwszej sposobności oświadczyć jej, z uszanowaniem, miłość swoją. To jej da trochę życia... to ją uzdrowi... Niema w tem przecież grzechu, że się ludzie kochają. Po całym świecie to chodzi. Brühl nie a nie nie dba o żonę... Byłbyś śmiesznym, gdybyś miał jakieś skrupuły...

Tego rodzaju podbechtywanie bardzo zręczne trwało dobrą godzinę. Kawa nietknięta wystygła, Godziemba zdało się, że oszaleje, wyszedł rozmarzony, rozplamiony, wpół szalony...

Francuzka rachowała zdaje się na to, że należało kuć to żelazo, póki było gorące; tegoż wieczoru ukartowała tak zajęcia, że sekretarz stał się potrzebnym.

W razach, gdy go do gabinetu powoływano, zwykle z rozkazu hrabiny, Dumont pozostawała albo w tym samym pokoju, lub w przyległym, od którego drzwi były otwarte... Świece już podano, książka do lektury i szklanka wody z cukrem stała przygotowana. Godziemba wszedł cały drżący, zasiadł i począł czytanie, gdy Dumont, szepnąwszy hrabinie, że ją gwałtownie bardzo zęby boleć zaczęły, wysunęła się z pokoju...

Brühlowa siedziała na kanapie z robotą, obok w pewnem oddaleniu Godziemba nad książką, z oczyma spuszczone, głosem od wzruszenia drżącym, począł czytanie. Ale w oczach mu się ćmiło... głosu brakło...

Hrabina spojrzała nań z uwagą. Po wyjściu Francuzki, Godziemba, który był postanowił tego dnia korzystać z jej rady, w chwili wykonania zmieszał się niewypowiedzianie, zarumieniał... zamilkł.

— Co to panu jest? — zapytała hrabina — czy i pan nie jesteś chory? Ale w takim razie proszę to czytanie porzucić...

Godziemba patrzył, nie śmiejąc ust jeszcze otworzyć.

— A, pani! — rzekł wreszcie, spuściwszy oczy — jeżeli to grzechem jest, mieć dla kogo uwielbienie, przywiązanie i nie śmieć nigdy słowem dać mu znać o tem uczuciu, to ja w istocie jestem chory śmiertelnie... bo całe życie milczeć muszę, co chwila mówić pragnąc.

Spojrzał na hrabinę, której robota z rąk wypadła, tak ją te słowa przeraziły, to nagle przerwane milczenie strwożyło. Śmiertelną bladością pokryła się jej twarz. Widząc ten przestrah, Godziemba radby się już był cofnąć, ale po pierwszych tych dwuznacznych i wyraźnych razem słowach zapóźno było.

— Przebacz mi, pani, moją śmiałość — dodał — długo, długo miałem usta zamknięte... lecz mając szczerście zbliżać się do niej...

Hrabina bladła i drżała coraz wyraźniej, wzrok jej oblakany błądził po pokoju, jakby szukał opieki i ratunku. Godziemba plątał się i mówił coraz dalej ze wzrastającym zapale.

— Nie karz mnie pani za zuchwalstwo moje... czuję, że jestem występny... ale...

Rzucił się w tej chwili nie myśląc i mimowoli na kolana i, widząc spuszczoną rękę Maryi, chwycił ją, okrywając pocałunkami.

— Na miłość Boga! panie Tadeuszu... wstań pan! błagam, proszę go... uspokój się, daj mi zebrać zmysły.

To mówiąc, zakryła twarz ręką hrabina i płakać zaczęła. Godziemba wstał zmieszany.

— Oczy moje... wzrok.... mowa, musiały mnie zdradzić — rzekła przerywanym głosem Brühlowa — pan odgadłeś, com mu się dla naszej wspólnej spokojności ukryć starała. Ja nie potrzebowałam tego wyznania, bom wiedziała o jego uczuciach tak, jak wy o moich.

Spojrzała nań z za łez strwożona; Godziemba stał przed nią, jak winowajca, z rękami załamanymi.

— Siadaj pan — rzekła — mówmy, jak powinniśmy a nie serca każą. Ja jestem żoną, jam na wierność przysięgała; pan jesteś domownikiem naszym i przyjacielem mojego męża. Miłość nas zbliżyła ku sobie... oczywiście, sercami, nie byliśmy związani... zachowaliśmy ją, bo nie było w mocy naszej serca jej zamknąć. Dziś powinniśmy milczeć tylko i cierpieć, ani ja krzywoprzysiężną, ani pan zdrajcą być nie zechcesz. Bóg na nas patrzy!

Godziemba milczał zawstydzony.

— A! pani — rzekł powoli — Bóg jest sędzią surowym, ale sprawiedliwym. Przysięga była wzajemna. Hrabia jest najlepszym z ludzi, ale on, ani do swojej, ani do twej przysięgi nie przywiązuje znaczenia — a my — a ty — ja, pani, cierpieć musimy.

— Nie mów pan tego — odezwiała się hrabina —

wiesz, że mówisz do słabej kobiety, którą chcesz sprowadzić z drogi obowiązku.

— Nie, pan! — odparł żywo Godziemba — ja nie pragnę nic, tylko zbliżyć się do ciebie, móż ci swobodnie wyznąć, co czuję.

Hrabina zamyśliła się.

— Któż z nas wie, gdy miłość się zaczyna, gdzie jej kres położy? Będzież w mocy naszej nie przejść granicy? Czyż ja wiem, azali te słowa, które wymawiam, już nie są grzechem?

— Niech cały ciężar tego grzechu spadnie na głowę moją — zawołał Godziemba. — Uroczyscie powołuję się na Boga i biorę go za świadka, że jeśli to, co czynię, jest winą wspólną — ja ją przyjmuję na siebie.

Brühlową uśmiechała się posępnie.

— Nie możesz waćpan rozkazać Bogu, aby winę serca mojego zdjął z niego. Grzech i okupiona nim chwila droga wspólne być muszą.

Potrząsała głową, twarz jej zwykle smutna i blada zarumieniała się i rozpromieniała urokiem niezwykłym.

— Coś pan uczynił! — zawołała po chwili, składając ręce jak do modlitwy. — Nie dość-że nam było tego szczęścia milczącego? Na coś przemówił? Nie powiedziałeś mi, wierz mi, nic więcej nad to, o czem od lat wielu wiedziałam — a dałeś mi zgryzotę i przestrah.

Godziembie żał się jej zrobiło.

— A, pan! — rzekł gorąco — rozkazuj, mów, będę milczał życie całe, nie uczynię kroku przeciwko twojej woli. Już dosyć jestem szczęśliwy, słysząc to z ust twoich, co one mi powiedziały. Starczy to na życie.

Każesz mi odejść, odpędzasz mnie.

Hrabina ze spuszczoną głową siedziała, walcząc z sobą, długo nie mówiła nic... Z przyspieszonego oddechu widać było bicie jej serca. Spojrzała, zakryła oczy, lekki krzyk i rzucenie rąk poprzedziło omdlenie. Godziemba, lękając się, aby kto nie nadszedł, pośpiesznie zmoczywszy chustkę w stojącej wodzie, sam trzeźwić ją począł. Hrabina otworzyła oczy i jakby nieprzytomna zarzuciła mu ręce na szyję, zaponmniawszy o tem, że w każdej chwili Francuzka mogła powrócić. Lecz zaledwie zbliżyły się ich usta, krzyknęła znowu i z gwałtownością wielką odepchnęła od siebie Godziembę. Siadła, jakby wyrwana ze snu, przeleżała, gniewna, a wzrok jej, czuły przed chwilą, stał się obłąkanym i groźnym.

Tadeusz poruszony, lecz zawstydzony razem, chwycił jej ręce, które mu się wyrwały, przepaszając. Usta hrabiny drżały konwulsyjnie.

— Zaklinam pana — proszę go... zostań! — mówi sama...

Godziemba nie mógł się rozkazowi sprzeciwić, wstał, by odejść, lecz, odwróciwszy się ku niej, tak błagającami rzucił oczyma, iż się ulitowała.

— Nie idź pan jeszcze — zawołała — siadaj na swem miejscu! mówmy... nie chcę go odprawiać tak. Daj mi zebrać myśli.

Podparła się na rękę.

— Panie Tadeuszu — poczęła zwolna, nie patrząc na niego — co się stało, jest niepowrotnem, myślmy i mówmy o przyszłości... Ja się pana obawiam, lękam siebie, pan, chcąc zbliżyć nas, rozerwałeś węzeł ten na wieki. Niech ten dzień zapomnienia się zmaże skru-

cha i pokuta, lecz słowo, daj mi pan słowo, że nigdy ust nie otworzysz więcej, że będziesz panem siebie i stać będziesz zdaleka ode mnie.

— Pani masz prawo rozkazywania — odezwał się Godziemba — jam jej sługa.

— Ale któż mnie nieszczęśliwej rozkaże? — prze-
rwała hrabina — będę-ż ja miała tyle siły?

Zalamawszy ręce, nie śmiała spojrzeć... Łzy pada-
ły jej na ręce. Położenie winowajcy było przykre, czuł
się występny, niepokój o przyszłość go ogarniał.

— Nigdy się nie odezwę słowem — rzekł cicho —
będę milczał, nie karz mnie pani.

Hrabina podała mu rękę, którą znowu na klęcz-
kach pocałował, i zmienionym głosem dodała:

— Zostaw mnie pan samą — proszę go, rozka-
zuję.

Godziemba wysunął się zawstydzony powoli.
Przechodził próg pokoju, gdy pode drzwiami ukryta
Francuzka dała mu jakiś znak niecierpliwy, którego
nie zrozumiał, a sama wpadła do pokoju. Znalazła swo-
ją uczennicę we łzach i niemal rozpaczy. Siadła zaraz
obok niej.

— Cóż to jest hrabinie?

— Al! nie dotykaj mnie! nie patrz na mnie! jestem
najnikczemniejszą z kobiet... brzydzę się sobą...

Francuzka się śmiać zaczęła.

— Ale ja, moja droga pani, byłam świadkiem ca-
łej sceny; jeden wyraz mi nie uszedł, słyszałam wszy-
stko.

Hrabina z krzykiem zakryła sobie oczy.

— Co za dziecinstwo! — dodała prędko Francuzka
— co za śmieszność robić sobie z tego tak wielkie

rzeczy, że w rękę pocałował! Ale to od bardzo dawna
nastąpić przecie było powinno. Wam się też w życiu
waszem choć chwileczka szczęścia należała.

To mówiąc, poczęła tulić płaczącą i uspokajając, jak
umiała.

— Pani wszystko bierzesz tragicznie — a na świe-
cie komedia jest wszędzie.

Brühlowa nie zdawała się słuchać nawet.

— Jakże ja będę śmiała ci spojrzeć w oczy, ja
nędzna jawnogrzesznica! — krzyknęła z boleścią.

Śmiechem odpowiedziała jej Francuzka. — Napij się
wody... uspokój i nie myśl o tem, droga pani, a...

Tu zbliżyła się jej do ucha i żywo coś szeptała
zaczęła...

Wszystko to było napróżno, hrabina wstała nagle
i, jakby siłą jakąś niepohamowaną pchnięta, szybko
odeszła do swojego pokoju. Idąc za nią Francuzka spo-
strzegła ją tylko padającą z rękami zalanymi u klę-
cznika i zmieszana cofnąć się była zmuszona.

Godziemba, jak oszalały, pobiegł gdzieś w miasto.

Tymczasem hrabina klęczała tak do północy, nie
wyszła do wieczery i całą noc spędziła — jak się
przekonała Dumont, szpiegując pode drzwiami — albo
chodząc po pokoju lub jęcząc u klęcznika... zdawała się
być w gorączce.

Rano posłano po kapelana i spowiednika, którym
był Kapucyn staruszek, wslawiony naówczas ze swego
daru uspokajania sumień trwożliwych. Uważano, że
godzinę prawie trwała spowiedź, a przy mszy świętej,
przyjmując komunię, hrabina płakała znowu. Po nabo-
żeństwie położyła się, posłano po lekarza. Objawiła się
lekka gorączka.

Dumont przerażona tem była. Godziemba szalał z rozpaczy. Francuzka ciągle przynajmniej mogła siedzieć przy chorej, która się jednak ani słowem do niej przez cały dzień nie odezwała... Nazajutrz po spokojniejszej nieco nocy lepiej już było hrabinie i doktor wstać jej pozwolił. Nie przyjmowała jednak nikogo, nawet Sollohubowej, która koniecznie dobijała się do niej.

Dumont już nie szło teraz o żaźnię intrygę: przeleżała, obawiała się tylko o siebie, pragnęła utrzymać na swem miejscu. To też ani słowo o dniu pozawczorajszym z ust się jej już nie wyrwało.

Część znaczna dnia spłynęła na jakichś pokutniczych modłach; hrabina miała twarz uspokojoną, posępną, nacechowaną wyrazem energii i mocnego postanowienia. Kaszel się zwiększył, policzki i oczy pały... — Mam do ciebie prośbę, moja Dumont — rzekła o zmroku — ty wiesz, niestety, o wszystkim... Mam najmocniejsze postanowienie żądać od tego człowieka, aby się oddalił.

Dumont ze strachu ust otworzyć nie śmiała.

— Tak jest i inaczej być nie może. Pytałam o radę mojego spowiednika — jest to moim obowiązkiem. Oddalić się nagle, teraz, nie może, dopiero za mojego męża powrotem. On sam będzie go prosił o uwolnienie i uda się na wieś do swoich starych Godziembów... Żadnego pożegnania — ani słowa. Ja na to nie pozwalam. Do powrotu męża mojego, niech do mnie nie przychodzi wcale.

Milezała Francuzka, ale wzdychała.

— Proszę, abys mu to objawiła dziś, zaraz — tylko pod tym warunkiem może zachować szczenek mój i pamięć dobrą... To jest moja wola i rozkazem...

Hrabina z takim wysiłkiem i rozgorączkowaniem to mówiła, iż Dumont uznała za konieczne uspokoić ją i odezwała się:

— Niech hrabina tak się nie irytuje; nikt się jej rozkazom nie sprzeciwi... To człowiek cichy, skromny... posłuszny — milezający... Powiem mu to... powiem.

— Proszę cię, moja Dumont, dziś, zaraz... Zdaje się, że ciężar mi spadnie z sumienia, gdy się to już stanie, gdy będę wiedziała, żeś mu to objawiła i jak on to przyjął.

Ruszyła więc natychmiast Francuzka do swego pokoju, odpowiadając już tylko skinieniem głowy, i posłała po Godziembę, który zdawał się spodziewać tego wezwania, bo wpadł niezwłocznie. Od tych dni paru, zmienił się niepokojem i jakąś sumienia zgryzołą... Łamiąc ręce, stanął przed Francuzką.

— Coś pani uczyniła? A! ja nieszczęśliwy!

— Ja! a to doskonale — krzyknęła Francuzka, obu rękami opierając się na stole i wlepiając w niego oczy. — Ja? ja chciałam waszego szczęścia, ale z bigotką i takim skrupulantem wyszłam ślicznie! Nie mówmy o tem; myślałam, że więcej macie oboje miłości i rozumu! Niema już co o tem rozprawiać. Oto waćpan masz rozkazy jej... Nie pokazywać się na oczy, aż do przyjazdu hrabiego, a potem prosić u niego o uwolnienie i ruszać sobie do swoich starych — pour planter les choux!

To mówiąc, dygnęła i, niecierpliwie ruszywszy ramionami, padła na kanapę.

Godziemba stał wryty, namarszczony, zgnębiony wyrokiem.

— Kazano mi przynieść odpowiedź i opisać, jak to waćpan przyjąłeś.

Rozśmiała się stara i, nie słuchając Godziemby, poczęła paplać:

— Zaraz nazajutrz wezwą Kapucyna i musiała mu się wypowiadać ze wszystkiego... a to skutek jego rady! Oto waćpan masz! bo jesteś niezgrabny i niezgrabny ...niezgrabny — więcej nie powiem.

O mało jeszcze i ja przez niego nie zostałam skompromitowana, ale...

Tu zamilkła i dodała:

— No, co mam jej powiedzieć? — mówi!

— Że się naturalnie jakkolwiek surowemu wyrokowi poddaje.

Wysłuchawszy, Francuzka poczęła jakby sama do siebie:

— Słowo daję najuroczystsze, że w tym kraju nikomu już nigdy ani radą przyjacielską, ani żadną pomocą służyć nie będę.

Godziemba coś mruczał, ale gniewna nie słuchała go już wcale.

— Dobranoc waćpanu — rzekła — muszę iść do pani, bo ta na mnie czeka niecierpliwie.

Rozeszli się tak, a Dumont zamyślona udała się ze smutną twarzą do dawnej uczennicy.

Z wyrazu samego, z jakim weszła do pokoju, hrabina domyślić się mogła, że poselstwo było spełnione, nie śmiała jednak pytać. Dumont się nie śpieszyła ze zdaniem sprawy.

Po kilku minutach milczenia, odezwiała się wreszcie hrabina:

— Widziałas go? mówiłaś z nim?

— Spełniłam 'wołę pani!

— A on?

Francuzka zamyśliła się, czy ma prawdę powiedzieć, czy skłamać. Ostatnie wydało się jej dla czułego serca bardziej pocieszającym.

— A! pani — odezwiała się — jeszcze jestem pod wrażeniem jego rozpacz... głową tłukł o ścianę, młlał, tarzał się po ziemi, myślałam, że oszaleje.

Marya zbladła.

— Wreszcie uspokoiłam go nieco... Powiedział mi, że podda się jej rozkazom, ale tego nie przeżyje.

— Jakto! sądzisz, że mógłby sobie życie odebrać? — zawołała hrabina i cała drzeć poczęła — a ja byłabym przyczyną jego śmierci!

— Kto tam mężczyznę zrozumie! — odparła Dumont.—Widząc go w tym stanie, przyznaję się pani, że mnie litość wzięła nad nim. Uczyniłam mu bardzo, bardzo daleką nadzieję, że wyrok ten złagodzonej nieco być może.

Hrabina nie odpowiedziała nic, zatopila się w myślach smutnych. Dumont napróżno usiłowała je odgłuszyć i coś z tego jeszcze zrećźnie wyciągnąć na korzyść swoją. Lecz ani słowem, ani wejrzeniem nie zdradziła się biedna hrabina. Siedziała jakby upokorzona, znękana, wstydząc się podnieść wzroku i wydać z tą walką wewnętrzną, która wrzała w jej sercu.

Ani tego dnia, ani następnych Godziemba wzywany nie był. Trzeciego ranka posłano po niego dla napisania listu jakiegoś do księżny Lubomirskiej. Dumont miała polecenie siedzieć i być przytomną. Hrabina była panią siebie. Godziemba starał się nie okazywać wzruszenia, dawne stosunki powróciły z tą róż-

żnicą, iż Francuzka obowiązana była nie odchodzić ani na chwilę.

— Zobaczymy, na czym się litość skończy—rzekła cicho — zobaczymy.

VIII.

Przebywszy szczęśliwie łańcuch gór, dzielący Ruś od Węgier, hrabia Brühl ze skromnym swoim orszakiem zbliżał się pięknego wieczoru wiosennego ku Preszowowi.

Właśnie starosta Zawidecki, wskazując zdala resztki murów i wieżę kościoła św. Mikołaja, oznajmował o szczęśliwym końcu podróży, a hrabia, miłośnik pięknej natury, przyglądał się ciekawie widokowi, któremu jaskrawe promienie zachodzącego słońca dodawały wdzięku, złocąc szczyty starych kościołów i klasztorów i iskrząc się w wodach tarczy — gdy na równinie za miastem dostrzegli podróżni na dzielnych koniach coś jakby wojsk oddział, odprawujący ewolucye, dosyć fantastyczne... Zdala już uderzyli ci jeźdźcy hr. Brühla czemś niezwykajnem w swym ubiorze i przybraniu koni i w strojach, jakie ich okrywały. Brühl nawykły był w Polsce do najfantastyczniejszych częstokroć wystąpień rycerskich, jednakże ta węgierska mustra—bo węgierską ją być sądził — dziwną mu się wydawała. Żołnierz z powołania, niedawno jeszcze generał artylerji, hrabia był zaciekawiony, prosił więc Zawideckiego, aby mógł się przybliżyć niepostrzeżony i przypatrzeć nie-

co temu oddziałowi wojska, który na oko mógł głów do trzechset. być liczny.

Starosta Zawidecki towarzyszącym im dragonom, służbie i wozom nakazał nieco z tyłu pozostać, sam zaś z Brühlem puścił się osłonioną wierzbami i topolami drogą, która ukośnie ku placowi zmierzała, na którym się odbywały manewry.

Im bardziej się zbliżali ku niemu, ciekawość rosła, gdy się rozpatrzeć mogli lepiej w tem dziwnem wojsku węgierskiem. Sierakowski, który nieraz Węgrów widywał, głową jakoś pokręcał, a Brühl, co w siedmioletniej wojnie spotykał też oddziały honwedów, nie poznawał ich w tym świetnym orszaku jakichś rycerzy, chyba turnieje za Augustów przypominającym. Kilka starych drzew na uboczu stojących, których pnie obrastały gęste krzewy dzikie, dozwoliło Brühlowi, podjeżdżawszy do miejsca, w którym stała — jak się zdało — komenda, lepiej się jej teraz przypatrzeć. Była to chwila wypoczynku po manewrach; dowodzący i żołnierze stali, gwarząc i śmiejąc się, bez ścisłego szyku.

Na pierwszy rzut oka ucieszył się hrabia, poznając zdaleka księcia Karola, na pysznym wschodnim ogierze, w kulbace zlocistej obitej aksamitem ponsonowym, w rzędzie świecącym złotem i kamieniami, w białym kontuszu z potrzebami złotemi, w kołpaku z kitą brylantową, dokazującego z koniem i wesolo baraszkującego.

Sam koń wart był już bliższego przypatrzenia się, nie tylko dla piękności swej i krwi, ale raczej dla osobliwej barwy, zdającej się malowaniem jakimś nie odmianną naturalną. Ogier był tak zwanej sobolowej sierści — połowa głowy jednak była koloru pomarańczowe-

go, jedno ucho także i na piersiach cztery płatki, jakby liście czerwone z obwódką różową. Takie same płamy widać było na krzyżach. Nogi wszystkie białe miał po kolana, dużemi centkami pomarańczowemi upstrzone, kopyta czarne.

Ten osobliwy tarant, jak dziecko ujeżdżony, ale dzielny, zwijał się pod księciem Karolem zręcznie, aż miło patrzeć było.

Obok, na małym koniku bułanym, drobnych rozmiarów, ale piękności osobliwej, z nóżkami suchemi jak u sarenki, siedział chłopak może dziesięcioletni po huzarsku, w zielonym mundurku z dolmanem, w czapce z kitą, cały srebrem błyszczący. Fraszka było patrzeć na silnego księcia Karola, że koniem i sobą dzielnie władał, — bo go małe chłopię zamaszystością, śmiałością, rycerską postawą i śliczną twarzą gasiło. Z dobytą szabelką chłopak dokazywał, jakby naumyślnie się popisując zręcznością i odwagą. Mały konik i on rozumieli się doskonale i charaktery ich były zupełnie zgodne. Obaj nie mogli spokojnie w miejscu wytrwać, a księżę Karol, patrząc na tego ładnego dzieciaka, uśmiechał się uradowany.

Dalej nieco, na opasłym wierzchowcu czarnej maści, w którym szlachetną krew poznać było łatwo, bo miał łebek śliczny, grzywę długą, nogi jak struny i suknię połyskującą jak aksamit, widać było w dziwnym mundurze i szlifach generalskich, w kapeluszu z piórami, kobietę starą, lat pięćdziesiąt kilka mieć mogącą, rysów twarzy nie pięknych, lecz wyrazistych. Zdawała się, patrząc na hufiec stojący przed sobą, pyszczyć nim. Jedną ręką trzymała się w bok, drugą zlekka ścigała cugle karego swojego Mustafy.

Jakby adjutanci, obok niej stały na czterech różnorodnych koniach wschodnich cztery panie młode, nie piękne, ale oblicza arystokratycznego, postrojone z wojskowa, ze szlifami, akselbantami, w piórach, w galonach, w mundurach niebieskich, karmazynowych, zielonych. Młodsze i starsze pań tych twarzyczki dozwalały odgadnąć w nich siostry.

Komenderujący też oddziałem, który stał twarzą zwrócony ku starszej pani, był młodą panienką z zarumienionem licem i fantazją nieczmierną. Wszystkie one szablami tak władały i salutowały zręcznie, jakby nigdy w życiu igły w rękę nie trzymały.

Trzech panów w generalskich mundurach, pięknych, dorodnych mężczyzn, stało, jakby oczekując rozkazów, za czterema paniami, które z nimi właśnie uśmiechając się rozmawiały.

Dalej nieco cały regiment, gdy mu się uważniej Brühl przypatrzył, okazał się z samych kobiet złożony. Ale tak one wszystkie dzielnie i swobodnie na koniach siedziały, tak szabel dobywały rażno na pokaz i do pistoletów się brały, aby okazać gotowość do boju, choć niby żartem, iż mimowoli przypominały się Amazonki.

W istocie też był to pułk amazonek J. O. księżny Kunegundy Radziwillowej, matki księcia Karola, o którym Brühl słyszał opowiadania, w istnienie jego wierzyć nie chcąc. Teraz miał go przed oczyma w całej jego świetności, a dziewczęta, co składały tę falangę, wśród których były i prześliczne wyrostki i dojrzałe pannice, i opalone jejmoście i nawpół dziecinne główki — śmiały się uradowane z pochwał, poprawiały so-

bie kółpaczki, brały się w boki, prostowały, pyszniły aż miło.

Na uboczu nieco stojące Madziary kręciły wasy, chwytaly za szable, mrugały twarzami, i gdyby nie poszanowanie dla dostojnego wygnańca, gościa cesarzowej, niejedyn młokos sam jeden-by był gotów porwać się na pulk cały. Brühl stał i oczom swym nie wierzył prawie. Było to coś przypominającego hecę i komedię... a mimo to i księżę Karol, i stara księżna, i wszyscy przytomni widocznie brali to bardzo seryo i nie pozwalali żartować z tej instytucji nowej... i wielce osobiłwej... z wojska niewieściego.

Węgrowi się to jednak — salvo respectu księcia — wydawało bardzo ... osobiłwem. Starosta Zawidecki, który, często jeżdżąc po wino do Preszowa i na Węgry, języka trochę mądziarskiego rozumiał, słyszał, jak poza krzakami Węgrzy sobie mówili:

— Co za dziw, że księżę musiał uchościć, jeśli całe wojsko miał z takich buziaków złożone! Szkoda-by go zaprawdę było na nieprzyjaciela... takie to urodne, wesołe, a dalipan... na coby innego się przydało...

Z szeregów do widzów, z okolicy Preszowa tu zgromadzonych, padały strzały czarnych oczu zabójcze; Węgrzy też odpowiadali wejrzeniami, jak zagwie zapalonymi.

— Bassa terem tete! Bassa mazana! — cedzono przez zęby.

Obok widać było uboższych Słowaków w kapeluszach z piórkami i obcisłych spodenkach, z płaszczykami na plecach, z westchnieniem poglądających też na amazonki... takie żwawe, śliczne — a niedostępne...

Starosta Zawidecki, który więcej przytomnych znalazł,

niż Brühl, wskazał mu w osobce dziesięcioletniego bardzo ładnego chłopaka księcia Karola brata, Hieronimka, a w kobietach — komenderującą oddziałem księżniczkę Nimfę, przezwana Zofia, w innych niedawno, mimo woli rodziny zaślubioną generałowi Mokronowskiemu Teofilę, hr. Michałową Czapską i Karolową Brzostowską, których mężowie tuż przy nich stali.

Właśnie się Brühl przypatrywał temu zaprawdę osobiłwemu widowisku, ironicznie trochę uśmiechając, gdy stojąca z boku muzyka wojskowa, trębacze ze srebrnymi narzędziami muzycznymi i srebrnymi kotły, tympaniści, hucznie rozpoczęli grać marsza do odwrotu.

Wnet dowodząca oddziałem księżniczka stanęła na czele jego, dziewczęta się ściśnęły w szeregi, księżna Kunegunda wyprostowała, księżę Karol z Hieronimem u jej boku, i pulk ten, któremu równego w Europie nie było, rażno główki do góry uniósłszy, stępą pomaszzerowały ku miastu.

Podróżni pozostali niepostrzeżeni i, zatrzymawszy się nieco, aby dać za sobą furcom i dragonom nadażyć, zwolna w pewnej odległości posuwać się też zaczęli ku miastu. Słońce tymczasem zapadało już za wzgórze, lud, który się był wysypał z miasta, gwarząc wracał za wojskiem księcia Radziwilla, i cała ta parada, jak czarodziejskie jakieś widowisko teatralne, rozplynęła się w dźwiękach muzyki, dochodzącej z daleka.

Nadjechali też furgony, nadeszli ludzie. Starosta Zawidecki opatrzył ich i ustawił, ażeby mu wstydu nie zrobili. Obok żołnierza radziwillowskiego, którego widział, że liczny był oddział w Preszowie, i Brühlowski orszak zbliżył się do bram miasta, jeszcze starymi opasanego murami. W ulicach pełno było ludu nagro-

• madzonego, który dworowi i wojsku księcia Karola lubił się przypatrywać, a księżę też nie gardził tymi spektatorami... w braku innych. Dosyć jednak i szlachty węgierskiej szło na koniach za orszakami.

Słychać było wesołe śmiechy i ochocze: Eljen i odzywające się za księciem, który tak wyglądał butnie, zdrowo i wesoło, jakby wcale wygnańcem nie był, lub natychmiast miał z tego wygnania powrócić do domu.

Brühl nie chciał bardzo jawnie tu występować, za poradą więc ze starostą, który zwykł był do gospody pod Czarnego Orła zajeżdżać, pociągnęli tam, mając grać rolę ludzi, co po wino z Polski przybyli. W Preszowie bowiem handel niem prowadzono znaczny i na polskich kupców bardzo chętnie patrzano oczyma. Wieczorem późniejszym Sierakowski miał sam pójść do marszałka dworu księcia Karola, i z nim się umówić o audyencyę sekretną.

Tak się też stało. Brühl zajął się przebraniem, starosta Zawidecki poszedł i w pół godziny nazad powrócił, oznajmiając, iż księżę tegoż wieczoru zaprasza na kolacyę, w gronie familii, dla niepoznaki i sekretu, mając jej Brühla przedstawić, jako z Francyi przybywającego kawalera, z misyą dyplomatyczną...

Starosta Zawidecki nie mógł się o tem nagadać, jak po pańsku, a raczej po królewsku Radziwiłł się w Preszowie rozgościł, jaką tu już sobie w krótkim czasie miłość pozyskać potrafił, jak sypał pieniędzmi, co za ogromny dwór, ile na tysiące liczących się ludzi pociągnął tu z sobą. Węgrów ta rycerska rodzina, w której począwszy od starej matki do dziesięcioletniego chłopaka i dziewcząt wszystko konno jeździło i z pi-

stoletów strzelało, gdzie beczkami wino codziennie gościom stawiano, a płacono złotem, zachwycała.

Ciemno już było w ulicach, i gdzieniegdzie tylko przez drzwi otwarte pas światła padał na dosyć podziurawioną drogę, gdy starosta Zawidecki i hrabia wyszli osłonieni płaszczami ku rynkowi, gdzie stał pałac ogromny, z kilku bocznymi kamienicami zajmowany przez księcia Karola.

Tu paliły się dwie latarnie ogromne i zielone huczary u drzwi straż odprawiały. Niedaleko był odwach książe, z całą paradą i formą wojskom regularnym właściwą utrzymywany. Dwóch paziów, dworzanin i marszałek, figura wielce poważna, z głową podgoloną, przy szabli — oczekiwali na Brühla.

Sień pełna była pokojowców i paziów, postrojonych w barwę jedną, zręcznością i urodą się odznaczających... Marszałek poprzedał gościa, którego Sierakowski pożegnał w progu, obiecując nań oczekiwać w marszałkowskiej sali... dwóch paziów otwarło drzwi, i hrabia znalazł się w pokoju obitym makatami tureckimi, w którym księżę Karol, panowie Morawski, Czapski i Brzostowski nań oczekiwali.

W progu, uściskawszy go, księżę wojewoda zapytał:

— Jak się hrabia chcesz nazywać?

— Comte de la Grange — rzekł cicho Brühl.

Nazwisko pochwyciwszy, wojewoda zwrócił się do szwagrów swych:

— Mam honor, panie kochanku, prezentować przybywającego prosto z Paryża Comte de la Grange... który intra parenthesis, ponieważ w Polsce bywał, do-

brze nasz język rozumie i nieźle nim mówi. Kawaler godzien przyjaźni waszmościów...

Prezentacya ta fałszywa na nie się jednak u mężczyzn nie przydała, gdyż Brzostowski znał Brühla zdawna, i z uśmiechem porozumienia przyszedł go ściśnięciem ręki powitać.

Morawski i Czapski zmierzyl przybyłego ciekawemi oczyma... Brühl radby był z twarzy wygnańca odgadnąć myśli jego i plany, ale nigdy oblicze wojewody weselszem i jaśniejszem nie było, a humor do facecyi skłonniejszym. Zdawał się najszcześliwszym w świecie... Zaledwie siedli, gdy poczał:

— Wiesz acież, panie hrabio, że gdy mi przyszło, pro peccatis, odbywać rekolekcyę... ha, no... Panu Bogu dziękuję, że mi się to na Węgrzech dostało. To tak, jak w domu, naród sympatyczny, tylko tyle, że język ma jakiś paskudny i chropawy, wina dostatek, woly tłuste, niewiasty urodziwe, że sobie, patrząc na nie, panie kochanku, człek oczu nie popsuje... no, i nieźle nam tu jest, bo i cesarzowa jejmość wielce łaskawa... Zatem, panie hrabio, kochanku, jeśliby losy kazaly tu tęsknić do nalibockiej i bialskiej puszczy, do mojego Nieświeża i Olyki... polatawszy...

Wąsa pokręcił.

— Trochę się, panie kochanku, grosza wywiozło z domu, coś tam przyjaciele podsyca... reszta w łasec bożej.

— A szkoda — odezwał się Morawski — że hrabia de la Grango nie zdążył dziś na parady...

— He, byle był ciekaw, panie kochanku, księżna pani mu umyślnie taką drugą wystroi. Dziewczętom w to graj, gdy na nie patrzą...

— Ale ja miałem szczęście — odezwał się Brühl — być świadkiem pięknej mustry amazonek!

— Jakim sposobem? — podchwycił książę — toć, panie kochanku, chyba kontrabandą...

— Właśnie w tej porze przybyłem, i stałem za krzakami...

— Proszę! — ozwał się wesolo książę — gdyby się to było wydało, pani generałowa Morawska kazałaby była atak przypuścić do krzaków i dziewczęta-by acież wzięły w niewolę. A to, panie kochanku, pod ich praszczytą się dostać... Boże odpuść, gorzej Tatara!

Śmiać się wszyscy poczęli; książę wąsa kręcił. Wtem marszałek nadszedł, na wieczerzę prosząc, na sali damy czekały. Wziął więc wojewoda pod rękę gości i wiódł go na schody.

Sienie i korytarze wszędzie były jarzaczem, światłem oświecone, służba stała szeregiem. Na pierwszym piętrze, w sali trochę nagiej, ale na prędce przyozdobionej snadź dla księstwa, w zwiędle wieńce dębiny i kwiatów, przy ogromnym stole okrągłym, obwieszonym dywanem, księżna Kunegunda na wysokiem krześle z poręczami siedziała dryzlując. Wieńcem otaczała ją pięć córek i z dziesięć panienek szlacheckich jej dworu. Radziwiłłówny nie wszystkie były ładne, ale panienki z francymeru jedna w drugą śliczne i świeże, jak różyczki...

Gdy wojewoda wszedł, gościa swojego przedstawiając, księżna matka ledwie się nieco podniosła i głową skłoniła, panie i panny przywitały go dosyć chłodno... Książę Hieronim w swoim mundurze huzarskim paradował, ostrogami dzwoniąc po salonie.

Ponieważ wiek i dostojęństwo mniemanego hrabiego de la Grange nie kwalifikowały go do podania ręki dumnej Kunegundzie, poszły tedy damy same, a za niemi mężczyźni ku otwartym już drzwiom jadalni, w której wybór dworu oczekiwał przy stole. Paziowie za krzesłami dostojniejszych gości czynili służbę.

Księżna zajęła krzesło tronowe w końcu stołu. Brühlowi się dostało miejsce między generałową Morawską a księżniczką Nimfą. Z ciekawością poglądał na stół, przy którym miejsca zajęło osób przeszło trzydzieści, oprócz nierównie liczniejszego stołu marszałkowskiego.

Dostatek był wielki, srebra książęce, ale stół nie wykwintny. Tylko od świąt i dni uroczystych występowali kucharze Francuzi, na dni powszednie gotowano po polsku, do czego się w domu nawykło. Jednakże Brühl za Francuza uchodził, coś dla niego przystawek się znalazło... Generałowa Morawska, czując się w obowiązku zabawienia cudzoziemca, spytała go, czy wojskowo nie służył, bo ona pasyami lubiła rycerzy i dała tego dowód, zakochawszy się w mężu swoim... którego właśnie oczyma pilnowała, aby ku fraucymierowi nie poglądał. Sama bowiem radziwillowską mając butę i coś męskiego w twarzy, ruchach i obejściu, wcale wdziękiem się nie odznaczała. Hrabia de la Grange odpowiedział, że jako amator miał szczęście trochę prochu popsuć w siedmioletniej wojnie. Wszczęła się tedy rozmowa o wojskowości i t. p., do której i młodsze księżniczki się w mieszały.

Mówiono zresztą o różnych rzeczach, nie tykając spraw domowych, i wieczerza przeszła rychło, a zaraz po niej książę wprowadził Brühla do swojego gabinetu,

zapewne dawszy znać szwagrom, ażeby ich samych zostawili.

Brühl wszakże nie chciał dnia tego rozpoczynać rozmowy, któraby dłuższy czas zabrać musiała, i uprosił wojewodę, aby ją do jutra odłożyć.

— A, z miłą chęcią, panie kochanku — odparł wojewoda dzwoniąc. — Kąjemy tu butelczynę tokaju przynieść i, sącząc ten nektar po kropelce, pogawędzimy sobie de quibusdam aliis...

Na dźwięk dzwonka zjawił się dworzanin, pan Korejwa, oznajmiając zarazem, iż księżna Kunegunda do sali zaprasza, gdzie panny się trochę zabawić miały... aby im wieczerza do snu nie szkodziła...

Znalazło się tu ich więcej, niż przy wieczerzy, a pewnie i część onego regimentu, widzianego na placu, bo się doskonale i zręcznie związały, w gry towarzyskie zabawiając się i po trosze podtańcowując dla rozrywki dostojnych oczu... Kazano też na chórze w sali zagrać mniejszej kapeli, która rozmaite symfonie ówczesnie wykonywała. A że okna na ogród były otwarte i muzyka dosyć hucznie się rozlegała, zebrało się dosyć Węgrów i Słowaków pod palacem, których książę pospolitem winem miejscowem raczyć kazal.

Nie było tu najmniej czuć tego losu, jaki spotkał rodzinę książęcą, która zdawała się na jednym ze swych zamków wczasu używać, wcale się nie troszcząc o jutro.

Książę Karol śmiejąc się mówił o tem, jako mu się nie wiedło, że oto regiment kobiecy, po którym się w wojnach Rzeczypospolitej cudów spodziewał, szczególnież ze starych panien, wielce zajadłych w boju, musiał salwować za granicę, aby go sobie Massalscy

jure caduco nie przywłaszczyli, i tak samo morze, w Albie mające się zakładać, ad feliciora odłożyć przyszło...

— Miałem i innych bardzo pożytecznych inwencji wiele na warsztacie — dodał książę — lecz z niemi poczekam, aż ekonomczuka zdetronizujemy, stary ład zaprowadzimy i sami, panie kochanku, w domu gospodarować będziemy mogli.

Pańskie błota naówczas ryżem zasiejemy... panie kochanku... a na Podolu same tylko będą winnice...

IX.

Nazajutrz rano, ledwie Brühl się obudził, już od księcia był posłaniec zapraszający na śniadanie — i choć droga od Czarnego Orła do palacu nie była daleka, koń osiodłany pod sutym czaprakiem stał w pogotowiu i dwóch huzarów jako straż honorowa.

Starosta Zawidecki, który się obudził wcześniej, przyszedł oznajmić, że już książę wstał oddawna i wojska swe mustrował, a księżna stara z córkami, korzystając z pięknego poranku, na przejażdżkę konno wyruszyła.

Cały Preszów był naówczas Radziwiłłami, towarzysząc im we wszystkich obrotach i obficie zbierającą tę czułość i atencję dla nich owoc. Książę się tu urządził niemal jak w Nieświeżu, a że w Wiedniu wielce go konsyderowano, odbijało się to na węgierskiej komendzie i u władz miejscowych, które ulegały fantazyom suto opłacanym...

Gdy hrabia ubrany siadł na koń, aby się udać do palacu, przez miasto ciągnęły właśnie z mustry oddziały radziwiłłowskich wojsk nadwornych, przepysownie poubrane i błyszczące od haftów i złota. Tłumy gawiedzi ciągnęły za nimi. Przed palacem na ganku grała w całym komplecie muzyka, która wieczorami, rankami w kościele na nabożeństwach rozweselała mieszkańców. Liczny dwór pański kręcił się około palacu.

Książę sam oczekiwał na Brühla, w rannym ubiorze letnim, i przyjął go na progu.

— Zakazałem kogokolwiek przyjmować, panie hrabio, panie kochanku — rzekł — rozmówimy się tedy na cztery oczy.

Siadł Brühl, podano kawę i śniadanie.

— No, co mi hrabia przywozisz? — zapytał wojewoda — słucham...

— Ja raczej przybyłem dowiedzieć się, czy W. Ks. Mość nie masz jakich tu nadziei, czy dwór austriacki albo Francya nie zechcą nam przyjść z pomocą? Wojewoda kijowski z energicznego postępu księcia wnosi, że musi on mieć jakąś rachubę za podstawę.

— Hm! — mruknął Radziwiłł — a już ciż... panie kochanku, ale ja nie wiem, czy wy mnie zrozumiecie.

Brühl spojrzał, milcząc.

— A tak jest, jak Pana Boga kocham! — kończył książę — bo ja mam swoją politykę, która, choć mądra, wyda się wam głupią, panie kochanku. Ja tak myślę: Panu Bogu ufaj i — na odlew siecz... To całuteńka polityka moja... Jeśli kto z was pochlebia sobie, że interesa prowadzi, panie kochanku, myli się; Pan Bóg trzyma lejce w ręku i bierzysko, a my wszyscy w chomątach chodzimy... Zatem i przytem, panie kochanku, dał

nam szablę do pasa i rzekł: — mnie ufaj, a nią wal... i nie żałuj!

— Więc, słuchaj mnie, hrabio, tylko uważnie — kończył Radziwiłł, marszcząc czoło i zdając się mierznie zbierać myśli — idź za mną... Usunąłem się tu pod opiekę Najjaśniejszej Monarchini i będę czekał... Jak tylko pora się dobra nadarzy... my we dwóch z panem wojewodą wkroczymy z ludem naszym i wszystko to talałajstwo, panie kochanku, rozpedzimy.

— Lecz — odparł Brühl po chwili — wcale się na to nie zanosi, aby okoliczności nam sprzyjały. Bez pacyfikacyi wszystko samo przez się dąży do zgody i przejednania dla świętego spokoju... Co chwila ktoś submituje się w Warszawie... uznają elekta wszyscy... Wybór padł jednomyślnie, Branicki do Białegostoku upokorzony powraca... Mokronowski jest za poddaniem się.

Książę aż się porwał z krzesła.

— To niechże mu, z pozwoleniem, łapy liżą, kiedy im to do smaku, panie kochanku — zawołał — a my czekajmy. Bóg, jak powiadają, cierpliwy bo wiekuisty, my z Nim trzymajmy, i cierpliwości tej zażyć musimy...

— Ale jakież widoki? — zapytał Brühl.

— Widoki? panie kochanku! w miłosierdziu bożem i w ostrzu szabli... W szablę i Pana Boga wierzę, a co dalej, to nie moja rzecz.

Brühl popatrzał wielkimi oczyma, książę się napuszył... i z pewnością siebie niezmierną powtórzył:

— Spes unica Deus!

Westchnął i siadł ciężko, podpierając się na stole.

— Nie może to być, aby pan stolnik miał się u-

trzymać — dodał — nie może być. Bywali na tronie Piastowie, ale to, panie kochanku, Leszczyńscy, Sobiescy, Wiśniowieccy... a nie... sroce z pod ogona wypady jakiś tam... Szlachta się zawstydzi... A toby, mój panie, gorzej było od Polanowskiego, bo Polanowscy przynajmniej cztery, pięć pokoleń szlacheckich wykazać mogli.

Nagle przerwał wojewoda i, kładąc rękę na ramieniu Brühla, rzekł cicho:

— Niech tylko pan wojewoda kijowski wojsk swoich nadwornych nie rozpuszcza, aby je miał na zawołanie... przyjdzie chwila, gdy w szablę zagramy... Mojego całego regimentu nie mogłem tu przekarmić, poszedł nazad do kraju, ale ordynanse są i na każde skinienie gotowi, czekają. Gdy im, panie kochanku, z Preszowa przyjdzie apel... nie zabraknie jednego...

Smutne te ogólności jakież nie mogły Brühla zaspokoić, nie wiedział już co sądzić, czy że książę zwierzyć mu się nie chciał, czy istotnie sam przyszłość zdawał na niepewne jakieś losy...

Kombinując jednak wszystko, gdy rozpatrzymy się w tem, jak książę w Preszowie na dobre się rozgospodarował, osiadł, budował... musiał w końcu przypuszczać, że był w dobrej wierze

— Wybrali go — odezwał się książę po chwili — dobrze... ja się śmieję, ukoronują... dobrze, uśmiecham się, niech spróbuje panować, panie kochanku. Tu dopiero będzie sek... i o ten szkopuł on się rozbije... Familia będzie w jedną stronę ciągnąć, on w drugą, my w trzecią... znajdzie się, kto w czwartą pociągnie, i cała machina pęknie. Naówczas my z naszymi pułkami,

przy pomocy bożej, wciągniemy i tę Sodomę i Gomorę w popiół obrócimy. Amen...

Wojewoda to mówił z takim przekonaniem, jakby już na przyszłość patrzył.

— Tandem — rzekł wstając — choćbyśmy tu cały boży dzień siedzieli, i ty mnie, kochany hrabio, muchy z nosa ciągnął, nie dowiesz się, panie kochanku, ode mnie więcej na to, co sam wiem, że w Opatrzność wierzę i szablę z pałk nie puszczam. Tak mi Panie pomóż, więcej nie wiem, i w żadną inną, daleką politykę się nie wdaję... A, żebyś się nie nudził, wiesz co? chodźmy do stajni. Pokażę ci konie moje. Możemy sobie wybrać parę i trochę się przejechać, dopóki gorąco nie przyjdzie... Wczoraj pewnie widziałeś mojego sobola: osobliwe stworzenie, na które ceny niema, bo to jest raritąs niewidziana!.. ale warto, abyś mu się zbliżka przypatrzył. Drugi raz w życiu takiego konia oczy twe, panie kochanku, oglądać nie będą.

Jakkolwiek Brühl radby był w istocie więcej coś dobyć z księcia, aby z czemś rzeczywistym powrócić do teścia — łatwo postrzegł, iż z Radziwiłła więcej języka nie dostanie...

Zdaje się, że stajnie już gotowe były do przeglądu, bo gdy w dziedziniec weszli, u drzwi szop stały strażę, berejterowie, czeladź poubierane już od święta, każdy w miejscu, i koniuszy, a oprócz niego Fryczyński młody i Kuszelewski, pokłon oddawszy księciu, poszli za nimi. Stajnie ogromne najmniej czterysta do pięciuset koni mogły w sobie mieścić. Porządek w nich był wielki, dozór pilny, gdziekolwiek zbytek nawet, ale żaden koń tak wypieszczony nie był, jak ów soból, którego książe nadzwyczaj cenił wysoko.

Klatka, w której on stał oddzielnie nie przywiązany, ozdobna była, obszerna i wygodna; żłób miał marmurowy, wodę świeżą przepływającą w drugim, podściół świeży i delikatny, a dzień i noc na straży stał Turczynek, który go tylko pilnował. Gdy soból zdała poznał księcia, głowę ponad zagrodę wyciągnawszy, zarżał, a tuż na głos jego poczęło się po całych stajniach rżenie okrutne jakby na apel. Wojewoda dobył cukru z kieszeni i, zbliżywszy się, dał mu go z ręki. Pieszczony zwierzę natychmiast chwycić go poczęło, a książe głaskał je po chrapach.

Przywitawszy faworyta, szli potem z kolei do wierzchowców księżniczek, do karego Mustafy, faworyta księżny matki, który jej jednej głaskać się i pieścić dawał, potem do rozmaitych osobliwych koni, o których wojewoda opowiadał powieści ciekawe, znając każdego rodowód, charakter, cenę i przymioty... W istocie stajnie były królewskie i utrzymywane z przepychem wielkim... Fryczyński i Kuszelewski księciu pomagali w opowiadaniach, niektórych imion i genealogię wyliczając, gdy się wojewoda zaciął.

Tak idąc przez ogromne szopy, dotarli nareszcie do masztarni, która równie jak konie widzenia warta była. Salwowano z Nieświeża co najdroższego i najpiękniejszego się tam znajdowało. Począwszy od końca XVI wieku, kulbaki srebrną i złotą blachą obijane, ak amitamami obciążone, rzędy sadzone drogimi kamieniami, dywdyki złotem szyte, pióropusze i trzęsidlą do lbów koniom na parady przypasywane... siedzenia różne, siodła, terlice, dywany... wszystko w wielkim porządku było ułożone i masztarnię do skarbcza czyniło podobną. Brühl, który się niemal wspaniałości po-

dobnych po Augustcie II w Dreźnie napatrzył, podziwiać jednak musiał niezmiernie bogactwa wojewody. Do wielu też i z tych zabytków przywiązane były legendy bojowe, historye dworskie i trafne anegdoty z dawnych czasów, a niektóre z nich, jak o tureckiem siodle przez środek przeciętem i okrwawionem, trochę wyglądały bajecznie.

Tureckie owo, ze srebrnemi złoconemi szerokimi strzemionami, zdobyte być miało na baszy silistryjskim przez jednego z Radziwiłłów, który, westchnawszy do Matki Boskiej, jak Turka płatał w głowę, tak go gładziuteńko na dwie połowy przeciął... i jedna z nich na prawo, druga na lewo od konia padła... Ów basza, że renegatem miał być i w chwili niebezpieczeństwa krzyknął, o pomoc do Niebios wołając, owe dwie połowy natychmiast się do siebie zbliżyły i zrosły tak, że nawrócony basza silistryjski, który życie w klasztorze na pokucie skończył, miał tylko czerwoną kresę przez twarz i ciało na pamiątkę.

Książę opowiadał o tym cudzie z dobrą zupełną wiarą i jako pamiątkę siodło owo zatrzymali Radziwiłłowie, które jeszcze tę własność miało, że w rocznicę owego wypadku, o godzinie, w której basza został przecięty, krwią jakby świeżą ukazywało się pomazane, ale ta natychmiast potem osychała...

Gdy książę to opowiadał, siodło pokazując, Fryczyński i Kuszelewski, oraz koniuszy słowa jego milczeniem poważnem potwierdzali.

Takich i tym podobnych anegdot się nasłuchawszy, Brühl wyszedł ze stajni dosyć znużony, a że godzina obiadowa się zbliżała, książę na pokoje zaprosił, gdzie już panie czekały. Ktoś jednak musiał z sekretu

wydać owego mniemanego hrabiego de la Grange, bo go już teraz daleko uprzejmiej i z większymi przyjmowano honorami.

Okolo księżny matki etykieta była wielka, poszanowanie nadzwyczajne, oznaki czci odpowiednie wysokiemu jej urodzeniu. Jak na pokojach królewskich, stawili się goście w strojach paradnych i meldowanie ich, przyjęcie, podlegało formom stałe oznaczonym. Krzesła i taborety służyły wedle godności paniom i panom, a jedna tylko księżna matka i książę Karol siedzieli w poręczach.

Do stołu towarzyszyła muzyka, paziowie, dwór i obiad dnia tego był wielce wykwintny, a zastawa przepyszna. Poczem nastąpił koncert, a na wieczór balet i reprezentacya teatralna była zapowiedziana, w której panny frauceymeru, paziowie i dworzanie udział brać mieli. Brühl wszakże z rannej rozmowy zmiarkowawszy, że z tej podróży nie dla wojewody pocieszającego nie przywiezie, zabierał się pożegnać księcia zaraz po obiedzie, nie bawiąc dłużej. Miał powody śpieszyć z powrotem do Warszawy, o własny byt i przyszłość będąc niespokojny, tu zaś, nad mile a dosyć nużące spędzenie czasu wśród parad i zabaw, nie już nie miał do czynienia.

Wychodząc więc z sali jadalnej, gdy muzyka się zabierała do koncertu, raz jeszcze szepnął księciu, iż rozkazów jego czeka, co ma wojewodzie oznajmić i nie mieszkając chce się z powrotem zabrać do Krystynopola. Szło mu i o to, ażeby bytność jego zbyt wielkiego nie nabrała rozgłosu.

Zrazu książę, na samą myśl odjazdu tak śpiesznego, zżymnął się mocno, ale dał się przekonać, iż Po-

tocki też czekać nie lubi — a Brühl tu swej woli nie ma, tylko się do teścia zastosować jest obowiązany.

Raz więc jeszcze weszli do gabinetu, choć książę panie kochanku widocznie zafrasowany był, że mu znów przyjdzie tłómaczyć się z polityki, którą całą w dwóch wyrazach zamykał. Znać po nim było, gdy o poważniejszą chodziło sprawę, iż myślenia głębszego się wystrzega i nie lubi, że ono go męczyło.

Gdy więc Brühl znowu o rozkazy spytał i o to, co ma wojwodzie kijowskiemu przynieść, książę mu odpowiedział:

— Co ja, panie kochanku, wam, mości hrabio, mogę powiedzieć? Ja nie jestem do alembikowania planów politycznych stworzony, simplex servus Dei, wiarę mam mocną, głowę twardą, szablę ostrą — i po wszystkim... więcej nie wiem nic....

I rękami strzepnął.

— Idę prosto, panie kochanku, przed siebie—przed siebie, ani w prawo, ani w lewo, to radziwiłowska maksyma... I tyle...

Brühl już zmiłczał. Wtem Radziwiłł, który i na wygnaniu księciem udzielnym być pragnął i po pańsku się znajdować, wąsa pokręciwszy, przystąpił do hrabiego.

— Koniecznie jeźdźć dziś chcecie? — spytał.

— Muszę, bom dał słowo, że chwili nie stracę, — rzekł hrabia.

— Musisz, to usta zamyka — odpowiedział Radziwiłł — ale konie masz pomęczzone, te nieboraki w drodze ci się ściągną... bo to po górach i wertepach, panie kochanku... Pozwól-że przynajmniej, abym ci, na wypadek okulażenia czy znużenia wierzchowca, luź-

nego ofiarował na zamianę. I powiem ci szczerze, kochany hrabio, przyjmując go, łaskę mi zrobisz, bo tu na Węgrzech owies coraz droższy, a z końmi nie mam co robić. Proszę cię.

— Ale, mój książę.

— To nie nie pomoże, koń stoi już u waszego żłobu. Niema wymówki.

Zmieszał się Brühl, nie było jednak sposobu utwożnić się od podarku. Wtem, że się odjazd zbliżał, podano kielichy, nadeszli pp. Morawski, Czapski i Brzostowski, rozmowa się wszczęła ogólna, wesola, śmieszki i humor, jakby za dobrych czasów w Nieświeżu. Opowiadano o odwiedzinach u węgierskich magnatów i przyjęciach na starych zamkach, o różnych figlach księcia jegomości, aż Brühl wreszcie, wychyliwszy kielich za pomyślność, powodzenie i rychły powrót w tryumfie całej rodziny do domu, zmordowany, przeprowadzany w ganek, znalazłszy tu starostę Zawideckiego, wymknął się z nim pod Orła czarnego.

W drodze już Sierakowski oznajmił o danym mu koniu, ogierze tureckim złotej maści, bardzo pięknym, a co gorsza, z całym paradnym siedzeniem, które od konia dwa razy było więcej warte.

Ten książęcy dar w najgorszy humor wprowadził Brühla, lecz musiał go przyjąć, aby na nowy kłopot nie być narażonym. Pod czarnym Orłem wszystko już było gotowe, konie nawet stały wyprowadzone w ulicy; dosiadłszy ich więc, puścili się zaraz w drogę.

Zaledwie jednak za bramę miejską zdążyli, gdy okrutny tętent koni dał się słyszeć za nimi, i w chmurze pyłu książę Karol, mały Hieronim, pięć pań młodszych, trzech zięciowie nadbiegli, obstępując i biorąc

Brühla — w niewolę. Generalowa Morawska dowodziła tym oddziałem z taką furją, iż hrabiemu nad głową z pistoletu wypaliła. Śmiechu i hałasu było wiele. Hrabia już się do księcia chciał odwoływać, świadcząc nim, iż wcale nieprzyjacielskich nie miał zamiarów, i do niewoli brany być nie powinien — gdy panie kochanku mrugnął nań, że tu idzie tylko o podwieczorek w stojącym nieopodal szalasio. Cała więc kawalkata skierowała się ku pobliskiemu laskowi, gdzie znaleźli już księżną matkę i pół jej fraucymeru. Dziewczęta, poprzebierane za pasterki, z wieńcami w rękach, powitały ich śpiewami i tańcami, co piękny wcale obraz składało. Zastawione suto stoły, do których kilku Węgrów w gościnę przybyłych było zaproszonych, przybrane też w kwiaty, kryształ i srebra, nęciły ku sobie.

Brühla, jako wziętego w niewolę zbiega, przyprowadzono do księżny Kunegundy, którą go posadziła przy sobie. Zaczęły obiegać kielichy, muzyka grała, dziewczęta skakały, a mężczyźni do celu strzelać zaczęli.

Zaledwie parę strzałów pistoletowych się rozległo, gdy wszystkie księżniczki rzuciły się także dawać dowody zręczności. Ustawiono tarczę i pukanina na dobre się zawzięła. Z kolei więc próbowali wszyscy — gdy pani Morawska zapytała hr. de la Grange, czyliby i on, jako dawny żołnierz, nie chciał im pokazać, jak we Francyi strzelają?

— Z największą ochotą — odpowiedział Brühl, wstając i idąc ku mecie z trochę figlarną miną — ale my, Francuzi, nawykliśmy do trochę innego celu...

Trudność potem pewna urosła, gdyż hrabia pistoletów żądał, którychby mógł być pewien, potem sam

je chciał nabijać, tak, że generalowa szeptała do ucha mężowi, iż zlej tanecznicy i fartuszek zawadza.

Milczenie się stało wielkie, gdy po tyłu przybo-rach Brühl stanął i ze czterech pistoletów, które z ol-strów swych dobył, dał cztery strzały, sadząc kule je-dną za drugą.

Ci, którzy się żartować zbierali, okrzyknęli go kró-lem kurkowym. Był to nowy powód do wiwatów i okrzy-ków i do odkładania podróży, tak, iż wieczór już do-syć był późny, gdy, uroczyście pożegnawszy uprzej-myh gospodarzy, hrabia nareszcie na siodło skoczył, i, przeprowadzany okrzykami nowyni i wystrzały, w dal-szą mógł wyruszyć drogę.

Jakie uwagi przyszły mu potem, gdy wesole opu-ścił towarzystwo, odgadnąć było trudno, lecz zwieszona głowa i smutny wyraz twarzy świadczyły o wielkiem znużeniu.

Gdy wreszcie stanął poseł z powrotem u bramy krystynopolskiego pałacu i, natychmiast oznajmiony wo-jewodzie, wszedł do niego, już odzyskał był zwykły swój humor wesół i spokój ducha.

Potocki pośpieszył go uściskać, z nadzwyczajną cie-kawością i upragnieniem żądając wiadomości. Nade-szła też wojewodzina, która nie znosiła, aby przed nią z czegokolwiek czyniono tajemnice — a rozpoczęło się badanie. Brühl zrazu wymijał prawdę, którą nie chciał wojewody zasmucić, spodziewającego się usłyszeć coś pocieszającego.

Słuchano go zrazu cierpliwie, wreszcie opisy dworu, wojska, wspaniałości zabaw znużyły.

— Ale ostatecznie — co mi przywozisz? jaką mi daje nadzieję i jaką ma?...

Brühl się uśmiechnął.

— Z księciem wojewodą — rzekł — trzeba tak mówić, jak on nawykł. Na żadne pytanie nie otrzymałem innej nad tę odpowiedzi, że ufa Bogu i szabli, że nadziei tracić nie należy, że Opatrzność zaradzi. Niech wojewoda stoi w pogotowiu, miejmy cierpliwość.

— Jakto? znikąd pomocy? żadnych widoków? — zapytał Potocki.

— Żadnych, oprócz tych, o których mówiłem — dodał Brühl — dusza rycerska, wspaniałość pańska, ale polityka, którąbym nazwał... kapucyńską.

Potocki ruszył ramionami.

— I Kapucyni na mądrzejszą się zdobędą — rzekł ponuro. — Zdala patrząc, możnaby go posądzić, że coś knowa i na pewnej osnowywa podstawie.

— A zbliżka — zakończył Brühl — przekonać się można, iż na drugich czekając, rachując, jasno przed sobą nie widzi ani dokąd ma iść, ani jak go to daleko zaprowadzi.

Ponuro spojrzeli na siebie wojewodzina i mąż jej, smutek się odmalował na twarzach.

— Poddać się więc do czasu potrzeba — rzekł Potocki z oburzeniem — siedzieć, milczeć, gryźć wędzidło, cierpieć i Bogu ofiarować upokorzenie.

Posyłałem do Branickiego, który o niczem już wiedzieć nie chce, a w Warszawie nam za warunek stawia, abyśmy głowy i karki ugięli, a deprekację uczynili przed nowym panem.

Westchnął stary.

— Fiat voluntas tua! — szepnął cicho.

Cały tak wieczór zszedł na próżnych i późnych

lamentach; stało na tem, że się Potoccy mieli dla przyszłości zachować.

— Nie ma on polityki — rzekł wojewoda — my ją za niego i za siebie mieć musimy.

Nazajutrz Brühl, rozgrzeszony z góry, jeśli się chciał pojednać, nazad do Warszawy odjechał.

X.

Po długim niepokoju, rozerwaniu, nużącej anarchii i wycieńczeniu, nigdy może świetniej, z większymi nadziejami nie rozpoczęło się panowanie nowe, jak po wstąpieniu na tron Stanisława Augusta.

Życie zdawało się inne, odrodzone wstępować w całe społeczeństwo. Nieprzejednane żywioły składały oręż i garnęły się do jednej gromady. Budziło się wszystko, dawny nieład nareszcie uznany tem, czem był, zapierał się roli, jaką mu przypisywano, wszyscy widzieli potrzebę reform i pragnęli, zdawali się gotowi dla nich coś ze zbyt licznych praw i przywilejów poświęcić. Opozycja, która poprzedziła elekcję, nikła, tonąc w tym prądzie silnym ku jakiemuś życiu nowemu.

Od maja do września, gdy koronacja uwieńczyła dzieło wyboru, do grudnia i sejmu Familia owładła rzecząpospolitą i jednała sobie sympatyje powszechne. Panowanie, które z początku zdawało się groźnem i burzami brzemieniem, wschodziło z niebem pogodnem i słońcem ożywczem. Umysły się uspokajały i jednały. We wszystkich kierunkach praca na wyścigi, dźwiganie się z upadku, odciągały od opozycji daremnej, któraby siły tylko pochłaniać mogła.

Lecz jakże często jasna jutrzienka na niebie jest zwiastunką dni burzliwych!

Brühl, powróciwszy ze swej wycieczki do Warszawy, dosyć zakłopotany tem, iż w Krystynopolu będąc, nowiny z Drezna musiał przywieźć, o które go dopytywano — pozostał jak był na uboczu, postanowiwszy wyrzec się czynnego w życiu publicznem udziału. Nie było to dlań ofiarą, gdyż życie miał czem zająć, a ambicya nie trawiła go wcale. Z rezygnacją więc spoglądał na to, co go otaczało — widział dosyć obojętne i chłodne. Życie płynęło dla niego powoli, gdy dla innych błyskawicą leciało. Przynoszono mu wieści z tego świata, do którego wciskać się nie życzył wcale, ani chciał od niego uciekać. Któż wie, byłby może, tracąc dawne swe położenie w Rzeczypospolitej, przypomniawszy sobie swe obywatelstwo saskie i stosunki ojcowskie, gdyby z jednej strony nie wiązało go tu ożenienie z Potocką, z drugiej serdeczny stosunek, na owe czasy dziwny i niemal śmieszny, z kobietą, dla której ciche, stałe, zachował przywiązanie.

Znikała mu ona z oczu, czasem na długo, a uczucie dla niej nie słabło. Oboje wiedzieli, że los ich dwoma nieprzełamanymi dzielił zaporami — że się od niego nie spodziewać nie mogli, a jednak nie osłabiło to tej miłości, o której ludzie mówili wiele w początku, a potem zapomnieli, bo w nią wierzyć przestali.

Po powrocie hrabiego Brühla, było postanowieniem Godziemby usłuchać rozkazu hrabiny i uwolnić się od służby u dworu Brühla. Francuzka wszakże oznajmiła mu po cichu, że nie koniecznie ma się trzymać rozkazu co do litery, że może na jakiś czas pojechać w Pińskie do swoich starych i potem powrócić.

Czy to czyniła z rozkazu pani, czy z własnego domysłu, nie mówiła jasno, zapewniając tylko, iż to złych za sobą nie pociągnie skutków. Na ten raz wielce była umiarkowaną i powściągliwą, uśmiechała się; chrząkała, żegnała i przypominała, ażeby Godziemba nie bawił znowu zbyt długo.

Pan sekretarz uznał za właściwe przyjść z oznajmieniem wyjazdu i pożegnaniem. Hrabina, zarumieniona mocno, przyjęła go milcząco, lecz gdy się już ku drzwiom oddalił, zaledwie dosłyszczanym szepnęła głosem, aby zbyt długo nie bawiąc powracał.

Wyjechawszy więc, Godziemba nie dał się zatrzymać staruszkom, nie pozwolił się im wyswatać — i przyjechał do Warszawy z bijącym sercem, nie wiedząc co go czeka.

Powitanie było zimne, dawne stosunki ceremonialne, milczące, wróciły bez najmniejszej zmiany. Pragnąc je utrzymać, Godziemba milczał.

Mówiliśmy już o starej mamce, którą jak matkę szanując, utrzymywał w Warszawie, odwiedzając ją niemal codziennie. Sawaniha, prosta wieśniaczka, złamana już wiekiem, dawną pracą i cierpieniami, zachowała, pomimo wieku, unysł żywy i bystre pojęcie. Wielu rzeczy, z których się jej Godziemba nie spowiadał nigdy, umiała się domyślić i odgadnąć jej. Nie wdawała się jednak w kierowanie tym, którego zwała synem. Czasem rzuciła słowo jakie, jakby na wiatr, wiedząc, że ono w nim utkwie. Nawykła go widywać, czytała z jego twarzy każde uczucie, radość, niepokój, smutek.

Tak samo jak inne tajemnice, Sawaniha i miłość skrytą dla hrabiny oddawna w nim wyczytała,

lecz strzegła się nawet mu dać poznać, że o niej wiedziała... Słuchała tylko cierpliwie, gdy o tej pani mówił, i z uwielbieniem się o niej odzywał. Gdy stary Godziembowie poczęli mu córkę swatać, a po jej zgonie na niego swą miłość przelali i obdarzyli go majętnością, Sawaniha nie odezwiała się nigdy z radą, ale — ot tak — po wiejsku — czasem malowała życie na wsi spokojne, gdzie sobie każdy panem, i utyskiwała na to, że się Fadejkowi życie marnuje.

Jej zdania, które się nigdy nie narzucało — Godziemba domyslać się musiał... Po owym wieczorze tragicznym, który o mało go nie wygnał z Warszawy, gdy wpadł do matki, stara pobiadła, przeżegnała się, pomodliła cicho i przeraziła jego rozpacz. Lecz we dwa dni dopiero potem, żywiej niż kiedy o wsi mówić zaczęła. Tadeusz nic nie odpowiadał. W późniejszych rozmowach wracała do tego ciągle. Teraz, gdy mu Francuzka jechać kazała w Pińszczyznę, a Sawaniha, błogosławiąc go, wyprawiała na drogę... gdy usiadł przy niej, stara cichym głosem poczęła gorączkowo mówić do niego, jak nigdy nie była zwykła.

— Bóg tylko jeden wie, kiedy na starość moją koniec ześle i do siebie zawoła... Potem tobie nikt prawdy od serca nie powie! Przyznaj, Tadeuszu, że ja stara słuchała cię jak sługa, a nie żądała nigdy nic... i milczała... boś ty mężczyzna i rozum swój mieć powinieś... Ale u mnie śmierć za pasem... we mnie prawda się gotuje i musi raz w życiu wykpić... Pocóżbym ja ci ją kryła? Tobie ten dwór... i te dobre pany na nic, kiedy ty sam sobie panem być możesz. Czyby ty się dawno ożenić nie

mógł, i z dzieci pociechę mieć i spokojnie panować? A tak lata się marnują, co nie wrócą nigdy!

Sawaniha zapłakała. Zamilczał Godziemba, a po chwili wstając, rzekł jedno słowo tylko:

— Nie mogę...

I nie było już o tem mowy.

Gdy z podróży powrócił Godziemba, staruchę swą zastał na pościeli, chorą... osłabłą. Uradowała się tak powrotowi jego, że z łóżka wstała, a kazawszy sobie opowiadać o podróży, swoim zwyczajem do kądzieli usiadła, chciała praść, ręce jej się trzęsły... porzuciła kądziolkę... a wieczorem do łóżka wrócić musiała... I jednego z następnych dni Godziemba zastał ją z oddechem krótkim, z oczyma rozżarzonemi, ze spalonymi ustami... Pobiegł natychmiast po doktora... lekarz przyszedł, popatrzał, przepisał coś i wychodząc powiedział, że — lampa zgasnąć musi, bo się wypaliła.

Zgasła też tej nocy, bo stara, gorączkowym snem uśpiona, już się więcej nie przebudziła. Godziemba poszedł sam za jej pogrzebem i żałobę po niej włożył. Małe ona miejsce na pozór zajmowała w życiu jego, a wielką po sobie zostawiła próżnię. Jej macierzyńskiej miłości nie zastąpić nie mogło... Godziemba teraz przypomniawszy sobie każde jej słowo, i nosił je w duszy... Posmutniał bardziej jeszcze... Gdy pierwszy raz w żałobie wszedł do hrabiny, a ta go o przyczynę włożenia tego ubrania spytała, naprzód w wyrazach kilku, potem szerzej i szczerzej, powiedział jej o poniesionej stracie.

Hrabina słuchała, i za jej zakręciła się w oku.

— Żal mi was — rzekła i wyszła wzruszona.

Współczucie i smutek znowu ich trochę zbliżyły,

ale hrabina obchodziła się z sekretarzem surowo i ogle-
dnie, nie dając mu nawet sposobności do poufalszego
wynurzenia. Karmila go czasem dłuższą rozmową, ale
o przedmiotach, które żadnego niebezpiecznego zwrotu
nie dopuszczaly.

Na lato tego roku państwo Sollohubowie do Włoch
i Szwajcaryi wyjechać musieli. Podróż tę nakazali le-
karze, nie dla samej pani, która kwitła jak róża i
dziwnie młodą była zawsze i świeżą, ale dla biednego
Sollohuba, bo ten w oczach gasnął.

Stan jego zdrowia wrzucił litością serce żony,
która czulszą się dlań okazywać zaczęła i ofiarowała
się sama towarzyszyć mu w podróży. Ale biedny cho-
ry nie mógł się ludzi i przypisywać jej postanowienia
innemu nad litość uczuciu. Na wyjeździe byli u Brüh-
lów oboje. Piękna Marya unikała poufalszego zbliże-
nia się do hrabiego, aby tem mężowi nie uczynić przy-
krości; nad wyraz smutna i milcząca miała chwilami
jakieś nienaturalne wybuchy weselości, które przykre
czyniły wrażenie. Siłką się wyrażnie, aby pokryć to,
co miała w duszy. Sollohub, będąc z Brühlem sam na
sam, tęskno jakoś go żegnał, nawet nie czyniąc nadziei
powrotu.

— Jedna rzecz-by mnie tylko uleczyć mogła —
rzekł mu — a ta, niestety, jest niemożliwą... Marya
mnie nigdy kochać nie będzie... Jest jak anioł dobra,
ale dwóch serc nie ma, a to jedno, jakie jej Bóg dał,
oddać musiała komuś.

Spojrzał na Brühla i umilkł. Ten obrócił w żart
chorobliwy humor przyjaciela, zaczął mówić o Wło-
szech, o podróży i nie dał mu już powracać do tego
przedmiotu.

Nad wszelkie przewidywanie chorego, włoskie po-
wietrze, kąpiele, wody posłużyły Sollohubowi, rozarwa-
ły jego żonę. Wrócili jesienią do Warszawy, on silniej-
szy i zrezygnowany, ona znowu obojętniejsza i we-
selsza.

Prawie pierwszym jej krokiem były odwiedziny do
Brühlów. Znając hrabinę, przywozła dla niej poświę-
cane różańce, odpusty, relikwiarze — dla Brühla, ład-
ny obrazek jakiegoś mistrza włoskiego, który choć
zdawał się nieznanym, miał wszystkie cechy zna-
komitego artysty. Lecz nad wszystkie dary cenniej-
szy był powrót jej, wesole szczebiotanie, wzrok, co
ożywiało, usta, co się uśmiechały, serce, które biło zgo-
dnie z drugim... Brühl tak rozpromieniony był i szcze-
śliwy dnia tego, iż nawet hrabina to postrzegła, uczu-
ła i zrozumiała.

Wieczorem trochę dłużej, trochę swobodniej roz-
mawiała z sekretarzem.

Spokojny dom Brühlów, w którym jednak zawsze
wiele osób do rodziny należących bywało, ożywił się
znacznie za przybyciem pani Sollohubowej i otwarciem
sejmu koronacyjnego. Był tu poprzedzających go i zwi-
astujących, sejm wielkich dla wszystkich nadziei, reform
i ducha. Nic jednak nie zwiastowało, aby on mógł
wpłynąć na stosunki Brühla do Familli i panującego...
Hrabia był trochę dumny i, nie drażniąc nikogo, nie
śpieszył też z przejednaniem, czyniąc się pokrzywdzo-
nym. Mniszech i inni przyjaciele jego napomykali mu
o zapomnieniu i zgodzie; odpowiadał na to zawsze, iż
kłócić się nie myśli, a krzywdy wyrządzone zapomniał,
bo mu na dobre wyszły.

— Tak jest — mówił z uśmiechem — używam

teraz w pełni domowego szczęścia; nie ma n obowiązków, któreby mnie od przyjemności jego odrywały... a winienem to nieprzyjaciółom... — I ruszał ramionami.

Wspaniała koronacya, która poruszyła ówczesną stolicę i taki entuzjazm niewieści wzbudziła dla pięknego, młodego króla — przeszła dla Brühla prawie niepostrzeżona. Nie miał nawet ciekawości spojrzeć na nią. Sołłohubowa niemal gwałtem namówiła hrabinę z sobą na estradę, i od powracających pań Brühl dowiedział się o szczegółach uroczystości, która go wcale nie poruszała... Nastąpił sejm równie mało obchodzący hrabiego.

Brühl właśnie najgoręcej się zajmował muzyką i urządził u siebie wieczory, gdy jednego dnia w grudniu Mniszech się zjawił niespodzianie.

Był to gość o tej godzinie rzadki.

Zaledwie wszedłszy do salonu i przywitawszy gospodarzy, odciągnął hrabiego na stronę.

— Jestem do ciebie w wielkiej misyi wysłany — rzekł cicho.

— Cóż to takiego?

— Król chce cię widzieć.

Brühl zamilkł.

— Sam mi to mówił — dodał Mniszech.

— Przypomnij sobie sejm 1762 r. — odpowiedział Brühl spokojnie. — Ja nie byłem napastnikiem, nie rozpoczynałem walki, nie dałem najmniejszego powodu do tak zjadłego przeciwko mnie wystąpienia. Przypomnij sobie rolę stolnika, potem sejm konwokacyjny i wyzucie mnie ze szlachectwa, dostojności, urzędów... Po tem wszystkiem, po krzywdzie ojcu mojemu wyrządzonej... wierz mi, nie przystało synowi

szukać zgody pierwszemu i upokarzać się przed zwycięzcą...

— Stosunki się zmieniły — odparł Mniszech — nie ty szukasz zgody, ale ten, który zawinił.

— Któż o tem wiedzieć będzie, widząc mnie u niego? — zapytał Brühl spokojnie.

— Obmyślimy może środki zbliżenia was; okaz tylko dobrą wolę... Zgoda nam wszystkim potrzebna, a ty krajowi pożytecznym być możesz.

— Myśl-że i jak chcesz to układaj — zakończył Brühl — ale pamiętaj o tem, że ja pierwszy na zamku się nie ukazę...

— Nie możesz też mieć pretensyi, aby król przyjechał do ciebie! — rozśmiał się Mniszech.

— O! najmniejszej! — zawołał Brühl — i cofnął się.

Rozmowa ta nie poruszyła go wielce. Mniszech nie wspomniał o niej nikomu, wszystko to pozostało tajemnicą.

Ale nazajutrz na wieczór otrzymali państwo Brühlowie zaproszenie od podkomorstwa Potockich. Podkomorzy, wnuk hetmana, pokrewny wojewodzie, był zarazem skoligacony z królem... Brühlowi dało to do myślenia, chciał się wymówić, lecz Sołłohubowa przybyła, jak się zdaje, umyślnie, wymogła na nim słowo, iż na wieczór pojedzie, wprosiła się w towarzystwo pani Brühlowej i nastąpiła na hrabiego, aby jej zawodu nie uczynił.

Hrabia był jednym z najprzyjemniejszych ludzi w towarzystwie, wychowanie i obycie ze światem dawało mu swobodę, miał wiele dowcipu, widział dużo, a nikogo swoją wyższością nie raził — bo w naturze

miał skromność nie narzucającą się ludziom. Wszędzie więc był miłym gościem.

Gdy nadszedł wieczór, wszyscy ruszyli do podkomorstwa. Pałac Potockich znajdował się niedaleko zamku. Przybywając tam, znaleźli towarzystwo już bardzo liczne, szczególnie kobiet mnóstwo, strojnych, wesołych, uśmiechających się i zalotnych. Tradycje Augusta Mocnego wskrzeszone odżywały.

Brühl jednak ani wiedział, ani się spodziewał przybycia króla, gdy na pokojach dało się czuć poruszenie, panie uszykowały się rzędem, gospodyni, siostrzenica królewska wyszła ku drzwiom, i w progu ukazał się — Najjaśniejszy Pan.

Był to naówczas jeżeli nie jeden z najpiękniejszych, to jeden z najmilszych mężczyzn swojego wieku, pełen zalotnego wdzięku, postaci kształtnej, oczu błyszczących pojęciem żywem, w ruchach i mowie zdradzający dziecię wielkiego świata, nawykłe żyć w tych sferach elegancji i wspaniałości, które modę i formy narzucają. Wszystko mu się natenczas uśmiechało, i on się uśmiechał wszystkiemu, rad był zjednać sobie serca, przyciągnąć, wsławić się, usprawiedliwić jednym słowem szczęście, które mu sprzyjało...

Z twarzy otaczających widać było uwielbienie, w kobietach posunięte do entuzjazmu, do szalu! Z królem weszli na pokoje Branicki młody, jeden adjutant i szambelan... ale ci natychmiast znikli w tłumie; król nie lubił się zbyt urzędowym otaczać orszakiem, obstały go panie tak, że trudno już się doń przybliżyć było.

Brühl, który stał zdaleka pod oknem, zmieszał się trochę, widząc króla wchodzącego, lecz musiał pozostać.

Stanisław August witał tymczasem z kolei panie, a tuż cisnęli się doń wszyscy, szczególnie ci, co niedawno najostrzej przeciwko niemu występowali.

Znajdowano w nim nagle szczególne przymioty... i pochwałom cichym nie było końca. Każdy chciał być widziany, zaszczycony słowem lub choćby skinieniem głowy. Król, który był niesłychanie grzecznym, z wielką starannością spełnił ciężki obowiązek nieuchylenia nikomu i jak dawni nieprzyjaciele najniżej mu się kłaniali, tak on im najuprzejmiej się uśmiechał.

Brühl od okna, w którym stał, patrzył na tę komedię dworską, wiecznie jedną i zawsze równie zabawną. On się wcale ani przeciskać, ani przypominać nie myślał. Nie chciał też okazać się niechętnym i gburowatym, uchodząc z placu... został, gdzie był. Powitanie przeciągnęło się nieco, gdyż panie zajęły króla, każda z kolei przywłaszczając go sobie na chwilę. Każdą z nich rzucił uszczęśliwioną, z bijącym sercem, pełną nadziei!

Obszedłszy tak ten wieniec kwiatów, król ujął pod rękę gospodarza, szepejąc mu coś do ucha; spojrzenie jego skierowało się ku Brühlowi, stojącemu na ustroju, i żywo kilka kroków postąpił ku niemu.

— Kochany hrabio — zawołał z uśmiechem do niego — bardzo jestem szczęśliwy, że się tu spotykamy. Oddawna widzieć go życzyłem sobie i zatrzeć niemiłe wspomnienie wypadków, o których i ja bym rad zapomnieć i życzyłbym z serca, abyście wy zapomnieli. Tego nieszczęśliwego stolnika, który się wam naraził, niema już na świecie, a jest w jego miejscu król, który was szacuje wysoko, ceni przymioty wasze, po-

trzeba pomocy i pragnie nagrodzić wam to, coście uciernieli.

Wyrazy te, wyrzeczone tonem pełnym słodyczy i uprzejmości, Brühl przyjął z równą gotowością puszczania w niepamięć przeszłości.

— Bardzo jestem wdzięczny Waszej Królewskiej Mości — rzekł — za łaskawe jej dla mnie usposobienie. Pragnę przybranemu krajowi memu, z którym tyle węzłów mnie łączy, służyć, i Waszej Królewskiej Mości razem.

— A do tego, kochanny hrabio, będziecie mieli pole szerokie, przy znakomitych zdolnościach waszych — począł król. — Natychmiast przywracam wam generałstwo artylerii, która wam wiele zawdzięcza i obejść się bez was nie może, starostwo warszawskie, do którego macie pierwsze prawo, naostatek indygenat utwierdzi rodzinę hrabiów w obywatelstwie polskim...

Brühl chciał dziękować.

— Proszę was, przyjmijcie to nie dziękując wcale, jako należną wam restytucję — rzekł Poniatowski. — Jednego się domagam, o jedno proszę: bądźcie mi przyjacielem. Gusta nasze są zgodne: W Pan lubisz sztukę, ja także; zabawiasz się literaturą, która mi jest najmiłszem zajęciem; należymy pojęciami, obyczajem, nawet wspomnieniami młodości do jednego świata...

Brühl był oczarowany.

— Możesz W. Król. rachować na to — rzekł — iż wierniejszego sługi nie znajdziesz. Ambicyi nie mam, więc nikomu drogi nie zaprę, a pracować będę chętnie, bom do tego nawykł.

Rozmowa, do której zdaje się, iż król Poniatowski był zawczasu przygotowany, tak jak to czynił zwy-

kle, gdy cudzoziemców lub ludzi powołania jakiego wyłącznego miał spotkać, natychmiast przeszła na artylerię, jej postępy, potrzeby, na brak fortec w kraju, stan Kamieńca Podolskiego, możność fortyfikowania Częstochowy i t. p. Król starał się okazać przed Brühlem swą znajomość nie tylko kraju i stanu artylerii, ale wymagań czasu i potrzeb wojskowości. Miał też niepospolity talent mówienia z łatwością i pozorną erudycją o wszystkim, z kobietami o kwiatach, z żołnierzami o wojsku, z rzemieślnikami o warsztatach... Podziwiano w nim nieraz tę encyklopedyczność, którą był winien łatwemu pojęciu i dostarczany mu notatkom. Tego wieczoru dla Brühla został artelerzystą i potrafił, oprócz popisu z własną erudycją, dobyć z niego wiele wiadomości.

Znał też namiętność, jaką miał hrabia dla teatru, i autorstwo jego sztuk dramatycznych; wyczerpawszy więc artylerię i fajerwerkerstwo, przerzucił się zaraz do sztuki, zaczął o galeryi drezdeńskiej, potem o teatrze, który chciał utworzyć w Warszawie.

— Jest to zadaniem mojego panowania — rzekł — z Rzeczypospolitej stworzyć państwo europejskie, dać narodowi, czego mu braknie lub co utracił: literaturę, teatr, zamiłowanie sztuki. Hrabia mi pomożesz do uczy-nienia z Warszawy, która jest zbiorowiskiem domostw, miasto godne nosić nazwisko stolicy. Potrzebujemy rozbić średniowieczną skorupę, która na nas przyrosła, i poruszyć się w tropy innych narodów — naprzód...

Wszystkie te piękne plany przyszłości płynęły nie tylko z ust, ale z serca króla. Nie ma wątpliwości, że w początkach panowania takie miał zamiary i nadzieje, taki cel przed sobą... Czy zawsze właściwe do

dopięcia go dobierano środki — to inne pytanie. Mówiąc, unosił się król:

— Tak, i pana i wszystkich proszę, pomóżcie mi, podeprzyjcie, poddajcie myśli, siłami waszemi moją słabość wzmocnijcie... Zadanie wielkie jest, piękne i godne szlachetnego narodu...

Brühl mówił na ten raz niewiele, ale król z tych słów, które usłyszał, mógł się przekonać, iż dawnej waśni i żalu śladu nie było. Hrabia ceniał spokój i lubił pracę, a intrygi polityczne dosyć mu życie zatruły, aby się od nich odstręczył na wieki.

— Proszę was, hrabio — dodał nareszcie król — bądźcie też pośrednikiem pomiędzy mną a panem wojewodą. Niech on żalu do mnie nie ma...

Ścisnąwszy rękę Brühla, którego zaprosił na obiad jutrzejszy, król poszedł do hrabiny Brühlowej, której także chciał się uklonić i zjednać ją kilką grzecznymi słowami. Na drodze nastroczyła mu się sama Solłohubowa.

— N. Panie — rzekła, kłaniając się — przychodzę mu się przypomnieć i prosić, abyś się za pana stolnika na mnie nie gniewał...

— Ja jednak odziedziczyłem po nim — odezwał się grzecznie król, całując śliczną rączkę — uwielbienie dla pani... i tego, doprawdy, podobno nigdy zapomnieć i z serca wyrwać nie potrafię...

Nie nie odpowiadając, Solłohubowa usunęła się nieco na bok i odsłoniła stojącą tuż poza sobą śliczną jeszcze naówczas, jak różyczka rozkwitającą księżną wojewodnicową, która, wachlarz trzymając przy ustach, paluszkami groziła królowi na małym nosku.

Spostrzegł to N. Pan i, uśmiechnąwszy się do u-

stepującej z placu Solłohubowej, zbliżył się do tej, która uchodziła naówczas za jedną z efemerycznych królowych.

Pani Marya wysunęła się z grona kobiet bardzo zręcznie i błądząc niby po salonie, przybliżyła się jakby nieumyślnie do Brühla, który już po rozmowie z N. Panem znalazł mnóstwo dobrych przyjaciół, co go wchodzącego na salon przywitać nie śmieli.

— Kochany hrabio — szepnęła mu — przychodzę ci pierwsza może powinszować powrotu do dawnych dostojństw i urzędów. Szczerze się tem cieszę... Ale cóż? generał artylerji, który gotów po całych dniach siedzieć w cekkhausie pustym... odebrać nam gotów tego milego Brühla, którego my tak kochamy...

Spojrzała nań, uśmiechnął się hrabia.

— Wierz mi pani — rzekł cicho — że gdybym, nawet miał nieszczęście zostać królem... i to jeszcze nie potrafiłoby mnie oderwać od uwielbienia dla niej i wiernych jej usług...

— Komplement! — westchnęła Solłohubowa.

— Ale w nim zawinięta jest ta smutna dla mnie prawda, którą pani wiesz, a ja jej powiedzieć nie mogę...

Król, który śpieszył do księcia kanclerza, ruszył się z miejsca swojego i cały salon znowu drgnął, cisnąc się ku niemu... Wnet po wyjeździe zaczął się nawet wypróżniać, bo znaczniejsza część gości, jak się okazało, tylko nadzieją widzenia N. Pana sprowadzona była.

Brühlowi winoszowano, otaczając go dokoła, bo już wiedzieli wszyscy, że do dawnych zaszczytów miał być przywrócony, i dziwiono się trochę, iż z takim chłodem stoicznym wiadomość tę przyjmował.

XI.

Długich lat kilka upłynęło od przywrócenia Brühlowi dawnego jego w Rzeczypospolitej stanowiska. Różowa jutrzienka panowania wprędce zaszła chmurami groźnemi. Generał artylerji pozostał wśród tych wypadków widzem tylko i pracowitym robotnikiem około tego, co mu powierzone zostało. Nie miał najmniejszej chęci mieszania się do wewnętrznych walk i przełomów, które krajem zawichrzyły. Zamykał się w celi i w domu, jako starosta warszawski czynnie się zajmując stolicą — alle ani teść, ani księżę Radziwiłł, ani inni przyjaciele wciągnąć go nie potrafili w żadną walkę i zaprzadz do żadnego stronnictwa. Nie był stworzony do politycznych kabał, a te, na które patrzył od dzieciństwa, smak mu do nich odebrały.

Miano mu za złe obojętność — Brühl milczał.

— Sumiennie — odpowiadał wyrzucającym mu tę neutralność — sumiennie nie mógłbym powiedzieć co jest lepsze i do dobrego prowadzi — wolę zostać nieczynnym, niż wyrzucać sobie omyłki i błędy.

Pisał więc komedye, lał działa i grał kwartety. W domu ten sam zawsze stosunek grzeczności czulej łączył go z żoną, której zdrowie, pomimo starań lekarzy, coraz bardziej zdawało się zagrożonem. Z anielską cierpliwością pani generałowa znosiła swój kaszel, lekką gorączkę i osłabienie. Parę razy lekarze do wód i na włoskie wyprawiali ją powietrze. Jechała posłuszna w towarzystwie Dumont i dodanego dworu, wracała orzeźwiona nieco i po krótkim czasie przeciagu z upartą słabością nazad wracała. Niekiedy na dłuższy czas

powołana jechała do Krystynopola, czasem wołała zamykać się w Warszawie, mając kościół pod bokiem i ulubionego spowiednika.

Pani wojewodzina, patrząc na nią, wzdychała i miała żal do zięcia — lecz nigdy nań słówkiem nie poskarżyła się żona, owszem brała jego stronę i szczerą mu zawsze przyjaźń okazywała.

Ale to było lodowate małżeństwo połączonych dłońmi a serc niemogących się zbliżyć, zrozumieć ani połączyć.

Wojewoda kijowski miał może za złe zięciowi, iż się zupełnie przejednał z królem i unikał wszelkiego narażenia się mu, umiał jednak szanować charakter Brühla i pozostał z nim w najlepszych stosunkach.

W ciągu tych lat znowu Solłohub zachorował, trawiła go boleść jakaś wewnętrzna i niesmak do życia. Nie przywiązywał do niego wielkiej wartości. Młody jeszcze, zobojętniały na wszystko, już się czując gorzej, biedny Jaś począł szukać rozrywki w grze, która naówczas stała się namiętnością i klęską powszechną.

Grano wszędzie, począwszy od zamku, aż do gospód i sal srebrnych i złotych. Gracze z profesji przybywali do Warszawy tłumami, kupy złota wykładając dla zwabienia łatwego do stolów, do których się docisnąć nie było podobna. Solłohub nie potrzebował gry szukać, miał ją wszędzie i codziennie. Było to lekarstwo od nudów, przesytu, zwątpienia, gorsze od choroby, apatię zastępowało gorączką. Słabość jego i wycieńczenie zwiększyły się. Rodzaj życia, towarzyszący grze, zabijał go. Wracał do domu osłabiony, kilka dni czasem leżeć musiał i powracał do nalogowo już potrzebnej mu trucizny. Łagodnie starała się go odwieść

od tego żona, usiłował odciągnąć Brühl — on słuchał rozmów, uśmiechał się, milczał, potakiwał nawet, a nazajutrz znikał i znajdowano go znowu w tem samem towarzystwie i takim samem rogorączkowaniu.

Brühl nienaz, wysłany przez żonę, biegł go szukać, prosił i zaklinał — lecz nałogu nie zwyciężyć nie mogło.

— Co ci to szkodzi? — wołał, ściskając Brühla. — Na świecie mi nie smakuje nic, oprócz tej zażartej walki z głupim losem, i jedyną, ostatnią, przyjemność chcecie mi odebrać.

— Ale to cię zabija!

— A jeśli ja pragnę być zabitym? — odpowiadał Sollohub.

Wygrywając i zrywając się na przemiany, biedny Jaś doszedł do tego, że w końcu z domu już nie mógł się ruszyć. Naówczas zbierał u łóżka kilku przyjaciół i awanturników, i po całych nocach rzucał kartami. Żona płakała.

Pewnego dnia po takim szalonym wyczerpaniu załabł mocniej; posłano po lekarzy, znaleźli go już niemal dogorywającym, nie było ratunku. Gorączka się zwiększała, przyszła senność, nieprzytomność i koniec zwieńczonego życia.

Pani Sollohubowa została młodziuchną i śliczną wdową, zamknęła się w domu, przestała być na świecie i przyjmować. Spodziewano się, że to nie potrwa dłużej od żaloby, którą ściśle donosić chciała tembardziej, iż wiadano, że męża kochać nie mogła. Lecz po ukończeniu jej pani Sollohubowa pozostała, w ciasnem kółku krewnych i znajomych... Ci, którym wdzięki jej, majątek, dowiep i wszystkie razem wzięte przy-

mioty nie dawały spokoju, cisnęli się różnymi sposobami, usiłując zbliżyć do niej. Na nie się to nie przydało — mówiła otwarcie, że za mąż iść nie myśli.

W czarnej sukni, prostotą swą odbijającej dziwnie od strojów, na które się naówczas wysyłano, przyjeżdżała czasem do Brühlów, pokazywała się w kościele, na przejażdżkach i powszechnie obudzała zajęcie.

Złośliwe kobiety utrzymywały, iż chciała świat okłamać, udając miłość dla męża, lecz do tłumaczenia tego nie mogły żadnego dodać komentarza, bo postępowanie wdowy nie dawało do tego najmniejszego powodu. Szeptano wprawdzie o przyjaźni dla hrabiego Brühla, o jego uwielbieniu dla niej — ale to były stare dzieje, nowemi niepoparte postrzeżeniami.

Snulo się więc tu życie tak, jak ono w rzeczywistości zwykło się praść z szarych nici, gdzieśniedzie złotym pyłkiem, krasną plamką, czarnem pasmem przytkanych. Przynajmniej raz w tydzień wdowa przyjeżdżała do Brühlowej i spędzała z nią dzień cały, usiłując jej dopomagać w robotach do kościołów lub bawić rozmową.

Naówczas przybywał do salonu hrabia i małe to kółko, zamknąwszy drzwi obcym, bawiło się czytaniem i muzyką. Pani Sollohubowa pracowała nad nią wiele i grała pięknie. Brühlowa lubiła słuchać, hrabia ich zachwycał.

W Krystynopolu tymczasem donastał przyszły dziedzie i następca wojewody, ulubiony jedynak Feliś, na którym największe w przyszłości pokładano nadzieje. Właśnie po wojnie domowej kraj się nieco uspokajał, gdy hrabia Brühl jednego dnia odebrał z Krystynopola umyślnego z własnoręczną kartką wojewody, ręką drzą-

ca nakreślona i zawierająca tylko te wyrazy: „Proszę kochanego generała, za odebraniem tego pisma, natychmiast przybyć do Krystynopola. Jest tego gwałtowna potrzeba“.

Brühl z samej kartki domyślił się, że coś nadzwyczaj ważnego zajść musiało — chcąc się o tem więcej dowiedzieć, przez Godziembę kazał do siebie wezwać posłańca.

Był to jeden z kozaków wojewody, który na zapytanie, co się działo w Krystynopolu — odpowiedział, iż o niczem nie wie, że wszyscy są dzięki Bogu zdrowi, i że ma rozkaz, konia tylko popaslszy, natychmiast wracać dzień i noc z odpowiedzią.

Brühl, posłuszny zawsze rozkazom wojewody, polecił wszystko gotować do podróży — lecz nie mogąc wyjechać dnia tego, odłożył ją do następnego ranka. Odpowiedź kozaka znacznie go uspokoiła. Wojewodę znał jako człowieka gwałtownego, którego czasem i małej wagi okoliczność wzburzyć mogła.

Wieczór był dosyć późny, gdy pani Sołohubowa, która wczoraj była u Brühlów, i której wcale się nie spodziewano, przybyła znowu, ale tak blada, wylekniona i wzruszona, iż od progu z jej twarzy jakąś złą wieść wyczytać było można.

Na zapytanie troskliwe szepnęła tylko, że się czuje nie bardzo zdrową i że to powoli przejść musi. Dała jednak znak Brühlowi, iż na osobności z nim mówić potrzebuje. Nie było to trudno, gdyż rozmaite, jak zwykle obowiązkowe pacierze i nabożeństwa odciągały po kilka razy w ciągu wieczoru z salonu panią Brühlową, a Dumont prawie zawsze jej towarzyszyła, nabrawszy także smaku do pobożności nieustannej.

Gdy hrabina wyszła, Sołohubowa wstała z krzesła, dobyła z za sukni kartkę i, oczyma wskazując drzwi, którym wysunęła się żona, dała mu znak, aby pismo przeczytał.

Stało w niem:

„Nie opisuję tragicznej historyi, o której szeroko po kraju rozchodzą się wieści, jak jednak ađ Regiam Majestatem doniesiono o niej, dla wiadomości JW. Pani rzetelnie skreślam. JWpan starosta belzki, syn JWwojewództwa kijowskich, od ośmiu miesięcy za wiadomością rodziców swych uczęszczając na polowania, mil trzy od Krystynopola, bywał w domu JMP. Komorowskich, nowosielskich starostów, gdzie w córce ich, z których starsza poszła za JMPana starostę rachodowieckiego, pokochawszy się, ile że ma być i edukacyi i piękności wielkiej, miał nalegać na rodziców onej, aby się z nią żenił, i gdy założona przez nich kondycja być miała, żeby tego postanowienia nie czynić bez wiadomości i zezwolenia JW Pp. kijowskich, JMP starosta belzki mocno nalegał, żeby to przed czasem dopełnienia tegoż ożenienia mieć w sekrecie, i za usilnem wymaganiem rodzice damy podjęli się wyjednać indult, do czego się miała przyczynić Warszawa i poprzednio wiedzieć o tym knowanym maryażu, który nastąpił w dzień św. Szczepana, i rodzice damy mieli przyrzeczoną z miejsca tego protekcyę utrzymywania validitatis tegoż małżeństwa. Jakoż po ślubie publicznie rozgłoszono też ożenienie, i że inpregnata a stał konsekwencya, iż rozwód być nie może.

Zaszła zaś awantura w dzień popielcowy najazdu i raptus tejże damy miał być z gwałtownością, strzelaniem i kałeczeniem kilku tamże ludzi, a dama porwa-

na w największe mrozy w letniem całę odzieniu i bez futra, a że bardzo delikatnej kompleksyi, największą obawą, czyli bądź z przeziębienia nie miała jakiego nieszczęścia, ile śladu niemasz, gdzie się podziała“.

Doczytałwszy do tego miejsca, Brühl zbladł i spoj-rzał na Sołohubową, która zbliżając się szepnęła mu na ucho:

— Najstraszniejsze wieści... Mówią, że zabita, czy utopiona, nad Krystynopolem burza, posądzają o gwałt starostę śniatyńskiego.

— W tej chwili wezwano mnie listem do wojewody, miałem wyjeżdżać jutro, jadę natychmiast.

Było to pierwsze echo tej straszliwej historii Gertrudy Komorowskiej, która wkrótce kraj napelniła cały, obudzając oburzenie powszechne przeciwko wojewodzie kijowskiemu, bo jemu utopienie niemiłej synowej przypisywano.

Znikli nagłe ze dworu podejrzani o popełnienie tej zbrodni kozacy i słudzy wojewody potwierdzali najstraszniejsze domysły ucieczką swoją.

Nie chciano mówić o tem Brühlowej i przyjaciółka podjęła się strzedz jej od tych wieści, któreby ją niepokojem o rodziców przerazić mogły.

Zaledwie kilka słów zamieniwszy z Brühlem, wdowa poszła pożegnać kuzynkę i wyjechała, Brühl wezwał nieuchronnego Godziembę, którym się we wszystkich razach ważniejszych zwykł był posługiwać. Jemu jednemu mógł zwierzyć wszystko i polecić czuwanie nad żoną. Pan Tadeusz, który na samym sobie wypróbował gwałtowność wojewody, ani na chwilę nie wątpił, iż powieść o nieszczęśliwej synowej była prawdziwą. Przyspieszono wybór w podróż, Brühl z listem pożegnał hra-

binę, wymknął się z pałacu i z jednym sługą pobiegł na pocztę, nocą jeszcze opuszczając Warszawę.

Stosunki Komorowskich i dawna w kraju niechęć ku dominemu wojewodzie sprawiała, że wieść o zamordowaniu starościny bełzkiej wzburzyła, co żyło, przeciw Potockim. W ciągu drogi mógł się Brühl przekonać, jak straszne i groźne panowało wszędzie rozdrażnienie i wołanie o pomstę. Pędząc dzień i noc po najokropniejszych wiosennych roztopach, przybył nareszcie do rezydentey krystynopolskiej. Jak czasu wojny, brama była ostawiona wojskiem, na wałach żołnierze, warta przy pałacu... obwach pod bronią... W pałacu samym panowało milczenie złowrogie... słudzy z posępniemi twarzami stali wszędzie u drzwi na strażach.

Gdy hrabia wszedł do kancelaryi Potockiego, znalazł go siedzącym w krześle, z głową obwiązaną, z ręką po krwi puszczeniu na chuście wiszącą, żonę przy nim i doktora Macpherlana.

Twarc wojewodziny biała była i gniewna, usta zacięte. Gdy się Brühl zbliżył do powitańia, nie rzekł nikt słowa.

— Jak się ma Marynia? — ozwała się, wedle zwyczaju, z wysiłkiem wojewodzina.

— Zdrowa...

Wyszedł w tej chwili lekarz. Natenczas wojewodzina Anna załamała ręce i, wskazując na męża, zawołała z rozpaczą:

— Patrz, patrz, co nam zli zrobili ludzie...

Brühl nie śmiał ust otworzyć.

— Wiesz już o wszystkim? — rzekł słabym głosem wojewoda.

— Z odgłosu tylko, z wieści, a więc jakbym nie nie wiedział... — odparł hrabia.

Potocki zdał się zbierać siły i radzić oczyma z żoną, które z nich powiedzieć miało całą boleść rodziny...

— Słuchaj! — odezwała się matka, której oczy cisnęły płomieniami.

— Jam spokojniejszy — przerwał wojewoda — jużem ból mój rozumem pokonał, daj mi jejmość mówić, powiem wszystko...

— To był spisek na nas, uknuty w Warszawie przez nieprzyjaciół naszych, aby mi syna odebrać, aby dziedzica najbogatszego w kraju dać w ręce awanturnikom... To smarkacz jeszcze... skorzystano z niłodości... wciągnięto do spisku domowników... Znasz Szczęsnego: dziecko jest, ale temperament ma i krew naszą. Wcześniej w nim kipieć zaczęło... Wiesz, jak go wychowywano... Głupim był, gdym na usilne prośby pozwolił mu po dwa i trzy dni polować ze starostą zawideckim, nie wiedząc gdzie czas spędza. Wciągnęli go do Nowosiołek Komorowscy, podsunęli mu dziewczynę swoją... Sierakowski im pomagał... Chłopiec oszalał, indult przysłano mu z Warszawy, ślub odbył się potajemnie. Ślub! bez wiedzy ojca i matki z małoletnim.

Wtem wojewodzina wtrąciła:

— Póki ja żyję, nie pozwoliłabym na to nigdy, raczej...

— Cóż czynić było? — dodał nakazując milczenie wojewoda — znieść tę ignominię i dać sobie wydrzeć syna?

Tu zamilkł i głowę wsparł na rękę.

— Bóg mi świadek... nie chciałem nic więcej, tylko ją kazać wziąć i osadzić w klasztorze... a rozwód okupić choćby milionem, bo o złoto im nie o co innego chodziło... — Tu zniżył głos. — Stało się... nieszczęście.

Śmielsza i więcej zapalona wojewodzina dodała:

— Pan Bóg ich skarzał za to, co nam gotowali... Ludzie, co ją porwali... krzyk tłumiąc... No! zginęła... w drodze umarła... rzecz skończona... — zawołała wojewodzina, rzuciwszy rękami.

— Bóg widzi! — powtórzył Potocki — śmierci nie chcieliśmy...

— Ale na nią zasłużyła... i oni! dobrze im tak. Nie my, nie ludzie, sami Komorowscy zabili dziecko swoje...

Wojewodzina zaczęła się gwałtownie przechadzać po pokoju; Brühl stał zmieszany.

— Generale! — zawołał wojewoda — bądź mi pomocą... Szczęsny tu pozostać nie może... Mnie grożą, jego pociągnąć mogą, serce zniechęcić, przerazić... uczynić z niego świadka przeciw ojcu własnemu. Zabierz go z sobą, wywieź za granicę, opiekuj się nim. Jesteś mu bratem, synem naszym, synowskiej pomocy żądamy od ciebie...

Wojewodzie lzy pociekły z oczu. Matka milczała gniewna: przypomnienie wypadków wprawiało ją w rodzaj szału.

— Nieprzyjacielem nasi radować się będą... rzuca na nas potwarzę... kto wie co czeka!! Szczęsnego ratować potrzeba... Wy go możecie uspokoić... ulagodzić, my dlań musimy być surowi. Przewinił przeciw rodzicielskiej władzy.

Hrabia słuchał tych purywanych narzekani.

— Gdzież Szczęsny? — zapytał.

— Tu, pod strażą — odpowiedział wojewoda. — Nie możemy na jedną chwilę spuścić go z oka. Komorowscy czuwają... listy ślą... gdyby go porwać mogli lub skłonić do ucieczki... odebraliby go nam pod pozorem cudości...

Wojewodzina nogą tupnęła.

— Jutro, nie dalej, w podróż! — dodał wojewoda — na miłość bożą nie opuszczaj nas!! Ratuj...

— Mogę widzieć Szczęsnego? — zapytał Brühl, któremu ciężżyła ta rozmowa...

Potóccy spojrzeli po sobie.

— Potrzeba, ażebyś go widział i do podróży przygotował — rzekł wojewoda — lecz proszę, unikaj wszelkiej rozmowy o tem, co zaszło... mów o rzeczach obojętnych, jak gdybyś o niczem nie wiedział... Uspokój go... cierpieć musi.

— Zasłużył — ponuro mruknęła wojewodzina — a my?

Sądząc, że usunięciem się na chwilę przyczyni się do uspokojenia, hrabia wziął za kapelusz. U drzwi znalazł się dworzanin Bistecki, któremu polecono zaprowadzić go do Szczęsnego. Tu, jak przy pokojach wojewody, a nawet dokola skrzydła pałacowego i w niejakiem oddaleniu pod oknami, stały strażę. Francuz kamerdyner zamysłony dumal na progu.

Gdy hrabia wszedł do pokoju, Szczęsny, młody, smukły, z oczyma żywemi chłopak, który na swe lata wydawał się może zbyt dziecinny, wół siedział, napół leżał na kanapce. Nieco opodał z książką w rękę zbliżoną do oczu, staruszek ksiądz Wolff modlił się,

czy czytał dość pilnie. U okna stał niepozorny dworzanin, któremu dobrze się przypatrzywszy, można było w oczkach małych dowcip ukryty wyczytać. Był to pan Benedykt Hulewicz, towarzyszy zabaw starosty, ulubiony zarówno rodzicom jak jemu.

Na widok Brühla, Szczęsny powoli podniósł się zmieszany z siedzenia i postąpił parę kroków na jego powitanie. Wolff książkę położył, Hulewicz cofać się począł do progu. Hrabia ułożył twarz jak mógł najweselszą.

— Wojewoda mi powiada, żeś niezdrow — odezwał się — ale nie znajduję śladu choroby na twarzy, dzięki Bogu...

Szczęsny się zmieszał i, jak gdyby odpowiedź chciał opóźnić, przysunął krzesło.

Brühl usiadł.

— W istocie, czulem się trochę chorym — cichym głosem rzekł Szczęsny, oglądając się dokola — ale to przejdzie.

— Troskliwi o zdrowie wasze rodzice — dodał hrabia — chcieliby cię wyprowadzić za granicę, i czas też jest, ażebyś trochę świata zobaczył; wojewoda namawia mnie, abym ci towarzyszył... — Spojrzał mu w oczy.

— Bardzobym był rad temu — rzekł Szczęsny sucho.

— Składa to się dosyć dobrze — mówił Brühl dalej — gdyż i ja także wybierałem się ku Francji, moglibyśmy więc przynajmniej część tej podróży odbyć razem.

Z chłodnym półumiechem Szczęsny powtórzył,

iz miłoby mu było tak doświadczonego mieć towarzysza podróży.

Rozmowa, rozpoczęta w ten oposób, nagle została przerwana. Szczęsny oparł się o stoliku, spuścił głowę i roztargniony począł zwijać i rozwijać kawałek papieru, który mu wpadł w ręce.

Ks. Wolff, nie czując się już obowiązany do nadzoru, wysunął się odetchnąć do drugiego pokoju. Hulwicz znikł, zostali sami. Brühl zdawał się czekać zwierzienia poufalszego, a Szczęsny go obawiać — milczeć więc.

— Nic nie masz przeciw tej podróży? — zapytał wreszcie Brühl zeicha, chcąc się dowiedzieć coś od nieszczęśliwego, nad którym czuł politowanie.

Szczęsny spojrzał. — Ojca wola — rzekł krótko.

— A ty?

Znowu papier począł zwijać Szczęsny.

— Ja, nie wiem... — i ruszył ramionami, a wkrótce potem wsparł się od niechcenia na kanapie.

Widocznie Brühl nie wzbudzał w nim zaufania i przykro mu to było. Odważył się więc na śmielsze wystąpienie.

— Radbym wiedział twoją myśl i życzenie, aby się do niej zastosować i starać się przykrości oszczędzić.

— Bardzo dziękuję — odpowiedział Szczęsny z wolna, ciągle papierem się bawiąc. — Mnie wszystko jedno... doprawdy, wszystko jedno...

— Mojem zdaniem podróż jest lepsza dla ciebie, swobodniejszy w niej będziesz, niż tutaj, to cię rozewie... — rzekł hrabia — a ja przecież straszny nie będę mentorem...

— Zapewne innych też mieć będziemy towarzyszków podróży? — zapytał nieśmiało Szczęsny.

— Nic nie wiem jeszcze.

Młody wdowiec głową patrzał i zamilkł.

— A dokąd pojedziemy?

— Sądzę, że do Niemiec i Szwajcaryi...

Rozmowa równie zimna i mało nauczająca ciągnęła się jeszcze z pół godziny, gdy oznajmiono kł stołu. Szczęsny, pod pozorem słabości, jadł u siebie, Brühl pożegnał go i odszedł smutny.

Gdy powrócił do sali, w której wojewodzina z karłami, panną Terlecką i ks. Russyanem czekała, rzuciła nań okiem badawczem i, podając rękę, szepnęła po cichu:

— Jakżeś go znalazł?

— Bardzo spokojnym...

Niedowierzająco potrząsła głową.

— Udaje, a wiem, że po nocach rzuca się i płacze... — Na tem przerwała nagle, wchodząc do jadalnej sali, gdzie reszta dworu oczekiwała. Przy stole, chociaż wszyscy o nieszczęśliwym wypadku wiedzieli, począwszy od wojewodziny, silono się na to, aby o nim ani wspomnieć, ani o nie drażliwego nie potrącić. Na twarzach malował się niepokój i ciekawość, w mowie była powściągliwość i powaga, świadcząca o karności domowej. Wybierano do rozinowy przedmioty najmniejszego z położeniem nie mające związku, unikając imienia starosty belzkiego, Sierakowskiego, który był posądzony o posiłkowanie mu i z tego powodu uchodzić musiał, a nawet wzmianki o miejscach mogących to nieszczęście przywieść na pamięć.

Sucha też, smutna, wymuszona była rozmowa, rwąca się co chwila, sztukowana... niesmaczna, a ile razy oczy badawcze i ciągle gniewne wojewodziny padły na kogo z domowników, co najprędzej wzrok odwracał, aby go nie posadzono o zbytnią ciekawość.

Brühl wymęczył się u stołu, nim nareszcie obiad się skończył, i ks. Russyan rozpoczął wstawszy, ręce złożywszy: *Gratias agamus...* za którym wszyscy stojąc modlitwę dziękczynną powtórzyli po cichu... Karły, które jadły przy osobnym stoliczku, pokłękaly w czasie modlitwy, a Bebuś i Beba przyszli pocałować rękę pani po obiedzie.

Zatem poszła gospodyni, wiedząc Brühla do męża, przy którym czasu obiadu doktor Macpherlan pozostał. Wojewoda czasem po obiedzie drzemiał, zostawiono go więc, samym, a pani, wzięwszy znowu Brühla, poczęła mu dawać na podróż instrukcje. Wszyscy się obawiali, aby Szczęsnego Komorowscy nie opanowali i nie pociągnęli na swą stronę. Matka szczególnie podejrzewała go o słabość dla nieboszczki, a oziębłość dla rodziców. Brühl więc miał być ciągle przy nim, przynajmniej dopóki granic kraju nie przejechali.

Wojewodzina płakała, dostając spazmów na samą myśl, żeby Szczęсны mógł dać się uwikłać Komorowski. Już naówczas miano dlań na przyszłość widoki i przeznaczano mu Mniszechównę z Dukli... Dano się tego domyslać hrabiemu.

Zszedł tak czas do wieczoru, a gdy się wojewoda przebudził, wezwał hrabiego na ostateczną konferencyę do siebie. Znać z niej było, że wszystko, co się tyczyło podróży, ułożyła matka, bo wojewoda niemal dosłownie to, co ona wprzód mówiła, powtarzał.

Wyjazd naznaczony był na jutro. Brühl poszedł raz jeszcze do Szczęsnego, którego zastał nad szklanką limonady i arkuszem papieru zarysowanym figurkami. Ale to szybko ściągnął i schował, widząc zbliżającego się szwagra. Trochę smutku, więcej zaudzenia i niecierpliwości malowało się na twarzy Szczęsnego... Choć pozostali sami z hrabią, rozmowa nie przybrała poufalszego obrotu, nie mówiono nic o wypadku. Milczenie o nim było snadź nakazane, nikt nie śmiał ust otworzyć.

Ponieważ Hulewicz i Bisiecki z dworzan towarzyszyć im mieli w podróży, Brühl, wychodząc wieczorem znużony, po spędzonym dniu wśród narzekañ i ci-szy tajemniczej, dał znak znajomemu sobie Hulewiczowi, aby się z nim udał do jego pokoju. Miał nadzieję więcej się od niego coś dowiedzieć i stosownie do tego pokierować w postępowaniu ze starostą. Hulewicz jednak nie śmiał pójść zaraz i dał tylko znak, że później służyć będzie. Dopiero gdy się wszyscy pospali, wśliznął się do Brühla.

Chłopak był w wieku Szczęsnego, bystry, dowcipny, żywy, ciekawy i nie można było wątpić, że wie o wszystkim lepiej od innych. Zrozumiawszy na co go Brühl potrzebował, zaklął go najprzód na wszystko najświętsze, aby mu tajemnicy dochował, potem westchnął i począł opowiadanie po cichu.

Według Hulewicza prawdą było, iż starosta Zawidecki pierwszy, dla rozrywki Szczęsnego, doradził odwiedzić w domu hrabiów Komorowskich. Panny były piękne, żwawe, wesole, a Szczęсны trzymany surowo i w samym wieku tym, który namiętności rozbudza. Za drugą, czy trzecią bytnością, szalał za Gertrudą.

Niepodobna go było powstrzymać, gotów się był ważyć na wszystko. Komorowscy tem się ludzili, że ród ich był stary i znaczny, że mieli koligacye wielkie, i że ich zawsze w Krystynopolu dobrze przyjmowano. Spodziewano się więc, że spełnione małżeństwo może zrazu gniew obudzić, ale w końcu uznane zostanie. Pierwsza wojewodzina dowiedziała się o małżeństwie i padła zemdlona z gniewu. Zaledwie ją odratowano.

Starosta Zawidecki, gdyby był nie uciekł, padłby był ofiarą zemsty, gdyż na niego, jako dodanego do doзору, zwrócono cały gniew. Wezwano do porady mnóstwo osób. Wojewodzina szalała. Syn nie mógł się jej na oczy pokazać. Ojciec, złajawszy go jak niedelnie dziecko, zamknął pod strażą.

Zaczęły się bieżaniny, intrygi, konszachty, postąpiły, a wojewodzina niezmordowanie była czynna. Wysyłano szpiegi, dowiadywano się o wszystkich obrotach przeciwnego obozu. Napstatek jednej nocy znikli z Krystynopola: Dambrowski pułkownik kozaków, podkoniuszy Wilczek, Grabowski stolnik kozaków, kilku ludzi najśmielszych i najzręczniejszych, jak Satyrko i Szpilka, którym podobno żydki Abrahamek Jodko i rudy Wolf Szmujłowicz towarzyszyli. Następnego dnia oboje województwo z wielkim niepokojem zdali się oczekiwać wiadomości. Dzień przeszedł w milczeniu. Nocą posłyszano w bramie i dziedzińcu jakieś zamieszanie i gwar, które wprędce ucichły.

Dambrowskiego, Wilczka, Grabowskiego już w żywe oczy nikt nie widział więcej. Mówiono tylko, że ich do ukraińskich dóbr wysłano.

Hulewicz opowiadał, że według powieści, która z ich ust zdaje się szerzyła się po dworze, porwali oni

starościne gwałtem, a wioząc ją, poduszkami krzyczącą zarzucali, tak, że ze strachu i braku powietrza w drodze skonała. Prerażeni zbójcy trupa gdzieś w rzekę mieli przez wyrąbaną rzucić płońkę.

Brühlowi szło o to, jak Szczęsny przyjął wiadomość tę, która do niego dojść musiała, lecz z opowiadania Hulewicza przekonał się, że o losie żony nie wiedział wcale. To tłómaczyło jego rezygnacyę i obojętność pozorną.

Hulewicz wszystkie posłuchy, jakie pozbierał, powtórzywszy hrabiemu, wymknął się po cichu.

Nazajutrz odjazd, o który wojewoda naglił, był naznaczony. Od rana pakowano powozy, przygotowywano eskortę do granicy. Potocki, do dnia swoim obyczajem wstawszy, wezwał zięcia, aby mu raz jeszcze zalecić czuwanie nad synem i nie spuszczenie go z oka aż do granicy. W czasie popasów i noclegów nikt się obcy nie miał zbliżać do niego, nikogo do gospód, w których stawać mieli, nie dozwolono dopuszczać.

Gdy się dzień zrobił i do podróży nareszcie wszystko było gotowe, Szczęsny powołany został do rodziców. Brühl wyszedł do drugiego pokoju.

Wojewodzina i wojewoda przyjęli go surowo.

— Jedź waszmość — rzekł ojciec — a staraj się poprawić z lekkomyślności swej i nie zapominaj o Bogu. Obraziłeś waćpan mnie i matkę postępowaniem, które świadczyło, żeś się płochym ludziom dał sprowadzić z drogi obowiązków. Do religii, winnego posłuszeństwa rodzicom i lepszego życia powrócić potrzeba. Chcę wierzyć, że się acindziej poprawisz, i dlatego nie odmawiam mu mojego błogosławieństwa.

Szczęsny, w milczeniu przykląkłszy, ucałował ręce

ojca i matki, której głos żywy i gniewny brzmiał długo, przerywany wybuchami spazmatycznego rozjątrzenia. Nie mogła się wstrzymać, by nie łajać Komorowskich i wszystkich, co do tego małżeństwa rękę przyłożyli.

Trwało to dosyć długo, aż wojewoda zatamował ten wylew żółci, który zakończył się łzami i spazmami.

Gdy wyszli siadać do powozu, Szczęsny blady był jak mur. Razem z Brühlem siedli do karety, która w orszaku dodanych dragonów wyruszyła nareszcie.

Długi czas trwało w powozie milczenie. Brühl go przerywać nie śmiał. Szczęsny nie wiedział może, jak szwagier był usposobiony. Obaj więc unikali rozpoczęcia rozmowy. Na popasie przytomność doktora Macpherlana i dworzan mówić też nie dozwalała. Różnica wieku pomiędzy szwagrami była też przeszkodą do spoufalenia. Brühl znacznie starszy onieśmiał Szczęsnego.

Gdy przybyli na noc, snadź z rozkazu wojewody ustawiono już naprzód zamówioną gospodę strażą dookoła. Hulewicz utrzymywał potem, iż byli ludzie nasadzeni, którzy się skradali i usiłowali dostać do Szczęsnego, ale zabiegi ich speliły na niczem.

W tej smutnej roli mentora i dozorey Brühl musiał towarzyszyć Szczęsnemu aż do Strasburga, wedle rozkazów teścia. Młody Potocki drugiego dopiero dnia otworzył usta, zwierając mu się ze swej miłości dla Gertrudy, której ukrytą miniaturę na piersiach nosił. Przysięgał on, że nigdy kochać jej nie przestanie, i był pewien, że żyje. Nikt nie śmiał jeszcze strasznej prawdy mu powiedzieć, prawdy, którejby nie uwierzył może.

Gdy raz wyznanie to wyrwało mu się, usta się już nie zamykały i opowiadaniom nie było końca. Je-

dnakże podróż zwołała uśmierzała ból, obudzała się ciekawość, dopominała młodość praw swoich, wracała wesołość. Hrabia usiłował go rozzerwać i dopiął tego łatwo, gdyż Szczęsny wszystko czuł gorąco na chwilę i ulegał coraz nowym podróżnym wrażeniom.

Z przyjemnością ujrzał Brühl zbliżający się kres tej podróży, w ciągu której po kilkakroć musiał dla uspokojenia pisać do Krystynopola.

Gdy się nareszcie rozstali, a generał uczuł wolnym, spadło mu z piersi brzemie wielkie, i nie zwlekając, zwrócił się nazad do Warszawy.

Za granicą historia Komorowskiej mało była znana, lecz w miarę jak się zbliżał do kraju, Brühl mógł się przekonać, jak straszny i uwłaczający wojewodzie kijowskiemu rozgłos miała. Wszyscy nieprzyjaciele Potockich i obrońcy praw ludzkości wołali o pomstę do Boga na okrutnego magnata, który śmiał morderstwem rozrywać nienawistne syna małżeństwo. Był to doskonały temat dla nieprzyjaciół instytucji rzeczypospolitej, dla tych, co rażącalnych reform żądali.

Dzienniczki niemieckie, gazetki pisane, listy pełne były smutnych na ten temat opowiadań. Malowano w nich wojewodę straszniejszym jeszcze niż był tyranem. Jak sprawa toruńska wprzód, jak porwanie króla przez konfederatów, historia Komorowskiej obracała się przeciw całemu krajowi i robiła mu nieprzyjaciół. Na granicy znalazł Brühl wrzawę tę jeszcze straszniejszą i groźniejszą. Sprawą zajmowali się wszyscy.

Drobna szlachta domagała się na magnata kary przykładnej, nielitościwej, kraj się niejako dzielił na obozy, ale obrońców Potockich ledwie nieśmiałych i nielicznych znaleźć było można. Brühl z tem większym

pośpiechem zdązał do domu, że jakkolwiek uczucie szacunku i przyjaźni wiązało go tylko z żoną, lękał się o nią, wiedząc, ile dozna, dowiadując się o tem, co się stało w Krystynopolu.

Wątpił, ażeby zdolano przed nią utaić całą okropność tej tragedyi i powszechny o niej sąd ludzi.

Zaledwie wysiadłszy, zapytał o żonę i dowiedział się, że chora wyjechała do Krystynopola.

Godziemba, po którego posłał, i któremu zrazu, zapomniawszy się, chciał wyrzucić, że nie towarzyszył hrabinie — opowiedział mu smutny, iż chora pojechała do rodziców, odebrawszy wiadomość o losie starościny bełskiej. Dumont z nią była.

List, który mu oddano, nie wzmiankujący o niczem — krótki, pisany dla formy, oznajmował, że żona wkrótce powrócić zamierza. Jakoż powróciła w dni kilka, chora, blada, mileząca, i rozpoczęła znowu swe życie dawne, nie śmiejąc ani męża pytać o brata, ani ust przed nim otworzyć o wypadku. On też o nim nie wspominał, a obcy unikali wszelkiej aluzyi. Zapłakane oczy i głęboki smutek generalowej świadczyły, jak okrutnie cierpiała. Dochodziły ją, mimo wszelkich ostrożności, pisma szkalujące, druki, w których rodziców jej dotykano boleśnie; biedna kobieta zamknęła się w domu i kościele, oprócz rodziny nie przyjmując nikogo. Oszczędzano jej, o ile się to dało, przykrości, jakie każde wspomnienie historyi Komorowskiej czyniło na wrażliwej i chorej — ale to był cios ostatni, który wzięła już i znękaną miał dobić.

Okrutny wyrok wojewody kijowskiego pomszczony być miał na własnem jego dziecięciu.

Pani Brühlowa zachorowała silniej, wszystkie symptomata rozwinęły się gwałtowniej, lekarz sprowadzo-

ny nie miał, że hrabina miała suchoty. Słabość mogła się przeciągnąć, nie śmiano obiecywać, aby uleczoną być miała. Dumont, której upartą ideą było, że wszystkiego z tego powodem stało się niedobre małżeństwo i tajone cierpienia serdeczne, łamała ręce, zarówno może nad losem pani ubolewając i swoim.

Brühl, jak zawsze, okazywał się troskliwym, uprzedzającym, czułym, i nikt mu obojętności, zaniedbania zarzucić nie mógł. Otaczano największymi staraniami chorą. Francuzka siedziała nieodstępnie, sekretarz czytał głośno, ale po gorączce nastąpiło wycieńczenie, zubożenie, apatya i ten spokój przedśmiertny, który jest ciszą — co burzę skonu poprzedza.

XII.

E P I L O G.

Po długich cierpieniach — z rezygnacją, ze spokojem chrześcijańskim, skończyła życie Marya Brühlowa, w ostatniej godzinie uśmiechając się do otwartych niebios, które we snach widziała.

Dumont nie odstąpiła jej do końca, a gdy zgon już był bliski, dobre serce starej Francuzki chciało ostatnią pociechę przynieść umierającej. Zawołała płaczącego w przedpokoju Godziembę, aby wychudłą i stygnącą jej rękę raz jeszcze do ust przycisnął. Umierająca uśmiechnęła mu się i prędko zamknęła oczy, jakby ze strachu, a w nocy już u schyłku przywołać kazała kapłana, aby mu się z tego wejrzenia, z tego uśmiechu wypowiedzieć raz jeszcze.

Po pogrzebie Godziemba, którego już nie nie wstrzymywało w Warszawie, prosił hrabiego o uwolnienie, wyjechał do swoich starych, tęskniących ku niemu zawsze, i nigdy więcej nie wrócił. W kilkanaście lat po-

tem znano go w Pińszczyźnie, jako pięknego jeszcze starego kawalera, który, oparliszy się wszelkim namowom i pokuszeniom opiekunów swych i przyjaciół, pozostał bezzennym.

W tym kraiku ustronnym i zapadłym Godziemba uchodził za człowieka wielkiego świata, za wyrocznię — a że charakterem zasłużył na szacunek powszechny, dom jego stał się później jednym z tych, do których cała okolica uczęszczała, mając sobie za honor być przyjmowaną u podkomorzego. Tytuł ten dostał mu się w trzecim roku pobytu na nowem dziedzictwie.

Dumont, której dość znaczny zapis i dożywotnią pensję na dobrach swych zapisała Brühlowa, pozostała w Warszawie, zrazu w pokoiku, który jej hrabia zająć pozwolił, ale wkrótce, troskliwa o przyszłość, wydała się za podkoniuszego hrabiego Brühla, niejakiego Mellera, młodszego od niej o jaki lat dziesiątek. Poszli z nim, razem na własne gospodarstwo. Głuche potem wieści powiadały, że straciwszy wszystko z powodu męża, który zbyt dobre rzeczy lubił, musiała szukać na starość przytułku w Tulczynie.

Po śmierci hrabiny Brühlowej wdowa po Solłohubie, którą widziano jeszcze na pogrzebie kuzynki, nazajutrz znikła z Warszawy.

Brühl nierychło śmiał się o nią dowiadywać, chociaż serce go ku niej ciągnęło, bo dawnemu przywiązanu wierny pozostał. Wolni teraz oboje, mogli dzisiaj, choć późno, podać sobie ręce na resztę drogi życia. Los, wypróbowałszy serca, jakby naumyślnie uprzątnął z drogi wszelkie zawady.

Ale pani Solłohubowej nie było, zdawalo się, jakby się szczęścia tego przestraszyła i uciekla. W pół roku

potem Brühl niespokojnie dowiadując się o wdowę, nie mógł o niej żadnej pewniejszej dostać wiadomości. W jej domu wiadano tylko, że wyjechała za granicę, ale miejsca pobytu, które zmieniała często, nikt wskazać nie mógł.

Kilka listów wysłał hrabia napróżno, nie odbierając żadnej odpowiedzi. Rodzina dalsza składała się nie wiadomością o celu i kierunku podróży, którą uważano za dziwactwo lub za coś nawet gorszego.

Kilka jeszcze upłynęło miesięcy, gdy Brühl, któremu dojmowała tęsknota, niespokojny postanowił odbyć podróż dla własnej rozrywki i wytchnienia, mając może na myśli, że los mu nastreczy przypadkowe z Sollohubową spotkanie. Nazbyt go też żeniono i koniecznie swatać chciało w Warszawie, a zwłaszcza siostra Mniszechowa nalegała na niego, aby się żenił, pragnął więc też od tych natrętnych projektów się uwolnić i zejść z oczu.

Marszałkowa utrzymywała, że brat miał obowiązek szukania żony, że mógł świetny zrobić mariaż i t. p. Hrabia nie zapomniał był, iż tej siostrze winien już był po części pierwsze swe ożenienie i stracone dni życia. Nie chciał jej tego wymawiać, ale nagłony, ucałowałwszy jej rękę, skłonił się i rzekł:

— Jeżeli to ma być koniecznością, abym się ożenił, moja droga Amelio — pozwól mi się ożenić samemu. Pierwszy raz poświęciłem się dla ojca, kobietę uczyniłem nieszczęśliwą, sam przecierpiałem wiele, teraz chcę być swobodnym i pójść za sercem własnem.

Marszałkowa uśmiechnęła się złośliwie.

— Myślę — rzekła mu na ucho — że chyba trochę

już przywiedła Sollohubowa znajdzie łaskę w twoich oczach, ale...

Brühl przerwał przykrą mu rozmowę, nie chciał, aby ktoś obcy, nawet siostra, rozbięrała to uczucie, które dlań było świętem i nietykalnem.

Mniszechowa jednak, mająca na widoku jedną z księżniczek Lubomirskich, miała czas podszeptywać złośliwie, iż wdowa widocznie wyjechała dla uniknięcia starania o jej rękę, mając pewne stosunki, których przyznać nie było trudno, jakąś potajemną miłość, która groziła okropnym mezaliansem i z którą ukrywać się musiała.

Brühla potwarz ta nie wzruszyła wcale, znał nadto dobrze Maryę. Późną jesienią wybrał się do Saksonii i do Włoch. Cel podróży był naukowy i artystyczny, lekarz radził mu też nadmorskie powietrze. Po drodze potrzebował hrabia zwiedzić swe majątkości w Forcie i Pfortenie w niższych Łużycach, gdzie miał znaczne fabryki żelaza, poznać swą posiadłość Turyngijską w Gangloffsömmernie, pomyśleć o losie pałacu i ogrodu w Dreźnie, które życzył sobie sprzedać z rotundą Albuzy i innemi własnościami mniejszemi, które na jego część po ojcu przypadły.

Dosyć czasu zabrała Saksonia, obejrzenie pozostawionych tam zbiorów artystycznych, rozporządzenie nimi, nareszcie z małym poczem wyruszył hrabia ku Włochom. Starając się korzystać po drodze ze wszystkiego, co się nastreczało, zaglądając wszędzie, gdziekolwiek coś było do widzenia, przeciągając umyślnie podróż nie wymagającą wygód, bo Brühl był najwstrętniejszym i najmniej do życia potrzebującym człowiekiem, nareszcie na karnawał stanął w Wenecyi.

Był to niemal przeddzień upadku rzeczypospolitej,

żywego trupa, który bronił się rozpaczliwie napastującej go zewsząd zgniliznie. Królowa Adryatyku była naówczas zbiegowiskiem awanturników, szukających tu rozrywki, znęconych sławą swobody, z jaką można się było zgrywać, szaleć i trzpiotać z pięknymi Włoszkami.

Jak zawsze, jak wszędzie niemal, i tu orgia poprzedzała zgon — ale szalom tym przyświecały cudowne mozaiki starych mistrzów, cudniejsze obrazy szkoły, która już uczniów nie miała, wspaniałe gmachy Sansovinów, lazuruwe morze, wielkie przeszłości bohaterskie pamiątki.

Potęga Wenecyi była już cieniem tylko, urok jej rzeczywistością jeszcze.

Wieczorami, gdy się tłum cudzoziemców wysypał, wyroił na oświecony księżycem plac św. Marka, gdy napół osłonięte postacie przesuwaly się pod galerjami prokuracyi, a z okien zaczęły brzmieć gitary i piosenki — można się jeszcze było na chwilę sądzić w starej Wenecyi Dandolów, Contarinich, Falierich. Ten urok miasta zbudowanego na morzu, jedyne w świecie, dziwnego jak sen, pięknego jak bajka, i Brühla zachwycił w pierwszych dniach pobytu.

Jak każdego przybysza, usiłowali go opanować czyhający na podróźnych cudzoziemców, tytułowani, wykwiłtni, sypiący złotem dla wyciągnięcia go awanturnicy, ale Brühl grzecznie pozbył się natrętów. Znałca i miłośnik sztuki, cały się oddał zwiedzaniu kościołów i pałaców, pełnych jeszcze ancydział Pawła Weroniezyka, Tycyana, Tintoretta, Bellinich.

Wycieczki na Lido, na wysepki sąsiednie, później znajomości z kilku patrycyuszami, do których miał listy polecające — dosyć przyjemnie czas spędzać pozwalały.

Chociaż unikał zbiegowisk i zabaw szumnych, chciał raz Brühl widzieć ową sławną maskaradę wenecką, a nie chcąc mieć świadka tej fantazyi, którą sam za zbyt płochą uważał, udał się prawie potajemnie na nią.

Ówczesne maskarady odbywały się nie w zamkniętych salach jakiegoś teatru, ale na placu św. Marka, po kawiarniach, w domach, w całym mieście wszędzie. Maski wesole przybywały gondolami, przebiegały plac i piazzetę, gubiły się czasem w bocznych uliczkach, nikły gdzieś w domach, lub odpływały niepostarżone, jeśli kto gonił za niemi. Lud i signorya mieszały się razem, cudzoziemcy i miejscowi.

Hrabia, który zajmował mieszkanie w starej gospodzie pod Luną, potrzebował tylko kilka zrobić kroków ku placowi, aby w tłumie i gwarze się znaleźć. Maski były dlań zbyt cieżką, zdawało mu się, że nikt go tu poznać nie może. Gwar już i śmiechy panowały na placu, gęsto nabitym różnobarwną i bardzo wesołą publiką, gdy Brühl się wcisnął pomiędzy lud, aby przysłuchać się śpiewom i konceptom. Nie brakło pulcinellów wyprawujących figle i maseczek, które rade były cudzoziemca intrygować. Hrabia uchylał się ostrożnie, gdy kobieta czarno ubrana, pięknej postawy, widocznie do lepszego należąca świata, z twarzą okrytą aksamitną maseczką i woalem, zmienionym głosem poprosiła go o rękę.

Zdziwiony Brühl ją wyciągnął. Naówczas mały pałuszek nakreślił mu na dłoni F. A. B.

Nie sposób było odgadnąć, maseczka się śmiała po cichu. Zawinięta w obszerną mantylę, nieznajoma ani postawą, ani głosem się nie zdradzała.

Brühl, pewnym będąc, że go któryś z patrycyuszów

zdradził — grzecznie zaproponował przechadzkę po placu, lecz kobieta odmówiła mu podania ręki i chciała tylko iść obok niego.

— Pani wprawdzie znasz pierwsze litery mojego nazwiska — rzekł hrabia — lecz wątpię, żebym ja miał szczęście być jej znany.

— O! i owszem, bardzo dobrze! — ozwał się głosik cieniutki.

— Daj-że mi pani tego dowody — powiedział Brühl.

— Najłatwiej — mówiła maska — jesteś pan synem wielkiego ministra, masz dwa kraje, które się do ciebie przyznają, byłeś żonatym, nie byłeś szczęśliwym, masz wszystko, co szczęście daje, a dotychczas szukałeś go na próżno.

Zdziwił się Brühl nieco.

— To wszystko — rzekł — mogą być wiadomości, o które łatwo, można mnie nie znać i dostać ich z ust czyichś.

— Al ale ja cię znam, mój hrabio — ciągnęła maska dalej — lubisz sztukę, malujesz, lubisz muzykę i grasz, lubisz teatr i piszesz komedye. Nieprawdaż?

Brühl w domysłach się gubił.

— Tak, znam cię — ciągnęła dalej czarna maseczka, a że jestem trochę wróżką, nawetbym ci przyszłość mogła przepowiedzieć!

— Nie... tej nie jestem ciekaw — odparł Brühl z uśmiechem — zakryto ją przed nami dla szczęścia naszego, nie chcę podnosić zasłony... Życie-by było bez smaku, gdybyśmy jego menu wiedzieli.

Dziękuję...

— Szkoda! — odezwała się maseczka — miałam

panu, który podobno nie byłeś szczęśliwym, który nie kochałeś nigdy...

Brühl zaprotestował.

— Ale tak! tak! — szybko powtórzyła maska — nie kochałeś nigdy... balał się tylko trochę... pamiętasz z tą Angielką!! a potem... z tą... nie powiem... To były balańcuchy nie miłości... teraz masz się zakochać w młodziuchnej, ślicznej dziewczeczce, no! i... no... i być bardzo szczęśliwym... Proś mnie na wesele...

— Niestety! maseczko moja! — zawołał Brühl — dowodzisz, że i mnie nie znasz i prorokinią nie jesteś! Kochałem raz w życiu i nie przestałem kochać... a jeśli tej, o której myślę, nie znajdę, prędzej Kapucynem zostanę, niż mężem...

— Żartujesz — mówiła ciągle maska, wyciągając go z tłumu i wysuwając się ku piazecie... Ta, którą ci się zdaje że kochałeś, jest już i nie młoda, i życiem znękaną... Kto wie, czy ona-by ciebie chciała? a ty, teraz ją zobaczysz, czybyś się nie rozczerował?

Tak mówiąc doszli do brzegu, u którego stały gondole; kobieta skinęła główką, rzuciła się w jedną z nich, i nim Brühl miał czas się namyslić, pogonić za nią, znikła...

Wioślarze otaczali go, wołając:

„Gondola! Signore! Gondola!...” Brühl porwał pierwszą z brzegu i kazał mu się wieźć za tą, która ich poprzedziła... Wioślarz czy nie zrozumiał, czy nie dopatrzył... lecz pogoń nie miała skutku... Zaciekawiony, podrażniony hrabia wrócił późno do Luny i nie mógł sobie przebaczyć swej nieczułości. Był to widocznie ktoś z Polski i z tego świata, w którym on się obracał... Ale kto?

Hrabia wpadał wprawdzie na myśl, że to mogła być Solłohubowa, ale ani głos, ani postawa nie zdawały się należeć do niej.

Parę dni upłynęło na daremnych poszukiwaniach; gdy towarzyszący mu w podróży sekretarz Francuz, dawny jeszcze ojcowski sługa, jednego ranka wszedł z twarzą dziwnie rozweseloną do pokoju.

— Panie hrabio — rzekł żywo, zacierając ręce — zdaje mi się, że przynoszę nowinę, za którą na podziękowanie zasłuży. Wypadkiem dowiedziałem się tu o osobie, którą, jeśli się nie mylę, hrabia byś sobie pewnie życzył odwiedzić.

— Kogo? — zapytał trochę obojętnie Brühl — bo ja do odwiedzin nie mam najmniejszej ochoty.

— Jest tu pani hrabina Solłohubowa.

General poskoczył z krzesła, nie kryjąc weale, jaką mu to sprawiało przyjemność.

— Gdzie? jak? — dowiadywać się począł.

Usłużny i domyslny zwiastun tej dobrej nowiny oznajmił, iż hrabina oddawna zamieszkiwała w Wenecyi i zajmowała znaczną część pałacu Contariniach nad Canale Grande.

Ucieszony tą wiadomością, Brühl ubrał się natychmiast, posłał po gondolę, i nie tracąc chwili czasu — pojechał. Obawiając się, że może nie być przyjeżdżającym, kazał na dole oznajmić służbie tylko, iż przybywa z Polski i ma listy i polecenia od Familii — nie wymieniając nazwiska.

W kwadrans potem wpuszczono go do sali, po staroświecku umeblowanej i zawieszanej obrazami, których namy starte, równie jak sprzęty, świadczyły o długim zaniedbaniu i ruinie.

Z bijącym sercem oczekując, stał z oczyma wlepionymi we drzwi, gdy te się otworzyły i Solłohubowa weszła. Poblądła, zobaczywszy go, chciała się cofnąć zrazu... stanęła jak osłupiała... a potem żywo podbiegła ku niemu.

Powitanie było milczące.

— Czy to sen? — odezwała się w końcu drżącym głosem wdowa.

— Nie, pani... ale dziwne losu zrządzenie, coś, coby palcem Opatrzności nazwać należało... Jechałem do Wenecyi bez nadziei spotkania pani, bez myśli nawet szukania tej, która się zdawała umyślnie ukrywać przede mną. Dziś rano... szczęśliwy traf pozwolił mi się dowiedzieć, że pani tu jesteś...

Wdowa milczała, oczy spuściwszy na ziemię.

— A, pani! — mówił Brühl — godziło się tak ode mnie uciekać, w chwili, gdy ja najgoręcej widzieć ją pragnął?... gdy... największe do tego miałem prawo? Popeliłaś pani okrucieństwo.

Zamilkł chwilę, gdy mu na myśl przyszło to, co od siostry słyszał.

— Będę szczerym — dodał. — Jeżeli wam jestem natrętnym, jeżeli to prawda, co u nas może zmyślili, może podchwycili ludzie: że ta ucieczka była serca potrzebą, że ją tłómaczy jakieś przywiązanie, stosunki... obowiązki, szczęścia nadzieje... ja się oddałę i nie będę zamącał pokoju waszego...

Solłohubowa oburzyła się mocno, podniosła oczy czarne na Brühla, ruszyła ramionami i odezwała się głosem, w którym niemal gniew się malował:

— Cóż to za potwarze? kto mógł coś podobnego wymyślić? o kim mowa? o jakich stosunkach? To coś niepojętego dla mnie!

— W Warszawie mówią nawet już... o mezaliansie — odezwał się Brühl — choć tam, gdzie się łączą serca, ja mezaliansu nie rozumiem.

— Lecz któż mógł coś podobnego wymyślić! — krzyknęła, ręce łamiąc, hrabina. — Dałam-że najmniejszy nie powód, ale cień powodu do posądzenia mnie o coś takiego... o pokątne miłości? mnie! która kochając poszłabym głosić na rynku miłość moją! bobym się jej nie wstydzika. Mnie! mnie!

Brühl zamilkł. Żywo poruszyła się pierś pięknej Maryi, a lice zarumieniło... Milezała i ona, zdając się walczyć z potrzebą mówienia i postanowieniem milczenia.

— Powodem do tych domysłów niedorzecznych — odezwał się hrabia — była ta dziwna ucieczka pani z Warszawy, zatarcie śladów za sobą, ukrywanie miejsca pobytu, niezrozumiałe... niewytłómaczone... Ludzie chcieli odgadnąć przyczynę i trafili na myśl... według nich, bardzo naturalną.

— Tak! prawda! osądzili mnie według siebie. To panie nie postąpiłyby inaczej. Im cięższyby ich wdowie szaty, musiałyby szukać rozrywki, choćby w jakimś mezaliansie nie nazwisk, ale serc i ducha... dla — zabawki... co robić z nudów!

Pani Solłohubowa, przestraszona własną złośliwością, rączką sobie zatuliła usta.

— A więc to fałsz — rzekł Brühl — ucieczka

jej pozostaje więc mniej jeszcze zrozumiała. Ja, jako stary, może najstarszy z tych, którzy do tytułu przyjaciół pani mają prawo, czy nie mógłbym spytać?

— A! mój Boże! czy może być coś prostszego, mniej potrzebującego komentarzów? — z uśmiechem wymuszonym poczęła gospodyni. — Poprostu znudziła mnie jednostajność w Warszawie. Kobieta, istota płocha (*c'est convenu*, płochemi być musimy), szukałam rozrywki, czegoś nowego, a może samotności, może ciszy... spoczynku lub czegoś, co się nie daje określić.

— I to właśnie w chwili — przerwał Brühl — gdy jej stary, biedny przyjaciel ręce ku niej wyciągał o pociechę... o słówko... o wejrzenie... a gdyby był śmiał... o więcej może!

— *Halte-là!* — przerwała Solłohubowa poważniej. — Nie gramy w chowanego; za starzy na to oboje jesteśmy; mówmy otwarcie, jak na dobrych przyjaciół przystało. Wiesz pan, dlaczego wyjechałam z Warszawy, uciekłam, zniknęłam?... bom was kochała..

Brühl pochwycił rączkę, którą mu natychmiast wyrwano.

— Będę miała odwagę wypowiadać się do końca — mówiła dalej wdowa. — Kochałam was pocziwie, serdecznie, pragnąc szczęścia dla was... nie dla siebie. Gdybym na miejscu została, miałabym sobie do wyrzucenia, że się u was upominałam o należną, o odgadniętą może już ostygłą miłość, że chciałam wam jarzmo narzucić... Zeszłam wam z oczu, bo pragnę, ażebyś sobie wyszukał młode serce, twarz świeższą od mojej... kochanie nowe, coby wam zapłaciło długie życia tęsknoty...

— Oto był powód odjazdu mego — dodała ze wzruszeniem — przyczyna, dla której jutro uciekam z Wenecyi.

Domawiała tych słów, gdy Brühl się jej do nóg rzucił i pochwycił ręce... oczy miała łez pełne.

— Więc chcesz mnie na wieki nieszczęśliwym uczynić? — zawołał. — Ja ciebie kochałem jedną i kochać będę do zgonu, nie mam już serca dla nikogo!... Tyś dla mnie zawsze tą Marynią, co mi z uśmiechem rączkę niegdyś podała... jakby obietnicę, iż kiedyś ją otrzymam na zawsze... Droga Maryo, nie chciej-że dobić tego, który żyje tobą i dla ciebie!

Pani Sollohubowa milczała.

— Czyż wątpisz o mojem przywiązaniu? — zapytał z wymówką.

— Nie, nie! — szepnęła głosem łzami przerywanym — alebym nie chciała, aby życie rozczerwało cię i odebrało mi je... Któż wie, czy mnie kochać będziesz, gdy zostanę twoją, gdy się resztką uroku rozprysnie, a każdy dzień odzierać mnie będzie z niego!... Zostaniemy zdala tem dwojgiem tęskniących do siebie... to lepiej może.

— Nie, ja cię nie puszcze! jak cień i zmora wleć się będę za tobą! — zawołał Brühl — musisz być moją... Byłoby szaleństwem, świętokradztwem-by było, dla marnienia jakiegoś mnie zabijać na ofiarę.

— Wstań! — odezwiała się Sollohubowa — już nie wiem co się dzieje ze mną... niech się stanie, co chcesz!

I zarzuciła mu ręce na szyję.

Brühl po tym uścisku pochwycił jej rękę, zdjął

z niej pierścioneł i włożył na swój palec. Marya się nie opierała, heroizm jej we łzach się rozplynał — zwyciężyło pragnienie choć krótkiego szczęścia na ziemi.

— A teraz — rzekła, wiodąc go za rękę z sobą — chodź i zobacz tego, dla którego ja ucieklam z Warszawy...

Mówiąc to, otworzyła drzwi i wprowadziła go do gabinetu. Stał w nim z jednej strony kłęcznik do modlitwy, z drugiej na stoliku, otoczony kwiatami świeżymi, portret Brühla.

Późnym wieczorem powrócił hrabia dnia tego do Luny, i od progu już wydał rozkazy, aby się pakowano do podróży. W pałacu Contarinich ruch też był wielki: ukochana pani opuszczała Włochów, którzy się do niej przywiązali serdecznie.

Przez trzy dni następne Brühl już nie oglądał ani pałaców, ani obrazów, ani kościołów, spędzał je z Sollohubową. Miała go ona o dni kilka poprzedzić do Warszawy. Brühla nie wiązało nic, oprócz własnej woli; wdowa też miała tylko daleką rodzinę.

Nim starościna ejszyska, bo tak zwano wdowę po Sollohubie, dojechała do stolicy, poprzedziły ją już wieści dziwnie szybko nadeszłe o jej zamałżpójściu za Brühla. Wszystkie piękne panie warszawskie, które z rzadką łatwością naówczas mieniały nietylko ulubieńców, ale mężów nawet, nie mogły się wydziwić owej stałej miłości, o której mówiono, że sięgała lat dziecińczych..

Było to dla nich coś monstrualnego. Zazdrościły jedne, śmiały się drugie, inne niedowierzająco ramionami ruszały.

Brühla położenie w Rzeczypospolitej, rosnące znacznie, świeży jego wybór do Rady nieustającej jako członka komisji wojskowej, czyniły go partją bardzo świetną i godną zazdrości. Nie dziw, że na wdowę pogładano okiem zawistnem, nie umiając sobie wytłomaczyć tego uroku, jaki miała dla Brühla. Wszelkimi sposobami usiłowano małżeństwo w śmiech obrócić — ale... nikt nie zważał na to.

Powróciwszy, Brühl głosił swe zaręczyny, a ślub odbył się z przepychem i wystawą jak największą, przy licznych zjeździe rodziny.

Generał, będąc jednym z najzamożniejszych obywateli Rzeczypospolitej, nie szczędził nic na uświęcenie tego dnia, na który oczekiwał tak długo.

Poczęły się dni szczęścia, ale nie trwały tak, jak oczekiwanie.

W rok potem urodził się hrabiemu syn, którego z uroczystością wielką cały korpus artylerji trzymał do chrztu w cekhausie. We trzy dni później oficerowie, którzy do generała przywiązani byli jak do ojca — wyprosilili u króla dla dziecięcia tego patent porucznika... Syn starosty, który został pełnoletnim w dwunastym roku życia, w kilka dni po przyjściu na świat, otrzymał stopień dowódcy, a na pamiątkę wybito medale.

Jeszcze rok... nowe nadzieje... Brühlowa nadto była szczęśliwa, aby w trwanie życia tego wierzyć mogła — przeczucia zgonu ją trapiły.

Jakoż ten sam kapłan, co ślub jej dawał, pobłogosławił na wieczności drogę, i stulą, którą haftowała.

do ślubu, służyła księdzu przy namaszczeniu ostatniem.

Dwa groby, dwóch Brühlowych, matki i żony, stały obok siebie u Kapucynów w kościele. Sic transit gloria — sic transit vita — sic transit amor et omnia.

K O N I E C .

02344

Дозволено военною цензурою, Варшава, 5 августа 1914 г.

